

L. SPRAQUE DE CAMP

JANKES W RZYMIE

- Tancredi ponownie zdjął ręce z kierownicy i zamachał nimi.

- ...więc zazdroszczę panu, doktorze Padway. Tu w Rzymie ciągle jeszcze mamy coś do zrobienia. Ba, ale to zaledwie wypełnianie małych luk. Nic dużego, nic nowego. I prace przy konserwacji. Budowlanka, nic więcej!

- Profesorze Tancredi - cierpliwie tłumaczył Martin Padway - jak już mówiłem, nie jestem doktorem. Mam nadzieję zostać nim wkrótce, jeśli uda mi się opracować te wykopaliska w Libanie.

Nieufność wobec kierowców spowodowała, że kłykcie zbiegły mu od kurczowego trzymania się siedzenia małego Fiata, a prawa stopa rozboleła od zapierania się o podłogę.

Tancredi złapał kierownicę na czas i minął o włos dostojną Isottę, która odjechała w dal, zajęta własnymi czarnymi myślami.

- Ach, co za różnica? Tutaj każdy uchodzi za doktora, czy jest nim, czy nie. A taki bystry młody człowiek jak pan... O czym to ja mówiłem?

- Zależy. - Padway zamknął oczy; jakiś przechodzień ledwo uniknął zagłady. - Mówił pan o inskrypcjach etruskich, potem o naturze czasu, wreszcie o rzymskiej archeo...

- A, tak, natura czasu. To taki mój głupi pomysł, rozumie pan. Mówiłem, że ludzie, którzy giną bez wieści, po prostu ześlizgują się w dół kłody.

- Czego?

- Mam na myśli pień. Pień drzewa czasu. Kiedy skończą się ześlizgiwać, znajdą się w jakimś wcześniejszym czasie; lecz kiedy cokolwiek zrobią, zmieniają całą późniejszą historię.

- Brzmi to jak paradoks - wtrącił Padway.

- Nie. Pień istnieje w dalszym ciągu. Tylko nowa gałąź wyrasta tam, gdzie się zatrzymali. Musi tak być, w przeciwnym razie wszyscy moglibyśmy nie istnieć, bo historia zmieniłaby się i nasi rodzice mogliby się nie spotkać.

- To jest myśl - zgodził się Padway. - Dość przykro jest wiedzieć, że słońce może stać się Nową, ale jeśli równie dobrze moglibyśmy nie istnieć, bo ktoś wybrał się w dwunasty wiek i namieszał...

- Nie. To się po prostu nie może zdarzyć. O to chodzi, że my ciągle istniejemy! Rozumie pan, doktorze? Istniejemy, ale zaczyna się nowa historia. Być może jest ich wiele, wszystkie gdzieś tam istnieją. Może niewiele się różnią od naszej. Może człowiek, który zsuwa się po pniu czasu, zatrzyma się pośrodku oceanu. I co? Ryby go zjedzą, a życie pójdzie swoim torem. Albo gdzieś tam pomyślał, że jest szalony, i zamkną go albo zabiją. Znowu niewielka różnica. Lecz przypuśćmy, że zostaje królem albo wodzem? I co wtedy? Presto, mamy nową historię. Historia jest

czterowymiarową pajęczyną. Ale ma słabe punkty. Miejsca węzłowe - można rzec punkty ogniskowe - są słabe. Ześlizgnięcie się wstecz, jeśli się zdarza, to właśnie w tych miejscach.

- Co pan rozumie przez punkty ogniskowe? - spytał Padway. Brzmiało to dla niego jak uczony nonsens. - Och, miejsca takie jak Rzym, gdzie przecinają się światowe linie wielu słynnych wydarzeń. Albo Istambuł. Albo Babilon. Pamięta pan tego archeologa Skrzetuskiego, który zniknął w Babilonie w 1936 roku?

- Sądziłem, że został zabity przez jakichś arabskich rozbójników.

- Ależ nigdy nie znaleziono jego ciała! A Rzym wkrótce może być znowu punktem przecięcia wielkich wydarzeń. To znaczy, że pajęczyna słabnie tu znowu.

- Mam nadzieję, że nie zbombardują Forum - wyraził swoje obawy Padway.

- Och, nic z tych rzeczy. Nasz Duce jest o wiele za sprytny, żeby wpakować nas w prawdziwą wojnę. Ale nie mówmy o polityce. Pajęczyna, jak mówię, jest mocna. Jeśli ktoś się nawet ześliznie wstecz, przerwanie jej wymaga mnóstwa energii. To tak jak z muchą w pajęczynie, która wypełnia pokój.

- Ciekawy pomysł - zauważył Padway.

- Nieprawdaż? - Tancredi odwrócił się do niego z szerokim uśmiechem, po czym nagle nadepnął energicznie hamulec. Wychylił się i obrzucił pieszego przekleństwami.

Odwrócił się znowu do Padwaya.

- Przyjdzie pan jutro do mnie na obiad'?

- C-co? Noo, tak, będzie mi miło. Odpływam następnego...

- Si, si. Pokażę panu równania, które opracowałem. Zachowanie energii obowiązuje nawet przy zmianie miejsca w czasie. Ale proszę, moim kolegom ani słowa. Rozumie pan... to nieszkodliwe dziwactwo, ale reputacja zawodowa mogłaby ucierpieć.

- No, nie! - zaprotestował Padway.

Tancredi nacisnął hamulec i zahamował gwałtownie za ciężarówką stojącą na skrzyżowaniu Via del Mare i Piazza Aracoeli.

- O czym to ja mówiłem? - zapytał.

- O nieszkodliwym dziwactwie - odparł sucho Martin. Chętnie dodałby, że styl jazdy profesora Tancrediego należy do jego bardziej szkodliwych manii, ale profesor był przecież taki uprzejmy.

- A, tak. Sprawa się ujawni, a ludzie zaczną gadać. Archeolodzy plotkują nawet bardziej niż większość ludzi. Pan jest żonaty?

- Co? - Padway pomyślał, że powinien się już dawno przyzwyczaić do raptownych zmian tematu. Tego... tak.

- Dobra. Niech pan przyjdzie z żoną.

Ze strony Włocha takie zaproszenie było niespodzianką.

- Została w Chicago. - Martin nie miał ochoty wyjaśniać, że od ponad roku jest z żoną w separacji.

Widział teraz, że to nie była wyłącznie wina Betty. Dla kobiety jej pokroju mężczyzna, który źle tańczy, nie chce grać w brydża, a za najlepszą rozrywkę uważa zaproszenie kilku podobnych typów na nudne wieczorne rozmowy o przyszłości kapitalizmu i życiu miłosnym ropuch amerykańskich, musiał wydawać się zupełnie nie do wytrzymania.

Z początku była podekscytowana myślą o podróżach w odległe miejsca, ale życie pod namiotem i przyglądanie się mężowi mamroczącemu coś nad glinianymi skorupami szybko ją z tego wyleczyło.

A do tego nie był wzorem urody - raczej niski, z wielkim nosem i uszami, nieśmiały. W szkole przezywano go Padway Mysz. No, tak. Jakby nie patrzeć, naukowcy żeniąc się popełniają głupstwo. Wystarczy przyrzeć się procentowi rozwodów wśród antropologów, paleontologów i różnych takich.

- Mógłby pan podrzucić mnie do Panteonu? - zapytał. - Nigdy nie przyjrzałem mu się dokładnie, choć jest zaledwie kilka przecznic od mego hotelu.

- Dobrze, doktorze, chociaż boję się, że pan przemoknie. Myślę, że zbiera się na deszcz.

- Nie szkodzi. Mój płaszcz nie przemoknie. Tancredi wrzucił ramionami. Przepchali się przez Corso Wiktora Emanuela, z piskiem opon skręcili w Via Cestari. Padway wysiadł na Piazza del Pantheon. Tancredi odjechał wymachując rękami i krzycząc:

- Jutro o ósmej. Co? Si, pięknie!

Padway przyglądał się przez kilka minut budynkowi. Zawsze uważał, że jest obrzydliwy z tym korynckim frontonem przylepionym do ceglanej rotundy. Oczywiście, wielka betonowa kopuła wymagała pewnej sprawności technicznej, jeśli wziąć pod uwagę wiek, w którym ją budowano. Padway musiał uskoczyć, by uniknąć ochlapania przez mężczyznę w faszystowskim mundurze, który śmignął obok na motocyklu.

Podszedł do portyku. Dookoła grupki mężczyzn podtrzymywały tradycję narodową łażąc bez celu.

Jedną z rzeczy, które najbardziej mu się podobały we Włoszech, było to, że uchodził tu za całkiem wysokiego mężczyznę. Gdzieś z tyłu przetoczył się grzmot i na rękę spadła mu pierwsza kropla deszczu. Wydłużył krok. Nawet jeśli jego trencz oparł się deszczowi, nie chciał przemoczyć nowego borsalino. Lubił ten kapelusz.

Tok myśli przerwało mu nagle uderzenie pioruna. Miał wrażenie, że chodnik ucieka mu spod nóg jak zapadnia. Zamachał stopami w próżni. Oślepił go purpurowy błysk. Grzmot przetaczał się w nieskończoność.

Niepokojące było to uczucie zawieszenia w środku niczego. Czuł się jak Alicja powoli opadająca w króliczej norze. Tylko, że nie miał jasnego odczucia tego, co się dzieje, a nawet jak szybko to coś się dzieje.

Potem coś twardego trzasnęło o podeszwy. Mało nie upadł. Wstrząs - jakby skoczył z wysoka. Zatoczył się i uderzył o coś nogą. Jęknął.

Po chwili wzrok wrócił do normy i Padway spostrzegł, że stoi w zagłębieniu spowodowanym zapadnięciem się kawałka chodnika. Padało teraz mocno. Wygrzebał się z dziury i pobiegł pod portyk Panteonu. Było już tak ciemno, że światło w budynku powinno być włączone. Nie było.

Wtedy dostrzegł coś dziwnego. Czerwona cegła rotundy była pokryta marmurowym licem. Pomyślał, że to chyba ta konserwatorska robota, na którą narzekał Tancredi.

Jego wzrok prześlizgnął się obojętnie po najbliższym wałkoniu. I nagle uświadomił sobie, że tamten zamiast płaszcza i spodni nosi przybrudzoną białą wełnianą tunikę.

Dziwne, ale jeśli kto chce nosić taki strój, to jego sprawa.

Mrok trochę się rozjaśnił. Teraz Martin spostrzegł więcej osób. Wszyscy nosili tuniki. Kilku mężczyzn weszło pod portyk, żeby uniknąć deszczu. Też nosili tuniki, czasem z narzuconymi płaszczami typu poncho.

Przyglądali mu się, ale bez specjalnego zdziwienia. Tymczasem deszcz przestał padać. Padway poczuł strach.

Jedna tunika nie przestraszyłaby go. Pojedynczy absurd mógł mieć racjonalne, choć zawiłe wyjaśnienie. Ale gdzie tylko spojrzął, dostrzegł coraz to nowe nonsensy!

Betonowy chodnik zastąpiły łupkowe płytki. Wokół placu nadal stały domy, ale nie te same. Ponad nimi nie mógł odnaleźć Senatu i Ministerstwa Komunikacji, a przecież były to całkiem okazałe budynki.

Dźwięki też były inne. Brakowało klaksonów taksówek, bo też i samych taksówek nie było. Za to dwa wozy zaprzężone w woły, skrzypiąc przeraźliwie, posuwały się wolno wzdłuż Via dela Minerva.

Zaczął węszyć. Zapach czosnku i benzyny zastąpiła wiejsko-podwórkowa symfonia z wybijającym się motywem końskiego potu. Wszystko to przyprawione kadzidłem zawierającym z drzwi Panteonu.

Zaświeciło znowu słońce i Padway wyszedł spod dachu. Tak, portyk wciąż nosił inskrypcję przypisującą wzniesienie budynku Markowi Agryppie.

Rozejrzawszy się, czy nie jest obserwowany, przystąpił do jednego z filarów i rąbnął weń pięścią. Zabolalo.

- Do diabła - powiedział patrząc na otarte kostki. Doszedł do wniosku, że nie śni; wszystko było zbyt realne i trwałe jak na sen. Nie było niczego nierzeczywistego w popołudniowym blasku słońca i żebrakach wokół placu.

Ale jeśli nie śni, to co? Może zwariował... Jednak od tej hipotezy trudno zacząć jakieś konkretne działanie. Pozostawała teoria Tancrediego o ześlizgiwaniu się w czasie. Myśl o podróży w czasie nie zgadzała się z przekonaniami Padwaya. Brzmiała metafizycznie, a on był twardym empirykiem.

Istniała jeszcze możliwość amnezji. Przypuszczalnie piorun poraził go i zamrocył. Przypuśćmy dalej, że coś przywróciło mu teraz pamięć. Miałby lukę w pamięci od pierwszej błyskawicy do przybycia do tej kopii starego Rzymu. Przez ten czas wszystko mogło się wydarzyć. Mógł na przykład wleźć na plan jakiegoś filmu. A może Mussolini, potajemnie uważając się za wcielenie Juliusza Cezara, kazał swoim ludziom założyć klasyczne stroje rzymskie?

To była pociągająca teoria. Podważał ją fakt, że nosił ciągle to samo ubranie, a w kieszeniach miał te same rzeczy co przed uderzeniem pioruna.

Przysłuchał się pogwarce kilku próżniaków. Sam władał świetnie, choć nieco pedantycznie, językiem włoskim. Nie mógł jednak nic zrozumieć. W potoku sylab często chwycił znajomą grupę dźwięków, ale zawsze za mało na raz. Może to jakiś slang?

Pomyślał o łacinie. Od razu mowa łązęgów stała się bardziej zrozumiała. Osądził, że mówili późną formą zwulgaryzowanej łaciny, coś między Ciceronem a Dantem. Nigdy wcześniej nawet nie próbował mówić tym dziwacznym żargonem. Odgrzebał wiadomości o zmianach wymowy. Nagle przypomniał sobie: "Omnia talia e devisa en parte trel, quaro una encolont Belge, alfa... " W okresie klasycznym brzmiałoby to: "talia est omnis divisa in partes tres, quorum unam incolunt Belgae, alfam... "

Wątkonie zauważyli, że podsłuchuje. Zniżyli głosy i niezadowoleni odeszli. Nie, jednak delirium było lepsze niż pułapka czasu. Może to tylko majaki. Czy rzeczywiście stał koło Panteonu i widział ludzi ubranych i mówiących jak w IV-IX wieku po Chrystusie?

A może właśnie leży w szpitalu po wstrząsie elektrycznym, który omal go nie zabił, i w malignie widzi to wszystko?

W pierwszym wypadku powinien znaleźć policjanta i kazać się odwieźć do szpitala; w drugim byłaby to zbędna strata energii. Ze względu na własne bezpieczeństwo postanowił zrobić to pierwsze.

Bez wątpienia wśród tych ludzi musiał być choć jeden prawdziwy policjant w lakierowanej czapce. Co to znaczy "prawdziwy"? Niech Bertrand Russell i Alfred Korzybski martwią się o to. A teraz, jak znaleźć...

Żebrak pojękiwał pod jego adresem już od paru minut. Padway dał tak doskonałe przedstawienie głuchoty, że obszarpany garbus zrezygnował z dalszych prób. Teraz ktoś inny zwracał się do niego. W lewej dłoni trzymał związane sznurkiem naręcze paciorków z krzyżykami. Kciukiem i palcem wskazującym przytrzymał klamerkę sznurka. Podnosił i obniżał rękę z towarem, gadając coś przez cały czas.

Bez względu na to, co się stało, ta właśnie scena upewniła Padwaya, że ciągle jest w Italii.

- Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie znajdę policjanta? - zapytał po włosku.

Handlarz przestał zachwalać swój towar. Wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Non compr'endo. - Hej!

Handlarz zatrzymał się. W skupieniu Padway przetłumaczył swoje pytanie na coś, co, jak miał nadzieję, przypominało wulgarną łacinę. Zagadnięty pomyślał i odrzekł, że nie wie. Padway już miał odejść, ale przekupień paciorków zawołał do kolegi:

- Marco, ten szlachetny pan chce znaleźć agenta policji.

- Szlachetny pan jest równie odważny, jak szalony - stwierdził Marco.

Przekupień i kilku gapiów roześmieli się. Martin krzywo się uśmiechnął. Ci ludzie byli życzliwi, choć niezbyt mu pomogli. Jeszcze raz spróbował.

- Proszę... ja... naprawdę... chcę... wiedzieć.

Inny przekupień, obnoszący tacę pełną jarmarcznych ozdóbek z brązu, wzruszył ramionami i zatrajkotał coś, czego Martin nie zrozumiał. Spytał handlarza:

- Co on powiedział?

- Powiedział, że nie wie. Ja też nie wiem - odrzekł tamten.

Padway powoli odszedł. Przekupień krzyknął za nim:

- Panie!

- Tak?

- Czy chodziło ci o agenta prefekta municypalnego?

- Tak.

- Marco, gdzie szlachetny pan może znaleźć agenta prefekta?

- Nie wiem - odburknął Marco.

Kramarz znów wzruszył ramionami współczująco.

- Przykro mi, ja też nie wiem.

Jeśli to był Rzym dwudziestowieczny, glina znalazłby się bez kłopotu. I nawet sam Benito nie zdołałby zmusić całego miasta do zmiany języka. Pozostają zatem trzy możliwości. Może być:

- a) na planie filmowym,
- b) w starożytnym Rzymie (hipoteza Tancrediego),
- c) to są wszystko twory jego wyobraźni.

Zaczął się przechadzać. Rozmowa go zmęczyła. Wkrótce jednak nadzieję, że to plan filmowy, zniweczyło odkrycie rozmiarów starożytnego miasta. Rozciągało się na wiele mil we wszystkich kierunkach. Układ ulic był zupełnie inny niż we współczesnym Rzymie. Kieszonkowa mapa, którą Padway miał ze sobą, okazała się prawie bezużyteczna.

Nazwy sklepów były w czytelnej klasycznej łacinie. Ortografia jak za czasów Cezara. Zmieniła się za to wymowa. Uliczki były wąskie i niezbyt zatłoczone. Panował senny dekadenski nastrój, jak w Filadelfii.

Na jednym z ruchliwszych skrzyżowań Padway zaobserwował jeźdźca dyrygującego ruchem. Podnosił rękę, by zatrzymać wóz zaprzężony w woły, i przepuszczał skinieniem lektykę. Nosił jaskrawie prążkowaną koszulę i skórzane spodnie. Wyglądał bardziej na Europejczyka z północnego wschodu niż na Włocha.

Padway oparł się o mur i słuchał. Człowiek mówił za szybko, żeby można go było zrozumieć. Tak jakby zarzucało się wędkę, ryba brała, ale nie dawała się złapać. Padway ogromnym wysiłkiem zmusił się do myślenia po łacinie. Mieszał czasy i tryby, ale nie miał kłopotów ze słownictwem w krótkich zdaniach.

Przyglądała mu się grupka małych chłopców. Gdy na nich spojrzął, zachichotali i uciekli.

Przypomniała mu się projektowana przez rząd Stanów Zjednoczonych odbudowa starych miast kolonialnych, takich jak Williamsburg. Ale to tutaj wyglądało zbyt prawdziwie. Nic sztucznego nie było w całym tym brudzie, chorobach, pijackich burdach, które obejrzał sobie w trakcie godzinnej przechadzki.

Pozostały dwie hipotezy: delirium i zmiana czasu. Delirium było mniej prawdopodobne. Postanowił działać tak, jakby wszystko było realne.

Nie mógł stać bez końca w jednym miejscu. Trzeba się było popytać i zorientować w sytuacji. Od tej myśli skóra mu ścierpła. Koszmarnie bał się obcych. Dwa razy już otwierał usta, ale język stawał mu kołkiem. Martin, chłopie, trzymaj się!

- Pan wybaczy, czy mógłby mi pan powiedzieć, jaki dzień dziś mamy?

Pytanie zaskoczyło poczciwego człowieczyń z bochenkiem chleba pod pachą.

- Qui'e? Co takiego!

- Pytam, czy mógłby mi pan podać dzisiejszą datę. Pocziwina zmarszczył się nieprzyjemnie, ale odparł tylko:

- Non compr'endo.

Padway powtórzył powoli pytanie, ale bez skutku. Wygrzebał wreszcie notatnik i ołówek. Napisał pytanie na kartce i podniósł ją w kierunku rozmówcy. Ten przyglądał się chwilę poruszając wargami. Wreszcie powiedział z ulgą:

- A, chcesz znać datę?

- Sic. Datę.

Człowiek wytrajkotał długie zdanie. Równie dobrze mógłby mówić po chińsku. Padway zamachał rozpaczliwie rękami i wrzasnął: - Lento!

Rozmówca cofnął się o krok i zaczął jeszcze raz. - Mówiłem, że cię zrozumiałem i że jest 9 października, ale nie jestem pewny, bo nie mogę sobie przypomnieć, czy rocznica ślubu mojej matki przydała trzy czy cztery dni temu.

- Który rok? - Który r o k ?

- Sic, który rok?

- 1288 Anno Urbis Conditae.

Z kolei Padway był zaskoczony.

- A jak to będzie według rachuby chrześcijańskiej?

- Masz na myśli, ile lat minęło od urodzin Chrystusa?

- Hoc ille - tak właśnie.

- Hmm..., no tak, - nie wiem, pięćset i coś tam jeszcze. Lepiej zapytaj kapłana, cudzoziemcze.

- Zrobię to - obiecał Padway. - Dziękuję.

- Nie ma za co - odpowiedział pocziwina i poszedł dalej.

Kolana ugięły się pod Padwayem. Rozmówca był dość uprzejmy i grzecznie odpowiadał na pytania, ale z jego odpowiedzi wynikało, że pokojowo nastawiony archeolog wpadł w niezbyt spokojne czasy.

Co teraz zrobić? No właśnie, co rozsądny człowiek zrobiłby w takich okolicznościach? Musiał znaleźć jakiś nocleg i sposób utrzymania. Trochę zaskoczyła go łatwość, z jaką zaakceptował hipotezę Tancrediego. Przespacerował się w górę alei, żeby nie rzucać się w oczy, i sprawdził zawartość kieszeni. Zwitek włoskich banknotów był równie użyteczny, jak zepsuta pułapka na myszy. Nawet gorzej; pułapkę można zreperować. Książeczki czekowe amerykańskich i włoskich banków, prawo jazdy wystawione w Illinois, skórzane etui z kluczami można było spokojnie wyrzucić. Pióro, ołówek i zapalniczka mogą się jeszcze przydać. Za scyzoryk i zegarek mógłby dostać niezłą cenę. Nie chciał jednak pozbywać się tych przedmiotów, jak długo się da.

Przeliczył garść drobniaków. Tylko dwadzieścia monet, w tym cztery srebrne dziesięciolirówki. Razem, w przeliczeniu, około pięciu dolarów. Srebro i brąz można by wymienić. Co do niklu, to się okaże.

Znowu zaczął iść. Zatrzymał się przed szyldem zapowiadającym kantor wymiany monet złotnika S. Dentatusa. Głęboko westchnął i wszedł do środka.

S. Dentatus wyglądał jak wielka żaba. Padway położył przed nim bilon i powiedział:

- Ja... ja chciałbym to zamienić na miejscową walutę, proszę pana.

Jak zwykle musiał kilkakrotnie powtórzyć zdanie, zanim zdołał się porozumieć.

S. Dentatus zerknął na monety. Podniósł je jedną po drugiej i lekko poskrobał szpikulcem.

Wreszcie wyskrzecztał:

- Skąd one... skąd ty przybywasz?

- Ameryka.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- To daleko stąd.

- Hm. Z czego one są? Z cyny - Wskazał na nikiel.

- Z niklu.

- Co to takiego? Jakiś zabawny metal mają w twoim kraju.

- Hoc ille.

- Ile to warte?

Padway myślał przez moment, starając się znaleźć jakąś wysoką cenę. Gdy zbierał odwagę, S. Dentatus przerwał milczenie.

- To nie ma znaczenia. Nawet nie dotknę tego towaru. Nie ma na to zbytu. Z innymi - zobaczymy. Wyciągnął wagę i zważył brąz, potem srebro. Poprzesuwał trochę koraliki na małym brązowym liczydło i powiedział:

- Są warte mniej niż jednego solida. Ale tobie dam całego solida.

Mamin nie odpowiedział od razu. Musiał przyjąć propozycję. Nie lubił się targować i nie miał pojęcia o bieżącym kursie monet. Ale dla ratowania twarzy udał, że starannie rozważa ofertę.

Ktoś wszedł za nim do kantoru. Był to zwalisty, czerstwy mężczyzna z jasnymi wąsami i kokiem a la Ginger Rogers. Nosił lnianą bluzę i długie skórzane portki. Wyszczrzył zęby do Padwaya i wyskandował jednym tchem:

- Ho, frijond, habais faurthei. Alai skalljans sind waidedjans.

O Boże! Jeszcze jeden język!

- Ja... ja, przykro mi, nie rozumiem - odpowiedział Amerykanin.

Mężczyzna trochę spochmurniał. Przeszedł na łacinę. - Przepraszam, sądząc po ubraniu, myślałem, że jesteś z Chersonesu. Nie mogłem stać bezczynnie i patrzeć, jak oszukują Gota pobratymca, ha, ha! - Got wybuchnął tak głośnym śmiechem, że Padway aż podskoczył.

- Dzięki ci. Ile wart jest ten towar? - Co ci zaproponował?

Mamin przyznał, że jednego solida.

- No tak. Nawet ja widzę, że cię robią w konia. Sextus, daj mu uczciwą cenę, bo ci każe zjeść twoje miedziaki. A, to by była zabawa, ha, ha!

S. Dentatus westchnął z rezygnacją.

- No dobrze. Półtora solida. Muszę z czegoś żyć. Jak mam to robić, kiedy mi się ciągle wtrącają do uczciwych interesów? Według bieżącej stopy wymiany to będzie solid i trzydzieści jeden sestercji.

- Co to za stopa wymiany? - spytał Martin. Got odrzekł: - Stosunek złota do srebra. Złoto spadło w ciągu ostatnich czterech miesięcy.

Padway zdecydował się.

- Myślę, że wezmę srebro.

Gdy Dentatus z kwaśną miną odliczał dziewięćdziesiąt trzy sestercje Got zapytał:

- Skąd przybywasz? Pewnie z kraju Hunów?

- Nie, ze znacznie dalszych stron. Z Ameryki. Nigdy o niej nie słyszałeś, co?

- Nie. A to ciekawe. Cieszę się, że cię spotkałem, młodzieńcze. Będę miał o czym opowiadać żonie. Ona myśli, że ilekroć jadę do miasta, to biegnę do najbliższego burdelu, ha, ha! - Pogrzebał w torbie i wyjął wielki złoty pierścień i nieoszlifowany kamień szlachetny.

- Sextusie, to znowu się rozpadło. Przymocuj to, dobrze? I żadnych podmian, pamiętaj.

Gdy wyszli, Got zwrócił się do Padwaya ściszym głosem:

- Prawdziwy powód, dla którego przyjechałem do miasta, to urok, który ktoś rzucił na mój dom.

- Urok? Jaki urok?

Got pokiwał poważnie głową.

- Urok na krótki oddech. Gdy jestem w domu, nie mogę oddychać. To jest tak... - Sapnął kilka razy astmatycznie. - Ale ilekroć wychodzę na dwór, znów jestem zdrowy. Myślę, że wiem, kto to zrobił.

- Kto?

- W ubiegłym roku zawarłem kilka transakcji pod zastaw hipoteczny. Nie mogę niczego udowodnić poprzednim właścicielom, ale... - Mrugnął znacząco do Padwaya.

- Powiedz mi, czy trzymasz zwierzęta w domu? - Sforę psów. Jest jeszcze inwentarz, ale nie wpuszczamy go do domu. Nie dalej jak wczoraj prosiak wślizgnął się przez drzwi i porwał jeden z moich butów. Musiałem go gonić po tym całym przekłętym obejściu. Ale to było widowisko, ha, ha!

- No tak - powiedział Martin - postaraj się trzymać psy na dworze cały czas i codziennie dobrze wymiataj mieszkanie. To może pomóc na twoje... sapanie. - A to ciekawe! Myślisz, że pomoże?

- Bo ja wiem. Niektórym ludziom psia sierść przeszkadza w oddychaniu. Spróbuj przez kilka miesięcy, to sam się przekonasz.

- Ciągle myślę, że to urok, młodzieńcze, ale skorzystam z twojej rady. Próbowałem już wszystkiego. Byłem u tuzina greckich medyków, pielgrzymowałem do zęba św. Ignacego. Nic nie pomogło. - Zawahał się i zapytał: - Wybacz, ale kim byłeś w swoim kraju?

Padway przypomniał sobie szybko te kilka akrów, które zostawił w Illinois.

- Miałem gospodarstwo.

- Świetnie! - ryknął Got klepiąc go po plecach z siłą młota pneumatycznego. - Ze mnie dobry kompan, ale nie lubię wchodzić w towarzystwo ludzi nie z mojej sfery, ha, ha! Nazywam się Nevitta. Nevitta, syn Gummunda. Jak będziesz kiedy jechał Via Flaminia, wpadnij do mnie. Mieszkam jakieś osiem mil na północ stąd.

- Dziękuję. Nazywam się Martin Padway. Gdzie tu można by wynająć pokój?

- Zależy. Jeśli nie masz ochoty wydawać za dużo pieniędzy, znajdziesz sobie miejsce dalej w dole rzeki. Mnóstwo gospód jest za Viminalem. Czeka! Właściwie to mi się nie śpieszy. Poszukamy razem.

Gwizdnął ostro i zawołał: - Hermann hiri her! Hermann, ubrany prawie tak jak jego pan, wstał z krawężnika i szeleszcząc skórzanymi nogawicami podprowadził truchtem dwa wierzchowce. Nevitta zdecydował się na przechadzkę. Herman szedł z tyłu wiodąc konie za uzdy. Rażno maszerując, Nevitta zapytał:

- Mówiłeś, że jak masz na imię?

- Martin Padway, wystarczy mówić Martinus. Padway wymówił imię prawidłowo: Martiino.

Nie chciał narzucać się dobrodusznemu Gotowi, ale potrzebował informacji. Myślał przez jakiś czas, po czym zapytał:

- Mógłbyś podać mi imiona paru ludzi w Rzymie, takich, do których trzeba zajrzeć, gdy potrzebuje się pomocy? Prawników, lekarzy...

- Pewno. Jeśli potrzebny ci prawnik specjalizujący się w sprawach dotyczących cudzoziemców, idziesz do Valeriusa Mummiusa. Urzęduje przy Basilica Aemilia. Polecam ci też

mego przyjaciela doktora. To Grek, Leo Vekkos. Niezły specjalista, jak oni wszyscy. Ale osobiście sądzę, że relikwie jakiegoś dobrego ariańskiego świętego, na przykład Asteriusa, są równie pożyteczne, jak wszystkie te ich zioła i napoje.

- Pewnie tak - zgodził się Padway. Zapisał imiona i adresy w notatniku. - A jakiś bankier?

- Niewiele mam z nimi interesów. Nienawistna jest mi sama myśl o wpadnięciu w długi. Ale jeśli mam ci kogoś polecić, to jest taki Thomasus Syryjczyk przy moście Aemilii. Uważaj na niego.

- Dlaczego? Jest nieuczciwy?

- Thomasus? Ależ skąd. Po prostu uważaj na niego, to wszystko. O, wygląda na to, że tu możesz się zatrzymać. - Nevitta załomotał w drzwi. Otworzył niechlujny zarządca. Owszem, miał pokój. Mały, śmierdzący i źle oświetlony. Ale tak było wszędzie w Rzymie. Zarządca chciał siedem sestercji za dzień.

- Zaproponuj połowę - powiedział Nevitta scenicznym szeptem. Tak też Padway uczynił. Zarządca zachował się, jakby z góry znużyły go mające nastąpić targi - oddał pokój za pięć sestercji.

Nevitta ścisnął rękę Padwaya wielką czerwoną łapą. - Nie zapomnij, Martinusie, odwiedzić mnie czasem. Zawsze lubię posłuchać ludzi, którzy mówią po łacinie z gorszym od mego akcentem, ha, ha!

Lekko wskoczył na swojego rumaka, usadowił się w siodle i razem z Hermannem pogalopował w dal. Padway z żalem rozstawał się z nimi, ale Nevitta musiał dbać o własne interesy. Popatrzył chwilę za oddalającą się zwałistą postacią wszedł do ponurego, skrzypiącego zajazdu.

Obudził się wcześniej z niesmakiem w ustach i z uczuciem, że konik polny grasuje mu po wnętrznościach. To chyba wczorajszy obiad - niezły, ale odmienny od tego, co zawsze jadał - gulasz z duszonymi porami. Restaurator musiał się dziwić, gdy Padway błędził rękami po blacie, machinalnie szukając noża i widelca. Nie znalazł ich oczywiście.

Przespał się na łóżku z siennikiem. Kosztowało go to dodatkowo sestercję dziennie. Uporczywe swędzenie spowodowało, że zdjął podkoszulkę. Rząd czerwonych plamek na brzuchu wskazywał, że nie spał tej nocy sam.

Wstał i umył się mydłem, które kupił wczoraj. Przyjemnie zaskoczył go wtedy fakt, że mydło już wynaleziono, kiedy jednak przełamał kostkę przypominającą lekko nadgniły placek z dyni, znalazł w środku miękką masę nieprzetrawionej mieszanki potasu i sody. Co więcej, mydło było tak alkaliczne, że równie dobrze mógł umyć twarz i ręce papierem ściernym. Potem podjął desperacką próbę ogolenia się za pomocą oliwy z oliwek i ówczesnej brzytwy. Przedsięwzięcie było tak bolesne, że postanowił zapuścić brodę.

Był w kropce. Pieniądzy wystarczy mu na tydzień, może na trochę dłużej.

Gdyby to człowiek wiedział, że go zmiecie w przeszłość, obładowałby się całą masą użytecznych rupieci. Encyklopedia, coś o metalurgii, matematyce, suwak logarytmiczny, karabin z mnóstwem amunicji. Ale Padway nie miał broni ani encyklopedii. Zostało mu tylko to, co normalny człowiek w XX wieku nosi w kieszeniach. No, trochę więcej, bo właśnie był w podróży takie niezwykle użyteczne rzeczy, jak czek, nieaktualny plan miasta i paszport.

Miał jeszcze olej w głowie. Powinien mu się przydać. Problem polegał na tym, żeby wykorzystać dwudziestowieczną wiedzę w sposób użyteczny, a zarazem bezpieczny. Nie można było zacząć na przykład od zbudowania samochodu. Czas potrzebny na zebranie odpowiednich materiałów przekraczałby znacznie życie jednego człowieka. A co z samą konstrukcją i użytkowaniem? Nie mówiąc już o paliwie.

Na dworze było dość ciepło. Pomyślał o zostawieniu kapelusza i zbędnego okrycia w pokoju, ale drzwi zaopatrzone były w prymitywny zamek z brązowym kluczem tak okazałych rozmiarów, że mógłby służyć jako prezent od miasta wręczany przez burmistrza dostojnemu gościowi. Można by się włamać używając zwykłego noża. Zabrał więc całe ubranie ze sobą.

Na śniadanie poszedł do tej samej restauracji co wczoraj, gdzie napis nad ladą głosił: "Spory religijne zabronione." Padway zapytał właściciela, jak dostać się do Thomasusa Syryjczyka.

- Pójdiesz ulicą Długą do Łuku Konstantyna, potem w lewo w ulicę Toskańską, potem... - Choć Padway usłyszał to dwa razy, to i tak większa część poranka zeszła mu na poszukiwaniach. Przechodził przez Forum pełne świątyń, z których pousuwano kolumny na użytek pięciu dużych i trzydziestu malutkich kościołów rozsianych po mieście. Świątynie wyglądały tak żałośnie jak odźwierny z Park Avenue pozbawiony spodni.

Na widok Biblioteki Ulpiana Padway miał ochotę rzucić w diabły błądzenie po ulicach. Uwielbiał myszkować po bibliotekach i naprawdę nie miał ochoty stanąć oko w oko z nieznanym sobie bankierem w nieznanym kraju i do tego z tak niezwykłym interesem. Myśl o tym przerażała go; na szczęście miał specyficzny rodzaj odwagi, która zaczyna funkcjonować, gdy jest się już na skraju paniki. Z ponurą miną poszedł dalej w stronę Tybru.

Thomasus mieszkał w odrapanym dwupiętrowym budynku. Odźwierny Murzyn, prawdopodobnie niewolnik, wprowadził Padwaya do pomieszczenia, które chyba służyło jako salon. Thomasus okazał się łysym brzuchaczem z bielmem na lewym oku. Zebrał wyświechtaną togę i usiadł.

- Słucham, młodzieńcze?

Padway przełknął ślinę i zaczął:

- Ja... Interesuje mnie pożyczka.

- Ile?

- Jeszcze nie wiem. Chcę otworzyć przedsiębiorstwo. Muszę najpierw zorientować się w sytuacji i poznać ceny.

- Chcesz otworzyć przedsiębiorstwo? W Rzymie? Hmm. - Thomasus zatarł ręce. - Jakie możesz dać zabezpieczenie?

- Żadnego.

- Co?!

- Powiedziałem: żadnego. Po prostu zaryzykuj inwestując we mnie.

- Ale... ale, mój drogi panie, nie znasz nikogo w mieście?

- Znam gockiego farmera o imieniu Nevitta, syna Gudmunda. To on mnie tu przysłał.

- A tak, Nevitta. Słabo go znam. Podzyrowałby ci? Padway pomyślał. Nevitta, mimo całej swej wylewności, sprawiał wrażenie człowieka niezwykle ostrożnego w sprawach finansowych.

- Nie - powiedział wreszcie. - Nie sądzę.

Thomasus podniósł oczy ku sufitowi.

- Boże! Czy Ty go słyszysz? Przychodzi tu, ten barbarzyńca, który ledwo zna łacinę, stwierdza, że nie ma ani gwarancji, ani żyrantów, i czeka, żebym mu pożyczył pieniędzy. Czy słyszałeś kiedykolwiek coś takiego, o Panie!

- Myślę, że zmienisz zdanie - rzekł Padway.

Thomasus trząśł głową wydając jednocześnie gdaczące dźwięki.

- Chyba jedyne, co masz, to pewność siebie, młodzieńcze. O! To masz na pewno. Mówisz, że jak się zwiesz?

Padway przedstawił się tak samo jak Nevitcie.

- W porządku. Jakie masz plany?

- Jak słusznie zauważyłeś - ciągnął Padway z nadzieją, że do swojej gry dobrał odpowiednią proporcję godności i kordialności - jestem cudzoziemcem. Przybyłem właśnie z miejsca zwanego Ameryką. To daleko stąd i oczywiście jest tam wiele rzeczy różniących się znacznie od tego, co macie w Rzymie. Gdybyś zechciał mi pomóc w produkcji niektórych przedmiotów, które tu nie są znane...

- Aj! - zaskowyczał Thomasus, podnosząc wysoko ręce. - Czy słyszysz, Boże? On nawet nie chce, żebym go wsparł w jakimś wypróbowanym przedsięwzięciu. On chce, żebym wziął się za jakąś nowinkę, o której nikt nie słyszał. Nie mogę nawet o tym myśleć, Martinusie... A o co chodzi?

- Hm, mamy taki napój wyrabiany z wina - brandy. To powinno dobrze pójść.

- Nie, nie mogę się tym zająć. Chociaż przyznaję, Rzymowi cholernie potrzeba rzemiosła. Kiedy stolicę przeniesiono do Rawenny, dochody z pensji państwowych się skończyły. To właśnie dlatego zaludnienie tak się zmniejszyło w ciągu ostatnich stu lat. Miasto jest źle położone, nie ma więc powodu, by dokonywać zmiany. Zresztą nic się nie da zrobić. Król Thiudahad marnuje czas pisząc wiersze po łacinie. Poezja! Nie, młody człowieku, nie mogę wkładać pieniędzy w dziki pomysł warzenia jakiegoś barbarzyńskiego trunku.

Padway zaczął sobie przypominać historię szóstego wieku.

- Wracając do Thiudahada, czy zamordowano już królową Amalasantę?

- Co? - Thomasus zdrowym okiem popatrzył przenikliwie na Padwaya. A tak, owszem.

Oznaczało to, że Justynian, "rzymski" cesarz Konstantynopola, wkrótce rozpocznie straszliwe i niszczące działania w celu odzyskania Italii dla Cesarstwa.

- Młodzieńcze, dlaczego zapytałeś w taki dziwny sposób?

- Pozwolisz, że usiądę?

Thomasus wyraził zgodę i Padway usiadł ciężko na krześle. Do tej pory przygoda wyglądała jak trudna i skomplikowana maskarada. Własne pytanie o zabójstwo Amalasanty uświadomiło mu wszystkie zagrożenia, jakie ten świat niósł dla życia ludzkiego.

Thomasus powtórzył:

- A więc, młody panie, dlaczego zadałeś pytanie w taki sposób?

- W jaki sposób? - zdziwił się Padway i jednocześnie zdał sobie sprawę, że wszedł na zbyt grząski teren. - Zapytałeś, czy j u z została zamordowana. To brzmiało, jakbyś wiedział wcześniej, że ją zabiją. Czy jesteś wróżbitą?

Nie było mocnych na Thomasusa. Padway przypomniał sobie radę Nevitty, żeby mieć oczy szeroko otwarte. Wzruszył ramionami.

- Niezupełnie. Usłyszałem, zanim tu przybyłem, że były jakieś spory między gockimi suwerenami i że Thiudahad miał ochotę wykluczyć z gry królową przy pierwszej nadarzającej się sposobności. No i, hm... chciałem dowiedzieć się, jak to się skończyło.

- Tak - rzekł Syryjczyk. - To wstyd. Była prawdziwą kobietą. Nieźle wyglądała jak na swoją czterdziestkę. Złapali ją w łaźni ostatniego lata i potrzymani głowę pod wodą. Osobiście sędzę, że to Gudelinda, żona Thiudahada, zmusiła te ciepłe kluski, swojego męża do czynu. Jemu samemu brakuje odwagi.

- Może była zazdrosna - uciął dyskusję Padway. - Wracając do produkcji tego barbarzyńskiego trunku, jak go nazwałeś...

- Co? Ależ z ciebie uparciuch. To wykluczone. Musisz być ostrożny przy robieniu w Rzymie interesów. To miasto już nie rośnie. Ba, gdyby to był Konstantynopol... - Westchnął. - Na wschodzie można zrobić naprawdę duże pieniądze. Ale nie mam ochoty tam mieszkać, odkąd Justynian zadbał, żeby heretykom, czy jak on ich tam nazywa, nie nudziło się zanadto. Przy okazji, jakiego jesteś wyznania?

- A ty? Choć nie ma to dla mnie większego znaczenia.

- Jestem nestorianinem.

- Aha - uśmiechnął się Padway - a ja jestem, jak to się u nas nazywa, kongregacjonalistą. - Była to nieprawda, ale pomyślał, że agnostycyzm nie jest zbyt popularny w tym zwariowanym na punkcie teologii świecie. - To jest najbliższym nestorianizmu w moim kraju. Ale wracając do produkcji brandy...

- Nic z tego, młodzieńcze, pod żadnym pozorem. A co ci jest potrzebne, żeby zacząć?

- Duży kocioł miedziany, sporo miedzianych rurek i wino jako surowiec. Nie musi być dobrej jakości. Mógłbym zacząć szybciej, gdybym miał paru ludzi do pomocy.

- Przykro mi, ale w tym jest za dużo ryzyka.

- Posłuchaj, Thomasusie, jeśli pokażę ci, że można skrócić o połowę czas, który zużywasz na rachunki, czy zainteresujesz się moją propozycją?

- Chcesz powiedzieć, że jesteś matematycznym geniuszem czy coś w tym rodzaju?

- Nie, ale znam nowy system i mogę go nauczyć twoich kantorzystów.

Thomasus przymknął oczy jak jakiś lewantyński Budda.

- Zgoda, jeśli nie chcesz więcej niż pięćdziesiąt solidów...

- Każdy interes jest, jak wiesz, hazardem.

- W tym rzecz, ale podejmę go - pod warunkiem, że twój system rachunkowy jest tak dobry, jak twierdzisz.

- A co z odsetkami? - zapytał Padway.

- Trzy procent.

Padway był zaskoczony. Potem zapytał -Trzy procent na...?

- Na miesiąc, oczywiście.

- Za dużo.

- Na co liczyłeś?

- W moim kraju sześć procent rocznie to bardzo wysoka stopa.

- Chcesz powiedzieć, że liczyłeś na to, bym na taki procent pożyczył ci pieniędzy? Aj! Boże, czy Ty go słyszysz? Młodzieńcze, powinieneś żyć z dzikimi Sasami i uczyć ich piractwa. Ale tak cię lubię, że obniżę ci stopę do dwudziestu pięciu procent rocznie.

- Ciągłe za wysoka. Mógłbym przyjąć siedem i pół. - Jesteś śmieszny. Nie wezmę mniej niż dwadzieścia za rok.

- Nie. Może być dziewięć.

- Nie jestem nawet zainteresowany. A szkoda, byłbyś dobrym partnerem w interesach. Piętnaście.

- Odpada, Thomasusie, dziewięć i pół.

- Boże, czy Ty słyszysz! On chce, żebym ja mu dawał prezenty. Idź stąd, Martinusie. Marnujesz swój czas. Ja zresztą też nie mam czasu. Dwanaście i pół. To ostatnia propozycja.

- Dziesięć.

- Czy ty nie rozumiesz po łacinie? Powiedziałem, że to ostatnia propozycja. Do widzenia. Miło mi było cię poznać.

Kiedy Padway wstał, bankier zasyczał przez zęby, jakby go ktoś śmiertelnie ugodził, i zazgrzytał:

- Jedenaście.

- Dziesięć i pół.

- Zechciałbyś mi pokazać zęby? Słowo daję, zupełnie ludzkie. A ja już myślałem, że masz kły rekina. No, dobrze. Ta sentymentalna wielkoduszność wkrótce mnie zrujnuje. A teraz zobaczmy ten twój system rachunkowy.

Godzinę później trzech smutnych pisarczyków siedzących rządkiem przyglądało się Padwayowi z mieszaniną respektu, zdziwienia i nienawiści. Padway właśnie skończył długi, ale

prosty rachunek używając cyfr arabskich, podczas gdy tamci zaledwie zaczynali żmudny proces prób i błędów, jakiego wymagały działania na cyfrach rzymskich. Padway przetłumaczył swój wynik na łacinę i napisał go na tabliczce, którą podał Thomasusowi.

- Proszę. Poleć któremuś z chłopców, aby to sprawdził. Niech pomnoży dzielnik przez wynik. Możesz zwolnić ich z innych zajęć; zajmie im to całą noc.

Kantorzysta w średnim wieku, który przyglądał się Martinowi z nieukrywaną nienawiścią, przepisał liczbę i z zawziętością zabrał się do sprawdzania wyniku. Gdy po długim czasie skończył, odrzucił rysik i warknął:

- On jest na pewno czarownikiem: Dokonał wszystkich operacji w pamięci, a te głupie znaczki wypisał, żeby nas oszukać.

- Wcale nie - odrzekł Padway układnie. - Mogę was nauczyć tego samego.

- Co?! Ja mam brać lekcje u barbarzyńcy w długich portkach? Ja...

Chciał powiedzieć coś więcej, ale Thomasus przerwał mu mówiąc, żeby robił, co mu się każe, i nie odszczekiwał.

- Ach, tak! - zaśmiał się drwiąco rachmistrz. Jestem wolnym obywatelem rzymskim i od dwudziestu lat zajmuję się buchalterią. Sądzę, że znam swój fach. Jeśli chcesz, żeby ktoś używał tego pogańskiego systemu, idź kupić sobie jakiegoś płaszcącego się greckiego niewolnika. Skończyłem!

- No i zobacz, coś ty narobił! - wykrzyknął Thomasus, kiedy rachmistrz wziął swój płaszcz z kołka i wyszedł. - Będę musiał teraz wynająć innego człowieka, a przy tym braku rąk do pracy...

- Wszystko w porządku - uspokajał go Padway. - Tych dwóch łatwo wykona całą robotę, gdy tylko się nauczą amerykańskiej arytmetyki. To jeszcze nie wszystko. Mamy coś, co się nazywa podwójną księgowością. Pozwoli ci ona sprawdzić w każdej chwili stan twoich finansów i wyłapać omyłki...

- Czy słyszysz to, Boże? On chce przewrócić do góry nogami całą bankowość! Proszę cię, drogi panie, nie za wiele rzeczy na raz, bo zwariujemy. Dam ci pożyczkę, pomogę kupić wyposażenie, tylko nie wyskakuj więcej z tymi twoimi światoburczymi pomysłami. - Trochę się uspokoił. - A co to za bransoleta, na którą spoglądasz co i raz?

Padway wyciągnął rękę.

- To rodzaj przenośnej klepsydry... Nazywamy to zegarkiem.

- Hmm... Segarhos? Wygląda na przedmiot magiczny. A w ogóle, czy jesteś zupełnie pewien, że nie jesteś czarownikiem? - Bankier rozejrzał się nerwowo.

- Nie - zaśmiał się Padway - to proste urządzenie mechaniczne, jak na przykład chronometr wodny.

- Aha, rozumiem. Ale po co pałeczka, która pokazuje sześćdziesiąte części godziny? Nikomu normalnemu nie jest potrzebna tak dokładna znajomość czasu.

- Nam w Ameryce wydaje się to pożyteczne.

- No, tak. Co kraj to obyczaj. A co z lekcjami amerykańskiej matematyki dla moich chłopców? Oczywiście tylko po to, żeby upewnić nas, że to takie dobre, jak twierdzisz.

- W porządku, daj mi tabliczkę. - Padway wskrobał na wosku cyfry od jednego do dziewięciu i objaśnił je. - A teraz najważniejsza sprawa: - Narysował kółko. - To jest znak odpowiadający niczemu.

Młodszy skryba podrapał się w głowę.

- Chcesz powiedzieć, że to symbol bez znaczenia? Jaki będzie z niego pożytek?

- Nie powiedziałem, że jest bez znaczenia. To oznacza nic, zero. To, co zostanie, kiedy odejmiesz dwa od dwóch.

Starszy kantorzysta popatrzył sceptycznie.

- To dla mnie nie ma sensu. Co za pożytek z symbolu, który nie istnieje?

- Jest przecież na to określenie, specjalne słowo, tak? Nawet parę słów i używasz ich chyba?

- Myślę, że tak, ale nie używamy n i c z e g o w naszych rachunkach. Trudno wyobrazić sobie zysk z pożyczania na żaden procent. Albo jak wynajmować dom na żaden tydzień?

Młodszy pisarczyk uśmiechnął się ironicznie.

- Zdaje się, że czcigodny pan chce nam powiedzieć, jak osiągnąć zysk bez obrotu...

Padway zazgrzytał z cicha zębami.

- Wyjaśnię wam szybciej, jeśli nie będziecie mi przerywać. Wkrótce się przekonacie, jakie są powody, dla których używa się tego symbolu.

Dodawanie zajęło godzinę. Potem Padway zdecydował, że oficjaliści mają dość nauki na ten dzień. Dalej sami powinni się ćwiczyć, dopóki nie nabędą odpowiedniej wprawy. Był wykończony. Z natury szybki w mówieniu, mało się nie wściekł, przedzierając się sylaba po sylabie przez zwyrodniałą łacinę z szóstego wieku.

- To bardzo pomysłowe, Martinusie - sapnął bankier. - A teraz co do szczegółów tej pożyczki. Żartowałeś sobie oczywiście podając tak absurdalnie niską stopę. Dziesięć i pół procent...

- Co? Mówiłem serio, do cholery. A ty się zgodziłeś...

- Spokojnie, Martinusie. Mówiłem, że rozważę pożyczkę na ten procent dopiero po tym, jak moi oficjaliści nauczą się twojego systemu, o ile naprawdę okaże się tak dobry, jak mówiłeś. Ale tymczasem nie możesz spodziewać się, że dam ci...

Padway skoczył na równe nogi.

- To... to... o, do diabła, jak będzie po łacinie "szwindel"? Jeśli się wycofasz...

- Nie bądź pochopny, mój młody przyjacielu. Poza wszystkim dałeś chłopcom dobrą lekcję na początek. Teraz poradzą sobie sami, jeśli zajdzie potrzeba. Więc z równym powodzeniem mógłbyś...

- W porządku. Niech dalej próbują sami. Znajdę innego bankiera i wyuczę jego rachmistrzów wszystkiego, co trzeba. Odejmowanie, dodawanie, dzie...

- Aj! - zaskowyczał Thomasus. - Nie możesz rozgadać sekretu po całym Rzymie. To byłoby nieuczciwe wobec mnie.

- Naprawdę nie mogę? Posłuchaj tylko. Mógłbym sobie nawet całkiem niezłe urządzić życie nauczając. Jeśli ci się wydaje...

- No dobrze, dobrze. Nie dajmy się ponieść nerwom. Pamiętajmy, że Chrystus uczy cierpliwości. Zrobię dla ciebie wyjątek ze względu na to, że dopiero zaczynasz interesy.

Padway dostał swoje pieniądze na dziesięć i pół procent. Niechętnie przyobiegał, że nie ujawni swojej arytmetyki, dopóki pierwsza pożyczka nie zostanie spłacona.

Kupił miedziany kocioł w czymś, co można by nazwać sklepem z rupieciami, ale nawet tam nikt nie słyszał o miedzianych rurkach. Kiedy razem z Thomasusem wyczerpali wszystkie możliwości, zaczęli się rozglądać za warsztatami kotlarskimi. Kotlarze też nic nie wiedzieli o miedzianych rurkach. Kilku proponowało usługi, ale po astronomicznych cenach.

- Martinusie! - zawodził bankier. - Przeszliśmy już co najmniej pięć mil i nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Nie wystarczyłyby rurki ołowiane? Możesz dostać tego towaru, ile dusza zapragnie.

- Byłyby doskonałe, ale jest jeden szkopuł - odrzekł Padway. - Prawdopodobnie potruilibyśmy klientów, a to mogłoby zaszkodzić interesom. Nie sądzisz?

- Nie wiem, czy gdziekolwiek dostaniesz to, czego szukamy.

Padway myślał przez chwilę, podczas gdy Thomasus i Ajaks, czarny niewolnik, który niósł kocioł, przyglądali mu się uważnie.

- Gdybym mógł wynająć zręcznego fachowca z pewnym doświadczeniem w obróbce metalu, pokazałbym mu, jak się robi takie miedziane rurki. Jak u was można nająć człowieka?

- Różnie - odrzekł Thomasus. - Możesz kupić niewolnika, ale nie masz dosyć pieniędzy. Wolalbym zresztą, abyś nie dokładał ceny dobrego niewolnika do twojego przedsięwzięcia. No i musiałbyś mieć utalentowanego majstra, żeby wydobyć z niewolnika tyle pracy, by zwróciły ci się koszty inwestycji.

Padway pomyślał.

- Może by wywiesić na ścianie twojego domu ogłoszenie, że jest wolne miejsce?

- Co? - wykrztusił bankier. - Boże, czy Ty słyszysz? Najpierw wydiera mi pieniądze na swoje zwariowane pomysły, a teraz chce oblepić mi dom napisami. Nie ma granic...

- Spokojnie, Thomasusie. Nie podniecaj się. To nie będzie duży napis i zostanie bardzo artystycznie wykonany. Sam go namaluję. Chyba chcesz, żeby mi się powiodło?

- To nie odniesie skutku. Większość wyrobników nie umie czytać. Poza tym nie chcę, żebyś poniżał się pracą fizyczną. To byłoby śmieszne. Nie ma o czym mówić. A jakiej wielkości ogłoszenie miałeś na myśli?

Padway powlókł się do łóżka zaraz po obiedzie. Nie widział żadnej możliwości powrotu do swoich czasów. Żegnajcie na zawsze, przyjemności lektury American Journal of Archeology, żegnaj, Myszko Miki i splekiwany klozecie, żegnaj prosta, bogata, precyzyjna mowa angielska, żegnajcie...

Wynajął robotnika trzy dni po pierwszym spotkaniu z Thomasusem Syryjczykiem. Był to mały, smagły, zarozumiały Sycylijczyk o imieniu Hannibal Scipio. Wynajął też, na krótki termin, walącą się rudere na Kwirynale i zgromadził wystarczającą, jak sądził, ilość sprzętu i surowca. Aby za bardzo nie rzucać się w oczy, zaczął nosić do spodni tunikę z krótkimi rękawami. Dorośli rzadko zwracali na niego uwagę w tym mieście pełnym różnorodności, ale miał już dość małych chłopców biegających za nim po ulicach. Mimo to nalegał na przyszywanie obszernych kieszeni do tuniki, choć przerażony krawiec protestował przeciwko niszczeniu dobrego, klasycznego stroju jakimiś pogańskimi wymysłami.

Wystrugał z drewna formę i pokazał Hannibalowi, jak nawijać na nią miedziane wstęgi. Hannibal twierdził, że potrafi znakomicie lutować, ale gdy Padway spróbował zagiąć rurki odpowiednio do kształtu kotła destylacyjnego, wszystkie szwy natychmiast puściły. Hannibal nieco spuścił z tonu, choć nie na długo.

Nadchodził wielki dzień pierwszej destylacji; Padway oczekiwał go z lękiem. Według teorii Tancrediego wyrastała nowa gałąź drzewa czasu. Ale jeśli profesor się mylił? Jeśli Padway uczynił coś takiego, co zmieniło całą późniejszą historię? Być może uniemożliwił swoje własne narodziny w 1908 r. i wkrótce zniknie.

- Czy nie powinno być jakichś zaklęć albo czegoś w tym stylu? - zapytał Thomasus Syryjczyk.

- Nie - wściekł się Padway - już ci trzy razy mówiłem, że to nie jest magia.

Gdy się jednak rozejrzył, stwierdził, że jakieś "abrakadabra" świetnie pasowałyby do scenarii: stary, skrzypiący dom, mrugające kaganki oliwne, trzech przerażonych widzów: Thomasus, Hannibal Scipio i Ajaks, któremu ze strachu oczy wyszły z orbit, a zęby szczękały jak kastaniety. Gapił się na aparat destylacyjny, jakby za chwilę miał z niego wyleźć sam Belzebub.

- Trochę długo to trwa, nieprawdaż? - Thomasus nerwowo zacierał pulchne ręce. Zdrowym okiem łypał w stronę rurki, z której kropla po kropli sączyła się żółtawa ciecz.

- Chyba wystarczy - stwierdził Padway. - Dalej będzie tylko woda.

Kazał Hannibalowi usunąć kocioł i przelał gotowy produkt do butelki.

- Lepiej sam najpierw spróbuję - powiedział. Nalał trochę do kubka, powąchał i wypił łyk. Była to zdecydowanie słaba brandy, ale mogła ujść.

- Chcesz trochę. - zapytał bankiera.

- Daj najpierw Ajaksowi.

Ajaks cofał się krok po kroku z rękami wyciągniętymi w obronny geście.

- Nie, panie, proszę...

Wyglądał na tak przerażonego, że Thomasus nie nalegał.

- Hannibal, a ty?

- O, nie - zaprotestował Sycylijczyk. - Z całym szacunkiem, mam bardzo delikatny żołądek. Byle co zjem i już mnie boli, a jeśli już skończyliście, to wolałbym iść do domu. Źle spałem ostatniej nocy.

Ziewnął ostentacyjnie. Padway pozwolił mu pójść i łyknął jeszcze trochę.

- Dobrze - zdecydował się Thomasus - jeśli jesteś pewien, że mi to nie zaszkodzi, mogę trochę spróbować. - Spróbował rzeczywiście trochę, po czym rozkaszał się gwałtownie, rozlewając parę kropel z kubka. Dobry Boże, człowieku, z czego ty masz wnętrzości? To jest jak lawa prosto z wulkanu.

Gdy przestał się krztusić, na jego twarzy pojawiła się błogość.

- Ale to miło rozgrzewa w środku... - Zebrał fałdy togi i odwagę, po czym wypił resztę jednym haustem. - Hej! - krzyknął Padway. - Ostrożnie, to nie wino.

- Nie martw się o mnie, mam mocną głowę. Padway wziął inny kubek i usiadł.

- Może ty mógłbyś wyjaśnić mi sprawę, w której nie bardzo się orientuję. W moim kraju liczymy lata od narodzenia Chrystusa. Kiedy zapytałem jakiegoś człowieka w dniu, w którym przybyłem, o datę, powiedział, że jest tysiąc osiemset osiemdziesiąty ósmy od założenia Miasta. Czy mógłbyś mi przypomnieć, ile lat przed narodzeniem Chrystusa został założony Rzym?

Thomasus pociągnął brandy i pomyślał.

- Siedemset pięćdziesiąt cztery. Nie, siedemset pięćdziesiąt trzy. To znaczy, że teraz mamy rok Pański 535. Tej rachuby używa Kościół. Goci mówią, że to drugi rok panowania króla Thiudahada, a dla Bizantyjczyków to pierwszy rok konsulatu Flawiusza Belizariusza albo któreś tam imperium Justynianina. Mogło ci się dokładnie pomieszać. - Wypił jeszcze trochę. Wspaniały

wynalazek. - Podniósł kubek i zamachał nim na lewo i prawo. - Wypijmy jeszcze. Myślę, że osiągniesz sukces, Martinusie.

- Dziękuję. Mam nadzieję.

- Wspaniały wynalazek. Murowane powodzenie. Sukces bez wątpienia. Wielki sukces. Boże, czy słuchasz? Co? Dobrze. Spraw, żeby mój przyjaciel Martinus osiągnął wielki sukces. Na pierwszy rzut oka rozpoznam człowieka sukcesu, Martinusie. Wyławiam takich od lat. To dlatego powodzi mi się w bankowości. Sukces. Sukces! Wypijmy za sukces! Piękny sukces! Wspaniały sukces!

Wiesz co, Martinusie? - dodał po chwili. - Zmieńmy lokal. Nie podoba mi się opijanie powodzenia w tej starej ruderze. Chodzi o atmosferę. Musi być muzyka. Ile brandy ci zostało? W porządku, weźmiemy ze sobą butelkę.

Na północnym zboczu Kapitolu znaleźli odpowiednią spelunkę. "Muzykę" robiła młoda kobieta. Brzdąkając na harfie śpiewała w dialekcie kalabryjskim, który śmieszył do łez wesole towarzystwo.

- Wypijmy za... - Thomasus już miał powiedzieć po raz trzydziesty "sukces", ale zmienił zdanie. - Słuchaj, lepiej kupmy trochę tego cholernego wina, bo nas stąd wyrzucą. Można by ten twój towar pomieszać z winkiem?

Na widok przerażonej twarzy Padwaya dodał:

- Nie martw się Martinusie, stary przyjacielu, ja stawiam. Nie miałem takiej rozrywki od lat. Rozumiesz: rodzina.

Przywołał kelnera. Po krótkich ceregielach powiedział:

- Chwileczkę, Martinusie, stary przyjacielu, widzę tam człowieka, który jest mi winien pieniądze. Zaraz wracam. - Chwiejnie odszedł od stołu.

Człowiek siedzący obok nagle zagadnął Padwaya: - Co to za beberelucha, przyjacielu, którą ty i ten jednooki pijecie?

- A, to tylko taki zagraniczny napój zwany brandy - odpowiedział zakłopotany Padway.

- Zgadza się, jesteś cudzoziemcem. Odgaduję po akcencie.

Twarz mu się rozjaśniła.

- Wiem. Jesteś Persem. Znam akcent perski.

- Niezupełnie - odrzekł Padway. - Znacznie dalej.

- Aha! I jak ci się podoba w Rzymie?

- Podoba mi się jak dotąd.

- Niczego nie widziałeś - odpowiedział tamten. Było zupełnie inaczej, zanim przyszli Goci. - Zniżył konspiracyjnie głos: - I nie będzie zawsze tak, jak jest. Zważ na moje słowa.

- Nie lubisz Gotów?

- Nie. Musimy znosić ich prześladowania.

- Prześladowania? - Padway aż uniósł brwi.

- Prześladowania religijne. Nie będziemy tego znosić wiecznie.

- Myślałem, że Goci pozwalają każdemu czcić takiego Boga, jak mu się żywnie podoba.

- I o to chodzi. Zmuszają nas, ortodoksów, żebyśmy przypatrywali się, jak arianie, monofizyci, nestorianie i żydzi panoszą się bezkarnie, jakby ten kraj do nich należał. Jeśli to nie są prześladowania, to ciekawym, jak to nazwać?!

- Chcesz powiedzieć, że jesteś prześladowany, bo heretycy nie są?

- Właśnie, czy to nie jest oczywiste? Nie zniesiemy tego dłużej... Jakiego jesteś wyznania?

- No cóż - odrzekł Padway - jestem kongregacjonalistą, jak to się u nas mówi. W moim kraju nie ma niczego bliższego ortodoksji.

- Hm. Jeśli nie jesteś jednym z tych maronitów albo nestorianów, to może zrobimy z ciebie dobrego katolika.

- Co znowu o nestorianach" - zapytał Thomasus, który niespodziewanie się pojawił. - Tylko my mamy logiczne poglądy na naturę Syna: że był On człowiekiem, którego Ojciec nawiedził...

- Bzdura! - warknął ortodoks. - Tego się można spodziewać po niedowarzonych amatorach teologii. Nasz pogląd o dualistycznej naturze Syna nieodparcie dowodzi, że...

- Słyszysz, o Boże? Tak jakby jedna osoba mogła mieć więcej niż jedną naturę...

- Wszyscyście powariowali! - huknął wysoki, ponury blondas o wodnistych, niebieskich oczach i ciężkim akcencie. - My arianie, jako ludzie rozsądni. brzydzimy się sporami teologicznymi, ale jeśli chcecie poznać zdrowy pogląd na naturę Syna...

- Jesteś Gotem? - rzucił ostro ortodoks.

- Nie, jestem Wandalem, uchodzącą z Afryki. Jak mówiłem - zaczął wyliczać na palcach - albo Syn był człowiekiem, albo bóstwem, albo czymś pomiędzy. Przypuśćmy, że nie był człowiekiem, a Bóg jest tylko jeden, więc nie był Bogiem. Więc musiał być...

Od tej chwili sprawy potoczyły się za szybko, żeby Padway mógł za nimi nadążyć. Ortodoks podskoczył i zaczął wyc jak nawiedzony. Padway zrozumiał tylko, że termin "nikczemni heretycy" pojawiał się mniej więcej raz na zdanie. Blondas odrykiwał mu co i raz, a potem wszyscy zgromadzeni zaczęli wrzeszczeć:

- Zjedz go, barbarzyńco! To ortodoksyjny kraj, a komu się nie podoba, niech się wynosi, skąd przyszedł... Cholerne głupoty o dualistycznej naturze, my monofizyci... Jestem jakobitą i zaraz komuś dołożę... Wyrzucić heretyków!... A ja jestem eunomianistą i zaraz dołożę dwóm na raz...

Padway zobaczył nadlatujący przedmiot i dał nura pod stół. Kubek przeleciał mu koło ucha. Kiedy się podniósł, lokal wyglądał jak pole bitwy. Ortodoks trzymał nadętego jakobitę za włosy i tłukł go pięścią po twarzy. Blondas wymachiwał ławą nad głową i ryczał wandalską pieśń bojową. Padway uderzył w dołek jakiegoś championa ortodoksji, jego miejsce zajął natychmiast następny, znów cios w dołek, potem przewaliła się przez nich nawałnica.

Przedzierał się przez kupę kopiących, wyjących ciał jak pływak walczący z prądem. Ktoś go złapał za stopę i usiłował ją odgryźć. Padway nosił jeszcze masywne angielskie buciory. To go uratowało, ale atak został ponowiony, tym razem na kostkę. Jęknął z bólu, wyrwał stopę i kopnął gryzonia w gębę. Gęba cicho zawyła. Z mściwą satysfakcją zastanawiał się, czy złamał napastnikowi nos, czy też wybił zęby.

Heretycy byli w mniejszości, która kurczyła się, w miarę jak zbijano ich z nóg i wyrzucano za drzwi. Kątem oka dostrzegł błysk noża. Pomyślał, że to już najwyższy czas, by wybrać się do łóżka. Jako niewierzący nie był doprawdy zainteresowany pojedynczą,

podwójną czy jakąkolwiek inną naturą Chrystusa. Thomasusa Syryjczyka odnalazł pod stołem - bankier aż piszczał ze strachu; tulił się do stołowej nogi jak marynarz do swej lubej po sześciu miesiącach na morzu. Padwayowi ledwie udało się go odciągnąć.

Jasnowłosa Wandal ciągle wywijał ławą. Padway zawołał go i choć ten nie rozumiał słów w ogólnej wrzawie, spostrzegł gest wskazujący drzwi. Kilka sekund zajęło mu oczyszczenie drogi i po chwili we trzech, potykając się, przepchnęli się przez tłum zgromadzony na zewnątrz i zaczęli biec coraz szybciej, w miarę jak wzmagał się ryk za ich plecami. Wreszcie zorientowali się, że to Ajaks tak wrzeszczy, i zwolnili.

Usiedli na ławce parkowej, na skraju Pola Marsowego, kilka przecznic od pamiętnego dla Padwaya Panteonu. Thomasus złapał oddech:

- Martinusie, dlaczego pozwoliłeś mi pić tyle tego pogańskiego trunku! Och, moja głowa! Gdybym nie był pijany, miałbym dość rozsądku, by nie wszczynać teologicznych sporów.

- Chciałem, żebyś zwolnił tempo - stwierdził Padway łagodnie - ale ty...

- Wiem, wiem, ale należało mnie powstrzymać, choćby i siłą w razie potrzeby. Moja głowa! Co powie żona? Więcej nie chcę widzieć na oczy tego obrzydliwego, barbarzyńskiego napoju! A przy okazji: co zrobiłeś z butelką?

- Zgubiłem w czasie bójki, ale i tak niewiele tam zostało. Padway zwrócił się do Wandala:

- Sądzę, że jestem ci winien podziękowanie za wydobycie nas z opresji.

Wandal podkręcił węża.

- Było mi przyjemnie, przyjacielu. Spory religijne to nie jest zajęcie dla przyzwoitych ludzi. Pozwól, jestem Fritharik, syn Staifana. - Mówił powoli, szukając słów. - Niegdyś byłem zaliczany

w poczet ludzi szlachetnie urodzonych. Teraz jestem zaledwie biednym włóczęgą. Życie nie ma mi nic do zaoferowania.

Padway zobaczył łzę lśniąca w świetle księżyca.

- Mówisz, że jesteś Wandalem?

Fritharik westchnął jak odkurzacz.

- Tak. Miałem kiedyś jedną z najpiękniejszych posiadłości w Kartaginie. Ale przyszli Grecy. Kiedy król Gelimer uciekł i nasze wojsko poszło w rozsypkę, przedostałem się do Hiszpanii. Stamtąd w ubiegłym roku przybyłem tutaj.

- Co teraz robisz?

- Byłem zatrudniony w straży przybocznej rzymskiego patrycjusza do ubiegłego tygodnia. Pomyśl tylko - szlachetny Wandal służący jako strażnik. Ale mój pracodawca umyślił sobie nawrócić mnie na ortodoksję. Na to - dodał Fritharik z godnością - nie mogłem pozwolić. Więc jestem tu, gdzie jestem. Kiedy pieniądze się rozejdą, nie wiem, co się ze mną stanie. Pewnie się zabiję. Nikogo to nie będzie obchodzić. - Westchnął jeszcze parę razy, po czym dodał: - Nie szukasz czasem dobrego, zaufanego strażnika?

- Teraz nie - odrzekł Padway - ale może za parę tygodni. Czy mógłbyś odłożyć samobójstwo do tego czasu'?

- Nie wiem. Zależy, na ile starczy mi pieniędzy. Nie znam się na pieniądzach. Szlachetnie urodzonemu nie były potrzebne. Nie wiem, czy kiedykolwiek zobaczysz mnie wśród żywych. - Wytarł oczy rękawem.

- O, na litość boską - powiedział Thomasus. Jest wiele rzeczy, które mógłbyś robić.

- Nie - rzekł Fritharik tragicznie - ty tego nie rozumiesz, przyjacielu. To sprawa honoru. Cóż zresztą życie ma mi do zaoferowania? Mówisz, że mógłbyś mnie później zatrudnić? - zwrócił się do Padwaya.

Ten przytaknął i dał Wandalowi adres.

- Doskonale; przyjacielu. Zanim dwa tygodnie miną, spocznię pewnie w samotnym, bezimiennym grobie, ale gdyby nie, będę pod ręką.

Pod koniec tygodnia Padway miał kilka powodów do zadowolenia. Nie rozpląnął się w powietrzu, na półce stał już rząd butelek, ale przede wszystkim finanse były w dobrym stanie. Po odliczeniu pięciu solidów za miesięczny czynsz i sześciu, które poszły na aparaturę, zarobki Hannibala i jego własne utrzymanie, pozostawało jeszcze ponad trzydzieści solidów z pożyczonych pięćdziesięciu.

- Ile masz zamiar liczyć za ten towar? - zapytał Thomasus.

Padway zamyślił się.

- To, naturalnie, artykuł luksusowy. Jeśliby udało się wstawić go do paru restauracji lepszej klasy, to nie widzę powodu, żeby nie brać dwóch solidów za butelkę, przynajmniej dopóki ktoś nie odkryje naszego sekretu i nie zacznie konkurować.

Thomasus zatarł ręce.

- W tym tempie będziesz mógł spłacić dług, praktycznie rzecz biorąc, z zysku za pierwszy tydzień sprzedaży. Ale nie śpieszy mi się; lepiej znów zainwestować pieniądze w interes. Zobaczymy, jaki obrót przyjmą sprawy. Znam restaurację, od której moglibyśmy zacząć.

Padwaya aż skręciło ze strachu na myśl o tym, że sam będzie musiał pertraktować z restauratorem. Zupełnie nie nadawał się na akwizytora.

Zapytał: - Co powinienem zrobić, żeby kupić choć trochę? Nie za bardzo znam się na rzymskich zwyczajach handlowych.

- W porządku. Nie odmówi, bo jest mi winien pieniądze i zalega ze zwrotem. Zapoznam was.

Było tak, jak przewidywał bankier. Właściciel restauracji, pękaty człowieczek o imieniu Gaius Attalus, z początku trochę się boczył. Nasz przedsiębiorca dał mu brandy do spróbowania i w ten sposób nieco go zmiękczył. Thomasus musiał pytać Boga, czy Ten słucha, tylko dwa razy, zanim Attalus zgodził się przyjąć pół tuzina butelek po proponowanej cenie.

Padway, który tego ranka przeżywał załamanie, poczuł się znów pełen energii. Opuszczał restaurację z kieszeniami przyjemnie obciążonymi złotem.

- Myślę - powiedział Thomasus - że powinienesz też zaopatrzyć się w jakiś dobry, mocny kufer oraz ochroniarza.

Toteż, gdy Hannibal Scipio zameldował, że przyszedł jakiś ponury, wysoki drab, Padway wpuścił Wandala i zatrudnił go natychmiast.

Martin zapytał Fritharika, czym ten ma zamiar go bronić jako ochrona osobista. Wandal zakłopotany żuł przez chwilę wąsy i wreszcie powiedział:

- Miałem piękny miecz, ale musiałem go zastawić, żeby mieć za co żyć. To było wszystko co stało między mną, a bezimiennym grobem. - Westchnął.

- Przestań na chwilę myśleć o grobach - warknął Padway - i powiedz, ile potrzebujesz, żeby odzyskać miecz.

- Czterdzieści solidów.

- Ho, ho! Z czego on był, z czystego złota czy jak? - Nie, z dobrej damasceńskiej stali i miał klejnoty w rękojeści. To wszystko, co mi pozostało z pięknej posiadłości w Afryce: Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tam było cudownie...

- No już dobrze, już dobrze. Na miłość boską, tylko znowu nie płacz. Masz tu pięć solidów i kup najlepszy miecz, jaki za to dostaniesz. Potrącę ci je z wynagrodzenia. Na wykupienie tego wysadzanego klejnotami tasaka musisz sobie sam odłożyć. To twoja sprawa.

Fritharik oddalił się i wkrótce potem znów się pojawił z okazjnie kupionym mieczem pobrzękującym mu u boku.

- To najlepsza rzecz, jaką mogłem kupić za te pieniądze - wyjaśnił. - Handlarz twierdził, że to damasceńska robota, ale widać, że znaki na kłindze są sfalszowane. Tutejsza stal jest miękka, sądzę jednak, że wystarczy. Gdy miałem swą piękną posiadłość w Afryce, najlepsza stal nie była za dobra. - Westchnął przeraźliwie.

Padway obejrzał miecz. Była to typowa szóstowieczna spatha z szeroką, trzydziestocalową jednosieczną klingą. Bardzo przypominała szkocki miecz, tylko bez fantazyjnej gardy. Zauważył też, że Fritharik, syn Staifana, mimo że posępny jak zwykle, z mieczem u pasa poruszał się z większą godnością. Bez niego czuł się chyba półnagi.

- Umiesz gotować? - zapytał.

- Wynająłeś mnie jako ochronę osobistą, a nie jako pokojówkę, mój panie Martinusie. Mam swój honor. - Och, to bzdury, stary. Sam sobie gotuję, ale zabiera mi to za dużo czasu. Jeśli ja mogę, to ty też. No więc, umiesz gotować?

Fritharik podkręcił węża. - Właściwie... Tak.

- Co, na przykład?

- Potrafię zrobić stek, usmażyć boczek.

- Co więcej?

- Nic więcej. Tylko to miałem okazję robić. Dobre, krwiste mięso to posiłek dla wojownika. Nie mogę strawić tej zieleniny, którą jedzą Italczycy.

Padway westchnął zrezygnowany. Postanowił poprzestać na kawalerskiej diecie. A właściwie, to można by przynajmniej zorientować się w kosztach wynajęcia pomocy domowej.

Thomasus znalazł mu wiejską dziewczę, która miała gotować, sprzątać i ścielić łóżka za absurdalnie niskie wynagrodzenie. Dziewczyna miała na imię Julia. Była z Apulii i mówiła dialektem. Miała około dwudziestu lat. Była krępa, smągła i zapowiadała się na herod-babę w późniejszym wieku. Nosila prosty, nieforemny strój i człapała po domu wielkimi bosymi stopami. Od czasu do czasu rzucała jakiś żart, za szybko jednak, żeby Padway mógł zrozumieć, po czym wybuchała salwami śmiechu. Pracowała ciężko, ale Padway musiał ją uczyć od podstaw swoich zasad prowadzenia domu.

Kiedy pierwszy raz zdezynfekował dom dwutlenkiem siarki, wystraszyła się niemal do utraty zmysłów. Wypadła przed dom wrzeszcząc, że nadszedł Szatan.

Padway postanowił świętować w piątą niedzielę swojego pobytu w Rzymie. Prawie przez miesiąc harował dzień i noc z Hannibalem przy aparacie destylacyjnym, rozładowywał baryłki z winem i widywał się z restauratorami, których zwabiła sława, jaką nowy, niezwykle trunek zyskał wśród klientów.

Zdał sobie sprawę, że przy nienasyconym rynku nie ma co marnować czasu na szukanie odbiorców, kiedy towar chwycił. Rozważał podjęcie pożyczki u Thomasusa na jeszcze jedną destylatornię. Tym razem zbudowałby zestaw walców i sam wytłaczałby blachę miedzianą z prętów, zamiast męczyć się z łataniną przy ręcznie klepanym surowcu.

Teraz zaś, chociaż zakopał się w interesach po uszy, zapragnął rozrywki. W jego przypadku oznaczało to Bibliotekę Ulpiana. Pomyślał, że wewnątrz nie wiele się zmienił. Nadal nie znosił zaczepiania obcych ludzi i ubijania interesów. Ale kiedy popatrzył w lustro, stwierdził, że powierzchowność zmieniła mu się tak dalece, że żaden z jego byłych przyjaciół nie poznałby go. Wyrosła mu krótka, ruda bródka. Stało się tak po części dlatego, że nigdy w poprzednim życiu nie golił się brzytwą, więc teraz byłaby to dla niego zbyt szarpiąca nerwy czynność, po części dlatego zaś, że zawsze w tajemnicy chciał mieć brodę jako równowagę dla nosa.

Nosił już drugą tunikę, tym razem w stylu bizantyńskim, z bufiastymi rękawami, przy której sztruksowe spodnie dawały dość niespodziewany efekt, ale w obliczu nadchodzącej zimy nie wyobrażał sobie noszenia krótkich spodenek zgodnych z tutejszą modą. Wdziewał też rzymski płaszcz, czyli wielki kwadratowy koc z dziurą na głowę. Wynajął babę, która robiła mu skarpety i bieliznę.

Razem wzięwszy, był z siebie całkiem zadowolony. Uznał też, że miał szczęście spotykając Thomasusa. Syryjczyk był mu niezwykle pomocny.

Padway zbliżał się do biblioteki z uczuciem wewnętrznego mrowienia jak zakochany, gdy czuje bliskość swej miłej. Nie rozczarował się. Mało nie wrzasnął z radości, gdy po krótkim przeglądzie półek odkrył na nich Historię chaldejską Berosusa, pełne wydanie dzieł Liwiusza,

Tacyta Historię podboju Brytanii i ostatnio wydany komplet Historii gockiej Kasjodora. To był zbiór, dla którego niejedyn dwudziestowieczny historyk z radością popełniłby morderstwo.

Przez parę minut dygotał, jak przysłowiowy osiołek, któremu "w żłoby dano". Potem pomyślał, że najbardziej wartościowych informacji udzieli mu Kasjodor, jako że traktuje o sprawach, którymi on sam żyje teraz na co dzień. Przytaszczył więc dwa opasłe tomy i zasiadł do pracy. To była ciężka robota nawet dla kogoś, kto zna łacinę. Księgi były zapisane półkursywą minuskułą bez przerw między wyrazami. Niewiarygodnie przegadany i afektowany styl pisarza nie wywarł na nim takiego wrażenia po łacinie; jakie wywarłby po angielsku. Tu wybierał suche fakty.

- Wybacz, panie - przerwał jego duchową ucztę bibliotekarz - ale czy ten barbarzyńca z żółtym wąsem to twój człowiek?

- Owszem - odrzekł Padway. - Czy coś się stało?

- Zasnął w sekcji orientalnej i tak chrapie, że czytelnicy się skarżą.

- Już idę po niego. Poszedł obudzić Fritharika.

- Nie umiesz czytać? - zapytał.

- Nie - zupełnie zwyczajnie stwierdził Wandal. A powinienem? Kiedy miałem jeszcze piękną posiadłość w Afryce, nie było okazji...

- Tak, wiem wszystko o twojej pięknej posiadłości, stary, ale albo naucz się czytać, albo idź sobie chrapać na zewnątrz.

Fritharik wyszedł cokolwiek zdenerwowany, mamrocząc coś pod wąsem we wschodniogermańskim narzeczu. Martin zgadywał, że nazwał czytanie zajęciem dla niewieściuchów.

Kiedy Padway wrócił do stołu, zastał tam starszego, ubranego z prostą elegancją Rzymianina, który przeglądał jego Kasjodora. Mężczyzna podniósł wzrok.

- Przepraszam, zdaje się to czytasz, panie...

- Nie szkodzi - rzekł Padway - nie korzystam z całości. Jeśli tobie, panie, nie jest potrzebny pierwszy tom...

- Pięknie, pięknie, mój drogi młodzieńcze. Muszę cię jednak uprzedzić, że winienesz koniecznie odłożyć książki na właściwe miejsce. Scylla pozbawiona łupu przez Jazona to baranek w porównaniu z naszym szacownym bibliotekarzem, kiedy stwierdzi, że ktoś pomieszał mu woluminy. A co, jeśli wolno wiedzieć, sądzisz o pracy naszego prefekta pretorianów?

- To zależy - stwierdził Padway tonem znawcy. Podaje wiele faktów, których nie znajdzie się gdzie indziej. Wolę jednak prostszy wykład.

- Co masz na myśli?

- Myślę o mniej kwiecistej retoryce.

- Ale, ale, mój drogi młodzieńcze! Kiedy wreszcie, my współcześni, wydaliśmy historyka, który może się równać z wielkim Liwiuszem, ty mówisz, że ci się nie podoba...

Błysnął białkami oczu, zniżył głos i pochylił się.

- Zważ tylko na subtelność wyobraźni, znakomitą erudycję! Co za styl! Co za rozum!

- Problem w tym, że nie można porównywać Polibiusza czy nawet samego Juliusza Cezara...

- Juliusz Cezar! Każdy wie, że nie umiał pisać. Wojny galijskiej używa się jako podstawowego tekstu łacińskiego do nauki języka dla cudzoziemców. To dobre dla włochatego barbarzyńcy, który przemierza północne puszcze w pogoni za krwiożerczym odyńcem i straszliwym niedźwiedziem... A więc, zapytuję cię, drogi młodzieńcze, czy kulturalni ludzie, jak ty i ja... Och! - Zerknął w dół i zakłopotał się na widok spodni Padwaya. - Uwagi o cudzoziemcach nie były osobistą aluzją. Widzę, że przybywasz z daleka, co trochę się kłóci z twoimi manierami i erudycją. Czyżbyś pochodził z baśniowego kraju Hind, słynnego ze słoni, pereł i pięknych dziewczyc?

- Nie, urodziłem się znacznie dalej - stwierdził po raz nie wiadomo który Padway. Wiedział, że wywarł wrażenie na wykształconym patrycjuszu rzymskim, jednym z takich, co przy stole nie proszą cię o podanie maselniczki bez trzech kalamburów, czterech mitów i rozprawy o wyrobie masła na archaicznej Krecie. Pochodzę z Ameryki; nie sądzę, żeby mi było dane kiedykolwiek tam wrócić.

- Ach, jakaż to słuszna decyzja! Po cóż mieszkać gdziekolwiek indziej, skoro można w Rzymie? Mógłbyś może opowiedzieć mi o cudownościach odległych Chin, z ich brukowanymi złotem ulicami?

- Niewiele o nich wiem - Martin był nadal bardzo ostrożny - poza tym, że ulice w Chinach nie są brukowane złotem. Najczęściej nie są w ogóle brukowane.

- Cóż za rozczarowanie! Przypuszczam, że nawet prawdomówny podróżny wracający z niebios, głosiłby ich cudowności w sposób znacznie przesadzony. Musimy poznać się bliżej, szlachetny młody panie. Jestem Cornelius Anicius.

Padway spostrzegł, że nowy znajomy najwyraźniej się spodziewał, iż zostanie rozpoznany. On także się przedstawił. Ach, otóż i romans. Podeszła do nich śliczna smukła i smągła dziewczyna. Zwróciła się do Aniciusa per "ojcze" i powiedziała, że nie może znaleźć sabeliańskiego wydania Persiusa Flaccusa.

- Ktoś pewnie korzysta z tego dzieła. Martinusie, to moja córka Dorothea. Nie córka, lecz istna perła z diademem króla Chorsoeza, choć jako ojciec mogę być nieobiektywny.

Dziewczyna uśmiechnęła się słodko do Padwaya i przeprosiła, że musi odejść.

Anicius zapytał:

- A teraz, kochany młodzieńcze, czym się zajmujesz?

Padway bez zastanowienia odrzekł, że interesami.

- Doprawdy? A jakiego rodzaju?

Padway opowiedział. Patrycjusza zmroziło, gdy wiadomość dotarła do jego świadomości. Nadal uprzejmie się uśmiechał, ale był to uśmiech zupełnie innego rodzaju.

- Tak, tak, to interesujące. Bardzo interesujące. Cedził słowa z pewną trudnością, jak sekretarz Y.M.C.A. przy dyskusji o seksie. - Sądzę, że nie powinniśmy wstydzić się miejsca, na które Bóg nas powołał, ale to bardzo niedobrze, żeś nie próbował szczęścia na urzędzie. To jedyna droga, żeby wznieść się ponad swój stan, a taki inteligentny młody człowiek jak ty zasługuje na to. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym poczytać.

Padway miał już nadzieję uzyskać zaproszenie do domu Aniciusa. Teraz gdy Anicius dowiedział się, że ma do czynienia z pospolitym przedsiębiorcą, Martin nie mógł się spodziewać, że patrycjusz pozwoli mu się odwiedzić. Popatrzył na zegarek; zbliżała się pora posiłku. Wyszedł i obudził Fritharika. Wandal ziewnął:

- Znalazłeś książki, które chciałeś, Martinusie? Właśnie śniłem o mojej pięknej posiadłości...

- Do diabła z tym... - warknął Padway i gwałtownie przerwał.

- Co? - powiedział Fritharik. - To nie wolno mi nawet śnić o czasach, kiedy byłem bogaty i szanowany? To niezbyt...

- Nic, nic. Nie myślałem o tobie.

- Cieszy mnie to. Moim jedynym pocieszeniem są wspomnienia. Ale czemu jesteś taki zły, Martinusie? Wyglądasz, jakbyś miał ochotę kogoś udusić. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, kontynuował: - Martinusie, musiało coś być w tych książkach. Cieszę się, że nigdy nie nauczyłem się czytać. Martwisz się o rzeczy, które działy się dawno temu. Lepiej pomarzę o mojej pięk... uff. Przepraszam, szefie, nigdy więcej nie wspomnę o tym.

Padway i Thomasus Syryjczyk wraz z kilkuset nagimi Rzymianami siedzieli w kłębach pary w Łażniach Dioklecjana. Bankier popatrzył z ukosa na otoczenie.

- Słyszałem, że kiedyś wpuszczali do tych łaźni kobiety razem z mężczyznami. Oczywiście, to były czasy pogańskie. Nic takiego dziś się już nie zdarza.

- Chrześcijańska moralność, bez wątpienia stwierdził oschle Padway.

- Właśnie - zachichotał Thomasus. - My, współcześni, jesteśmy tak niezwykle moralnym narodem. Wiesz, na co zwykła narzekać cesarzowa Teodora?

Padway przytaknął i opowiedział dokładnie Thomasusowi, na co w samej rzeczy uskarża się cesarzowa.

- O, do diabła! - krzyknął bankier. - Ile razy chcę ci opowiedzieć jakąś sprośną historyjkę, to ty albo ją już słyszałeś, albo znasz lepszą.

Padway nie uważał za wskazane powiedzieć Syryjczykowi, że wyczytał te nieprzyzwoitości w książce, która jeszcze nie została napisana, mianowicie w Anegdotach Prokopiusza z Cezarei.

Thomasus kontynuował:

- Dostałem list od kuzyna Antiochusa z Neapolu. Jest armatorem. Ma nowiny z Konstantynopola. Zrobił przerwę dla większego efektu. - Będzie wojna.

- Między nami a Cesarstwem?

- W każdym razie między Gotami a Bizancjum; coś tam się knuje, odkąd zamordowano Amalasantę. Thiubahad próbował zrzucić z siebie odpowiedzialność za zbrodnię, ale sądzę, że zbliża się koniec starego króla-poety.

- Uważaj na Dalmację i Sycylię - ostrzegł Martin. - Przed końcem roku...

- Znowu trochę przepowiedni?

- Nie, po prostu tak mi się wydaje.

Zdrowe oko bankiera, bardzo czarne i bardzo inteligentne przewierciło Padwaya na wylot.

- Martinusie, kim ty właściwie jesteś?

- O co ci chodzi?

- Coś w tobie jest. Nie wiem, jak to powiedzieć. To nie tylko ten zabawny sposób wygłaszania opinii. Masz niesamowicie dużo wiadomości i wyciągasz je od czasu do czasu jak magik złote monety z ucha swojego pomocnika, ale kiedy próbuję wydobyć od ciebie jakieś informacje o kraju, z którego przybyłeś, natychmiast zmieniasz temat.

- No, cóż... - Padway zastanawiał się, ile kłamstwa zaryzykować. Nagle wpadła mu na myśl doskonała odpowiedź, prawdziwa, a zarazem dająca pewność, że Thomasus fałszywie ją zinterpretuje. - Widzisz, opuściłem swój kraj w wielkim pośpiechu.

- Ze względów zdrowotnych, co? - Thomasus zrobił oko. - Skoro tak, nie mam ci za złe, że jesteś powściągliwy w słowach.

Kiedy szli ulicą Długą w stronę domu Padwaya, bankier zapytał o stan interesów.

- Idzie całkiem dobrze - odrzekł Martin. - Nowy kocioł destylacyjny będzie gotów w przyszłym tygodniu. Sprzedałem trochę miedzianych pasków kupcowi udającemu się do Hiszpanii, a teraz czekam na morderstwo. - Na morderstwo!?

- Tak. Fritharik i Hannibal Scipic żyją jak pies z kotem. Hannibal zrobił się jeszcze bardziej zarozumiały, odkąd ma paru ludzi pod sobą. Co i rusz wtyka szpilę Fritharikowi.

- Co mu wtyka?

- Nic, to amerykański zwrot dosłownie przetłumaczony. Znaczy, że ciągle z niego kpi i obraża go. Przy okazji, mam zamiar spłacić dług, gdy tylko przyjdziemy do mnie.

- W całości?

- Tak jest. Pieniądze w kuferku czekają na ciebie.

- Wspaniale, mój drogi Martinusie. Ale czy nie będziesz potrzebował następnej pożyczki?

- Nie jestem pewien - odparł w zupełności tego pewien Padway. - Myślałem o powiększeniu destylatorni.

- Wspaniały pomysł. Już się urządziłeś, więc zabezpieczymy długi na twoim przedsiębiorstwie.

- To znaczy?

- To znaczy, że trzeba będzie na nowo rozważyć problem odsetków. Jak wiesz, normalnie są o wiele wyższe...

- Ha, ha! - zaśmiał się Padway. - Wiedziałem, że o to ci chodzi, ale teraz, gdy wiesz, że interes jest pewny, możesz sobie pozwolić na niższą stopę procentową.

- Aj! Martinusie, to absurd! Jak możesz mnie tak traktować po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

- Bez łaski. Nie chcesz, to nie pożyczaj. Są inni bankierzy i pewnie chętnie się nauczą amerykańskiej arytmetyki...

- Słuchaj go, Boże! To rabunek! To wymuszenie! Nigdy na to nie pozwolę! Idź sobie do innych bankierów, nic mnie to nie obchodzi.

Trzy przecznice dalej sprzeczka ustała, a stopa procentowa zatrzymała się na dziesięciu, co według Thomasusa równało się wydarciu mu serca i ofiarowaniu go na ołtarzu przyjaźni.

Padway nie mówił o morderstwie w przyływie jasnowidzenia, żartował sobie tylko. Toteż, kiedy weszli do warsztatu, był bardziej zaskoczony niż Thomasus, widząc Fritharika i Hannibala łypiących na siebie spode łba jak dwa psy walczące o kość. Dwaj pomocnicy Hannibala przypatrywali się scenie zwróceniami plecami do drzwi, tak, że żaden nie zauważył przybyłych.

Hannibal warczał:

- Czego chcesz, ty kudłaty łbie'? Byczysz się cały boży dzień, a teraz masz śmiałość robić mi wymówki... - Powiedziałem tylko - odburknął Wandal w swojej niezgrabnej, powolnej łacinie - że jak cię jeszcze raz przyłapię, powiem Martinusowi. Chciałeś, to masz. Teraz to uczynię.

- Poderżnę twoje parszywe gardło, jeśli to zrobisz! - ryknął Hannibal.

Fritharik rzucił krótką, ale zjadliwą uwagę na temat życia płciowego Sycylińczyka. Hannibal błyskawicznym ruchem wyjął sztylet i rzucił się na Wandala z szybkością atakującego grzechotnika. Instynktownie zamierzył się z góry. To był błąd taktyczny: bezbronny Fritharik

chwycił go za przegub, aż zatrzeszczało. Ale musiał rozluźnić chwyt, kiedy Hannibalowi udało się skaleczyć go w przedramię.

Kiedy Sycylijczyk robił zamach do następnego ciosu, Padway podbiegł, złapał go za rękę i odciągnął od przeciwnika. Natychmiast zmieniły się role: teraz Padway musiał bronić się przed zadżganiem. Hannibal z pianą na ustach wrzeszczał coś w sycylijskim narzeczu. Padway zorientował się, że ten chce go zabić. Szarpnął głową do tyłu, kiedy poczuł brudne pazury Hannibala orzące mu nos. Trzeba przyznać, że Sycylijczyk dobrze wybrał: trudno było chybić tak okazałego celu.

Rozległo się głucho uderzenie i Hannibal zgiął się w pół, gubiąc sztylet. Padway pozwolił mu osunąć się na podłogę i spostrzegł Nervę, starszego z dwóch pomocników, który stał obok, trzymając stołek za nogę. Wszystko to rozegrało się w mgnieniu oka. Fritharik nawet nie zdążył się schylić po kawałek deski, by użyć jej w charakterze oręża. Thomasus i Carbo, drugi pomocnik, stali nadal przy drzwiach w osłupieniu.

Padway jeszcze rozdygotany zwrócił się do Nery:

- Będiesz moim następnym majstrem. Fritharik! O co poszło?

Fritharik nie odpowiedział. Skradał się w kierunku nieprzytomnego Hannibala. Nieskrywana żądza mordu malowała się na jego twarzy.

- Dość tego! - rozkazał ostro Padway. - Dość tej bijatyki, bo ciebie też zwolnię. - Zasłonił sobą niedoszłą ofiarę. - Co on takiego zrobił?

- Kradł kawałki miedzi z magazynu i sprzedawał je. - Wandal opanował się. - Staralem się go powstrzymać, ale nie mówiłem ci o tym. Wiesz, jak to jest, kiedy posądzają cię o donosicielstwo. Szefie, proszę, pozwól mi go stuknąć. Może i jestem biednym wygnańcem, ale żaden zboczony Greczynek...

Padway nie pozwolił. Thomasus radził wnieść oskarżenie i spowodować aresztowanie Hannibala, ale Martin nie chciał mieć do czynienia z sądami. Kiedy Sycylijczyk doszedł do siebie, Fritharik wyekspediował go za drzwi potężnym kopniakiem. Jednego łajdaka mniej, pomyślał kpiąco Padway, gdy były majster odchodził jak zbity pies.

Fritharik po wyekspediowaniu Hannibala stwierdził stanowczo:

- Myślę, że to był błąd, Martinusie. Mogłem utopić ciało w Tybrze, tak żeby nikt się nie dowiedział. Może nam jeszcze narobić kłopotu.

Padway podejrzewał, że ostatnie stwierdzenie może okazać się prawdziwe, ale rzekł tylko:

- Lepiej zabandażujmy twoje ramię. Cały rękaw masz przesiąknięty krwią. Julio, weź kawałek płótna i wygotuj je. Tak! W y g o t u j je!

Padway uznał, że najważniejsze jest zapewnienie sobie utrzymania. Postanowił, że dopóki nie osiągnie celu, nie podejmie żadnej innej działalności. Nie miał zamiaru zaskakiwać Bogu ducha winnych Rzymian wynajdowaniem prochu albo odkrywaniem prawa grawitacji.

Rozmowa z bankierem o wojnie uprzytomniła mu jednak, że polityka i kultura w równym stopniu jak ekonomika liczą się w świecie, w którym przyszło mu działać. W swoim poprzednim życiu nigdy nie interesował się zbytnio bieżącymi wydarzeniami, a w pocesarskim Rzymie, bez gazet i radia, jeszcze łatwiej przychodziło mu zapomnieć o wszystkim, co działo się na zewnątrz jego mikrokosmosu.

Żył teraz u schyłku klasycznej zachodniej cywilizacji. Nadchodził wiek Ciemności, zwany również wiekiem Wiary. Na nieomal tysiąc lat Europę otoczą mroki. Zniknie nauka i technika, czyli z punktu widzenia dwudziestowiecznego umysłu Padwaya najważniejsze, jeśli nie jedyne aspekty cywilizacji. Oczywiście ludzie, wśród których żył, nie zdawali sobie z tego sprawy. Proces był zbyt powolny, aby można go było zaobserwować w czasie równym życiu człowieka. Toteż współcześni uznawali swoją cywilizację za najlepszą z możliwych światów, ba, chętni się nowoczesnością.

Co więc robić? Czy jeden człowiek może zmienić bieg historii? Ktoś już kiedyś, zdaje się, tego próbował. Czy to możliwe? Carlyle i jego szkoła powiedzieliby - tak. Marksisci - nie; byt kształtuje wzorce ludzkich zachowań i narzuca jednostce gotowe wzory do powielania. Tancredi wyraził to inaczej, nazywając historię gęstą siecią pajęczą, którą może rozerwać tylko nadludzki wysiłek.

Jak może tego dokonać jeden człowiek? Wynalazczość jest motorem rozwoju technologicznego, ale nawet w dwudziestym wieku zawodowi wynalazcy nie mieli łatwego życia. Cóż dopiero teraz, z potężnym i podejrzliwym duchowieństwem na karku? I co można by osiągnąć samym tylko "wynajdywaniem", nawet gdyby udało się uniknąć wścibstwa dewotów? Destylatornia i walcownia "wypaliły", podobnie jak cyfry arabskie. Zostało jednak mnóstwo do zrobienia i tylko jedno życie na taki ogrom pracy.

Co zatem? Interesy? Już to robił, wzgardzony za to przez wyższe sfery. Powiodło mu się nawet. Mimo szyderstw współczesnych biznesmenów i braku wrodzonych zdolności handlowych osiągnął sukces.

Polityka? W czasach, gdy walka o zwycięstwo szła na noże i nikt nie przejmował się nakazami moralności? Brrr!

Jak powstrzymać nadejście ciemności?

Cesarstwo mogłoby utrzymać się dłużej, gdyby dysponowało lepszymi środkami łączności. Ale Cesarstwo, przynajmniej na Zachodzie, było beznadziejnie rozbite: Italia, Galia, Hiszpania znajdowały się pod żołdackim butem barbarzyńskich "garnizonów".

Odpowiedź brzmiała: sprawne i szybkie środki łączności i powielanie zapisu - czyli druk. Najbardziej nawet pracowity Wandal, choćby się dobrze natrudził, nie zdoła wykorzenić pisma z cywilizacji, w której najmniejsze wydanie wynosi półtora tysiąca egzemplarzy. Książek byłoby po prostu za dużo.

A więc zostanie drukarzem. Drzyj, pajęczyno dziejów! Martin Padway przystępuje do akcji!

- Dzień dobry, kochany Martinusie - przywitał go Thomasus. - Jak ci się powodzi w interesach?

- Znośnie. Miejscowi kowale są całkiem niezłe zaopatrzeni w surowiec, a mało kto jest zainteresowany kupowaniem miedzi po moich cenach. Myślę, że uporządkuję ostatecznie nasze sprawy finansowe w ciągu najbliższych tygodni.

- Miło mi to usłyszeć. Co zrobisz potem?

- Właśnie przyszedłem do ciebie, żeby porozmawiać o moich planach. Kto publikuje teraz książki w Rzymie?

- Książki? Nikt, nie licząc kopistów, którzy przepisują zniszczone egzemplarze dla bibliotek. Jest parę księgarń w okolicach Agiletum, ale mają tylko towar z importu. Ostatni człowiek, który próbował prowadzić oficynę wydawniczą, zbankrutował wiele lat temu. Za mały popyt, za mało dobrych autorów. Mam nadzieję, że nie masz zamiaru się w to wplątywać?

- Mam zamiar, co więcej, chcę na tym zarobić.

- Co? Oszałałeś, Martinusie. Nawet nie próbuj o tym myśleć. Nie chciałbym oglądać twojego bankructwa po tak pięknym starcie.

- Nie będzie bankructwa, ale potrzebuję trochę kapitału na początek.

- Co? Następna pożyczka? Przecież już ci mówiłem, że nikt w Rzymie nie zarobi na publikacjach. To dowiedzione. Nie pożyczę ci ani asa na taki idiotyczny pomysł... To ile ci będzie potrzeba?

- Około pięciuset solidów.

- Aj, aj! Chłopcze, ty zwariowałeś! Na co ci takie mnóstwo pieniędzy? Wszystko, co musisz zrobić, to nająć albo kupić kilku skrybów i...

Padway uśmiechnął się szeroko.

- Rzecz w tym, że nie. Ręczne przepisywanie rozprawy w rodzaju Historii gockiej Kasjodora zajmuje wiele miesięcy i przez ten czas kopista zdąży sporządzić tylko jeden egzemplarz. Nic dziwnego, że taka robota kosztuje pięćdziesiąt solidów od sztuki. Ja zbuduję maszynę, która w ciągu kilku tygodni wyprodukuje pięćset, tysiąc kopii po pięć, może dziesięć solidów od sztuki, ale potrzeba mi czasu i pieniędzy na budowę urządzenia i przyuczenie maszynistów.

- Ależ to żywa gotówka! Boże, czy Ty słyszysz? Tak? To bądź łaskaw otworzyć uszy mego nierozważnego przyjaciela na rozsądne argumenty. Mówię po raz ostatni, Martinusie, nie chcę nawet o tym słyszeć! A jak działa taka maszyna?

Gdyby Padway wiedział, jakie trudy go czekają, byłby mniej pewien sukcesu w świecie, który nie znał ani prasy i farby drukarskiej ani czcionek i papieru. Atrament do pisania można było dostać. Podobnie papirus. Padway wkrótce przekonał się jednak, że obie te rzeczy nie nadają się do jego przedsięwzięcia.

Najłatwiej poszło z prasą. Znalazł warsztat w dzielnicy handlowej. Stolarz obiecał mu sklecić urządzenie w ciągu kilku tygodni, choć nie ukrywał przy tym całkiem zrozumiałego zdziwienia na widok planów maszyny. Padway nie wdawał się w bliższe wyjaśnienia.

- Jeszcze nigdy nie widziałem podobnej prasy powiedział stolarz. - Nie wygląda na prasę foluszniczą... Już wiem! Jesteś nowym katem miejskim, a to jest nowomodne narzędzie tortur. Szefie, dlaczego od razu nie powiedziałeś? To całkiem szacowne rzemiosło. Ale słuchaj, wpuść mnie do izby tortur, jak będziesz tego po raz pierwszy używał. Wiesz, chciałbym mieć pewność, że niczego nie spartoliłem.

Podstawę zrobili z kawałka marmuru wyciętego z nasady złamanej kolumny. W Padwayu wszystko się przewracało na widok takiego bezczeszczenia pomników przeszłości, ale pocieszał się myślą o zbożnym celu, jaki mu w tym burzycielskim działaniu przyświecał.

Czcionki zamówił u pieczętarza. Z początku przeraził się na myśl, że będzie potrzebował od dziesięciu do dwunastu tysięcy tych cacek, skoro nie potrafił zbudować linotypu i musiał drukować pełnym zestawem. Chciał uzyskać trzy alfabety: poza łacińskim jeszcze grecki i gotycki, ale same czcionki łacińskie kosztowały go równo dwieście solidów. Do tego pieczętarz odwrotnie wyciął znaki i cały zestaw trzeba było jeszcze raz przetopić. W końcu uzyskano coś, co dwudziestowieczny drukarz nazwałby czternastopunktowym gotykiem, a grawer - półszeryfem. Przy tak dużej czcionce niewiele tekstu zmieści się na jednej stronie, ale będzie on przynajmniej czytelny.

Padwaya aż skrzyło na myśl o robieniu własnego papieru. O procesie produkcyjnym miał bardzo nikłe wyobrażenie. W zasadzie wiedział jedno: jest to skomplikowane. Papirus był zbyt gładki i łamliwy; zresztą importowano go niewiele i rzadko.

Pozostawał pergamin. Padway odkrył, że jedna z garbarni na drugim brzegu Tybru ubocznie wytwarzała niewielkie ilości tego towaru. Robiono go ze skór owczych i kozich poprzez pracochłonne skrobanie, płukanie, rozciąganie i ścieranie. Cena była rozsądna. Padway zdumiał właściciela garbarni zamawiając za jednym zamachem dwanaście tysięcy arkuszy.

Na szczęście wiedział, że farbę drukarską wyrabia się z oleju lnianego i sadzy. Nie było wielką sztuką kupić torbę siemienia lnianego i przepuścić je przez aparat podobny do używanego przy walcowaniu miedzi. Zmontował też urządzenie składające się z lampy oliwnej podwieszanej pod miską z wodą i skrobaczki do zbierania kopcia. Pozostawała drobna sprawa: uzyskana farba nie nadawała się do użytku, to znaczy albo nie zostawiała śladów, albo rozplątywała się w nieregularne kleksy.

Padway zaczął się martwić o stan finansów. Pieniądze powoli się kończyły; zakrawało to na okrutny figiel losu. Jego zniechęcenie stało się tak widoczne, że robotnicy zaczęli półgębkiem robić uwagi. W ponurym nastroju zasiadł do eksperymentów. I wtedy jeszcze raz uśmiechnęło się do niego szczęście. Odkrył, że z niewielką domieszką mydła farba nadaje się do użytku.

W deszczowy lutowy dzień zawitał do niego Nevitta, syn Gudmunda. Fritharik wpuścił go do środka. Got tak mocno poklepał Padwaya po ramieniu, że ten aż zatoczył się w kąt pokoju.

- Co słyhać? - ryknął Nevitta. - Ktoś mnie poczęstował znakomitym trunkiem, który sprzedajesz, i zaraz przypomniałem sobie twoje imię. No i postanowiłem cię odwiedzić. Chłopie! Szybko stanąłeś na nogi jak na cudzoziemca. Bardzo sprytny młodzieniec, co? Ha, ha!

- Obejrzyj mój kram? - zapraszał Padway. Tylko muszę cię prosić, żebyś zachował dyskrecję. Nie macie praw chroniących wynalazki, więc trzymam wszystko w tajemnicy, dopóki nie będę gotów. Wtedy uczynię swoje pomysły publiczną własnością.

- No pewno, możesz mi ufać. I tak nic z tego nie zrozumieję.

W warsztacie Nevittę zafascynowała prosta maszyna do ciągnięcia drutu zmaistrowana przez Padwaya.

- Czy to nie śliczne? - rozczulił się Got podnosząc rolkę brązowego drutu. - Chciałbym kupić trochę dla żony. Będą z tego ładne bransolety i kolczyki.

Padway nie przewidział takiego zastosowania dla swoich wyrobów, ale odrzekł, że będzie miał parę gotowych za tydzień.

- Jak to napędzasz? - interesował się Nevitta.

Padway pokazał mu perszerona chodzącego w kieracie na tylnym podwórzu.

- Nie sądziłem, że koń może być taki wydajny zdziwił się Got. - Więcej pracy wydobyłbyś z paru krzepkich niewolników przy umiejętnym obchodzeniu się batem. Ha, ha!

- Nie w tym przypadku - zaoponował Padway. Nie zauważyłeś niczego dziwnego w uprzęży?

- Rzeczywiście, jest dziwna, ale nie wiem, na czym polega różnica.

- To ten kołnierz na szyi. Wy zakładacie koniowi pętlę i każecie mu ciągnąć. Za każdym razem, gdy pociągnie, rzemień wrzyna mu się w tchawicę i pozbawia biedne zwierzę oddechu. Ten kołnierz przenosi obciążenie na barki. Gdybyś sam miał pociągnąć ładunek, nie przywiązywałbyś go do stryczka na szyi, prawda.

- Może masz rację - odpowiedział z powątpiewaniem Nevitta - ale używam swojej uprzęży od dawna i chyba nie będę miał ochoty jej zmieniać.

Padway wzruszył ramionami.

- Gdy tylko zechcesz, możesz sobie coś takiego kupić u Metellusa Siodlarza przy Via Appia. Robi to według mojego wzoru. Sam tego nie wytwarzam, bo i tak mam za dużo roboty.

Oparł się o futrynę i zamknął oczy.

- Źle się czujesz? - przeraził się Nevitta.

- Mhm. Głowę mam ciężką jak kopuła Panteonu. Chyba pójdę do łóżka.

- Słowo daję, pomogę ci. Gdzie jest mój człowiek? Hermann!

Kiedy sługa nadszedł, Nevitta zatrajkotał do niego po gocku. Martin wychwycił imię Leo Vekkosa.

- Nie potrzebuj lekarza - zaprotestował.

- Nie gadaj głupstw, chłopcze, nie ma kłopotu. Miałeś rację z tym trzymaniem psów na dworze. To uleczyło moje sapanie. Będzie mi miło pomóc teraz tobie.

Padway obawiał się opieki antycznego internisty bardziej niż grypy, na którą zapadł, ale nie wiedział, jak uprzejmie odmówić. Nevitta i Fritharik położyli go, nieco brutalnie, do łóżka.

Fritharik powiedział:

- To mi wygląda na czysty przypadek postrzelenia przez elfy.

- Co takiego? - jęknął Padway.

- Postrzelenie przez elfy. Elfy cię postrzeliły. Miałem to kiedyś w Afryce. Lekarz Wandal wyleczył mnie wyciągając niewidzialne elfie strzałki. Kiedy stają się widoczne, przypominają grociki odłupane z krzemienia.

- Słuchaj - westchnął Padway - wiem, co mi się stało. Jeśli zostawicie mnie w spokoju, wrócę do zdrowia za tydzień, góra dziesięć dni.

- Nie ma mowy! - krzyknęli razem Nevitta i Fritharik. Spór zaczął się przeciągać. Wreszcie nadszedł Hermann z bladym, czarnobrodym, nerwowym typem.

Leo Vekkos otworzył torbę. Padway zerknął i zadrzał. Zawierała kilka ksiąg, jakieś zielsko i buteleczki z podejrzaną zawartością. Były to chyba szczątki wnętrzości małych ssaków.

- A teraz, znakomity Martinusie, pokaż mi język i powiedz: aaa.

Medyk dotknął czoła chorego, opukał mu klatkę piersiową i brzuch i zadał mu kilka całkiem rozsądnych pytań o samopoczucie.

- To pospolita sprawa zimą - powiedział Vekkos pouczającym tonem. - Przyczyny są nieco zagadkowe. Niektórzy twierdzą, że to nadmiar krwi w głowie powoduje uczucie ucisku, na które narzekasz. Inni z kolei mówią, że powodem jest nadmiar czarnej żółci. Ja sam twierdzę, że to konflikt naturalnych humorów wątroby i zwierzęcych humorów systemu nerwowego. Porażka tych ostatnich w sposób oczywisty wpływa na system oddechowy...

- To tylko przeziębienie - wtrącił Padway.

Vekkos zignorował go.

- ... który rządzi płucami i krtanią. Najlepszą kuracją będzie pobudzenie humorów serca, które doprowadzą do unormowania czynności organizmu. - Zaczął wyciągać zielsko z torby.

- A postrzelenie przez elfy? - zapytał Fritharik.

- Co?

Fritharik wytłumaczył doktrynę medyczną swego ludu.

Vekkos uśmiechnął się.

- Mój dobry człowieku, ani Celsus ani Galen nie mówią nic na ten temat. Asklepiades również, więc nie mogę tego brać poważnie.

- Więc nic nie wiesz o leczeniu - burknął Wandal.

- Doprawdy? - wycedził z przekąsem Vekkos. Kto tu jest lekarzem?

- Przestańcie się sprzeczać, bo mi się pogorszy zajęczał Padway. - Co chcesz mi zrobić?

Vekkos podniósł garść swoich chwastów.

- Ugotuj te zioła na wolnym ogniu i zażywaj kubek co trzy godziny. Zawierają łagodny środek przeczyszczający, który ściągnie z jelit nadmiar czarnej żółci. - Które z tych ziół są na przeczyszczenie?

Vekkos wyciągnął kilka łądyżek. Padway schwycił je gwałtownie.

- Chciałem po prostu trzymać je oddzielnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Vekkos pocieszył go, kazał mu trzymać się ciepło i nie wstawać z łóżka, po czym odszedł razem z Nevittą i Hermannem.

- Nazywa siebie lekarzem, a nie słyszał o elfach mruczał Fritharik.

- Zawołaj Julię - poprosił Padway. Dziewczyna ledwie weszła, podniosła lament:

- O, wielkoduszny panie! Cóż złego ci się przytrafiło? Pójdę po ojca Naroissusa...

- Nie pójdziesz - zakazał jej Padway. Odłamał kawałek korzenia na przeczyszczenie i wręczył służącej. - Ugotuj to w kociołku wody i przynieś mi kubek wywaru. - Podał jej resztę zieleniny. - A to wyrzuć tak, żeby medyk nie zauważył.

Łagodna laksatywa może pomóc, pomyślał. Żeby go tylko zostawili samego...

Następnego ranka głowa mniej go bolała, czuł się za to bardzo zmęczony. Była jedenasta, kiedy Julia go obudziła. Obok dziewczyny stał pełen godności mężczyzna w zwyczajnym płaszczu narzuconym na długą białą tunikę z obcisłymi rękawami. Padway domyślił się po tonsurze, że ma do czynienia z ojcem Narcissusem.

- Synu - rzekł kapłan - z żalem widzę, że Szatan nasłał na ciebie swoje sługi. Ta cnotliwa młódka błagała mnie o udzielenie ci duchowego wsparcia...

Martin z ledwością oparł się pragnieniu wysłania ojca Narcissusa do wszystkich diabłów. Jego jedyną stałą zasadą było jednak unikanie konfliktów z Kościołem.

- Nie widziałem cię jeszcze w kościele Anioła Gabriela - ciągnął ojciec Narcissus. - Jesteś chyba jednym z nas, mam nadzieję?

- Amerykańskiego obrządku - wymamrotał Padway.

Zaskoczyło to księdza, ale mówił dalej:

- Wiem, że radziłeś się lekarza Vekkosa. Jakże lepiej jest zaufać Bogu. W porównaniu z Jego mocą ci wszyscy przystawiacze pijawek są bezsilni. Zaczniemy od kilku modlitw...

Padway przetrzymał to. Nagle weszła Julia mieszając coś w garnuszku.

- Bądź dobrej myśli - pocieszał go kapłan - to jest niezawodne lekarstwo. Pył z grobu świętego Nereusza zmieszany z wodą.

W tej kombinacji nie było nic śmiertelnie szkodliwego, więc Padway wypił. Ojciec Narcissus, nastrojony widać do pogawędki, zapytał:

- A zatem nie jesteś z Padwy? Fritharik zajrzał do pokoju.

- Ten samozwańczy lekarz znowu przyszedł.

- Poproś go, żeby chwileczkę zaczekał - zarządził Padway. O Boże! Jaki był zmęczony. - Wielkie dzięki, ojcie. Miło mi było cię widzieć.

Kapłan wyszedł, potrząsając głową z politowaniem nad ślepotą śmiertelników, którzy wierzą w materia medica.

Vekkos wszedł, patrząc oskarżycielsko.

- To nie moja wina. Dziewczyna go przyprowadziła - usprawiedliwiał się Padway.

Vekkos westchnął:

- Lekarzom życie upływa na ciężkich studiach medycznych, a potem muszą konkurować z tymi rzekomymi cudotwórcami. No dobrze, jak mój pacjent miewa się dzisiaj?

W trakcie badania nadszedł Thomasus Syryjczyk. Bankier krążył nerwowo po pokoju, dopóki Grek nie wyszedł. Potem powiedział:

- Przyszedłem, gdy tylko dowiedziałem się, że jesteś chory, Martinusir. Modły i lekarstwa to dobra rzecz, ale nie powinno się pomijać innych możliwości. Mój kolega, Ebenezer Żyd, zna człowieka swojego wyznania o imieniu Jehoniasz z Neapolu, który jest całkiem dobry w magii leczniczej. Większość tych czarowników to oszuści; nie wierzę im za grosz, ale ten właśnie dokonał kilku godnych uwagi...

- Nie chcę jego magii - wyjęczał Padway. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko przestaniecie mnie leczyć...

- Przyprowadziłem go ze sobą, Martinusie. Bądźże rozsądny. Nic zrobi ci krzywdy. Nie mogę pozwolić ci umrzeć z niewykupionymi weksłami - oczywiście to nie jest jedyny powód. Lubię cię, ot co.

Padway czuł się jak w koszmarnym śnie. Im bardziej protestował, tym więcej szarlatanów na niego nasyłali. Jehoniasz z Neapolu był małym, pełnym werwy grubasem. Wyglądał bardziej na sprawnego domokrażcę niż na czarodzieja. Zaintonował:

- Zaufaj mi, znakomity Martinusie. Oto mały czar, który wystraszy słabsze duchy. - Wyciągnął kawałek papirusu i odczytał coś w nieznanym języku. - No proszę, nie zaszkodziło, co? Trzeba tylko zaufać staremu Jehoniaszowi. On wie, co robi! Teraz włożymy zaklęcie pod łóżko, o tak! No i co, nie poczułeś się od razu lepiej? A teraz wystawimy horoskop. Jeśli podasz mi datę i godzinę urodzenia...

Padway zastanowił się, jak do licha wytłumaczyć temu cholernemu szarlatanowi, że urodzi się dopiero za 1373 lata? Podniósł się z łóżka i krzyknął słabym głosem:

- Zarozumiały niewolniku! Nie wiesz, że jestem jednym z dziedzicznych strażników Pieczęci Salomonowej! Że mogę jednym słowem pomieszać twoje głupie planety na nieboskłonie, a jednym zdaniem zgasić słońce? A ty mówisz o stawianiu m o j e g o horoskopu?!

Magik wybałuszył oczy.

- Wy... wybacz, panie, nie wiedziałem...

- Szemhamforas! - zawył Padway. - Astarot! Baal-Marduk! Święty Elektroluks! Huckleberry i Wat Tyler na ciebie! Idź precz, robaku! Jedno słowo o moim prawdziwym imieniu i ześlę na ciebie najbrzydliwszy rodzaj trądu! Gałki oczne ci zgniją, palce będą odpadać po kawałku...

Jehoniasz był już za drzwiami. Połowę schodów pokonał po trzy stopnie na raz, reszt przeokoziółkował i wypadł przez drzwi wejściowe.

Padway zachichotał. Przykazał Fritharikowi, którego zwabił hałas:

- Stań w drzwiach z mieczem i mów, że Vekkos zakazał mnie odwiedzać. Nie wpuszczaj nikogo. Mówię wyraźnie: n i k o g o ! Nawet gdyby Duch Święty się objawił, też go nie wpuszczaj.

Fritharik zrobił, jak mu przykazano. Potem wetknął głowę przez drzwi:

- Znakomity szefie! Znalazłem Gota, który zna się na elfach. Czy mam go przyprowadzić i...

Padway naciągnął koce na głowę.

Był teraz kwiecień 536 roku. Sycylia wpadła w ręce Belizariusza w grudniu. Padway dowiedział się o tym wiele tygodni później. Nie licząc wypraw na miasto w interesach, rzadko wychodził z domu; przez cztery miesiące gorączkowo starał się uruchomić drukarnię. Poza pracą i interesami nie utrzymywał właściwie żadnych znajomości. W Rzymie praktycznie nie znał nikogo, nie licząc znajomych z widzenia bibliotekarzy i dwóch przyjaciół bankiera Thomasusa: Ebenezera Żyda i Vardana Ormianina.

W dniu, kiedy drukarnia była gotowa, zebrał robotników i oznajmił:

- Myślę, że wiecie, jak ważny to dla nas dzień. Fritharik da każdemu po buteleczce brandy do domu. Pierwszy, który upuści młotek albo coś takiego na te brązowe literki, będzie zwolniony. Mam nadzieję, że nikomu to się nie zdarzy, bo zrobiliście dobrą robotę i jestem z was dumny. To wszystko.

- No, no - pokręcił głową Thomasus - doskonale. Zawsze wiedziałem, że uda ci się uruchomić tę maszynę. Mówiłem tak od samego początku. Co będziesz drukował? Historię gocką? To by pochlebiło z pewnością prefektowi pretorianów.

- Nie, to by za długo trwało, zwłaszcza, że nasi ludzie nie znają jeszcze fachu. Zaczynam od drukowania abecadeł. Wiesz, A jak asinus (osioł), B jak braccæ (spodnie) i tak dalej.

- To niezły pomysł. Ale Martinusie, nie mógłbyś zostawić tego swoim ludziom i odpocząć trochę? Wyglądasz, jakbyś nie spał od miesięcy.

- Prawie nie śpiam, prawdę powiedziawszy, ale nie mogę tego zostawić. Za każdym razem, gdy coś się psuje, muszę być na miejscu i naprawiać. No i powinienem znaleźć zbyt na te książeczki. Może nauczyciele... Wcześniej czy później muszę wszystko zrobić sam. Mam też pomysł na inny rodzaj publikacji.

- Co to takiego? Tylko mi nie mów, że znowu masz jakiś dziki pomysł.

- Spokojnie, spokojnie, Thomasusie, nie denerwuj się. To będzie cotygodniowa broszurka z wiadomościami.

- Posłuchaj, Martinusie, nie przeceniaj swoich możliwości. Cech skrybów wlezie ci na głowę. Chciałbym też, żebyś powiedział mi coś o sobie. Jesteś największą zagadką miasta. Wiesz, wszyscy mnie o ciebie pytają.

- Powiedz im po prostu, że jestem najnudniejszym z nudziarzy, jakich spotkałeś w życiu.

W Rzymie było ponad stu praktykujących kopistów. Padway wyciszył wzbierającą nienawiść wciągając skrybów na listy "reporterów". Płacił stałą cenę kilkunastu sestercji od notki do kroniki wydarzeń.

Kiedy doszło do redagowania pierwszego wydania, stwierdził, że nieodzowna będzie cenzura i to dość drastyczna. Na przykład w jednej z notatek można było przeczytać: "Naszego zdeprawowanego» rozwiązłego gubernatora, hrabiego Honoriusa, widziano w środę wczesnym rankiem na ulicy Szerokiej, jak uciekał przed młodą kobietą ścigającą go z toporem rzeźniczym w ręku. Ponieważ temu tchórzliwemu łajdakowi nie krępował ruchów choćby najskromniejszy przyodziewek, wyprzedził znacznie prześladowczynię. Jak wieść niesie, komitet obrażonych ojców, znieważonych przezeń córek wystosował petycję do króla Thiudahada z prośbą o zdjęcie łajdaka ze stanowiska. Miejmy nadzieję, że następnym razem, gdy jakaś niewiasta rzuci się na tego piekielnika z toporem, polowanie się powiedzie."

Padway pomyślał, że ktoś bardzo nie lubi naszego sławnego hrabiego. Nie znał osobiście Honoriusa, ale czy historia była prawdziwa czy nie, w konstytucji rzymskiej nie było klauzuli o wolności prasy, która by pozwoliła mu uniknąć wizyty w izbie tortur.

Toteż pierwsze ośmiostronicowe wydanie nie wspominało o młódce z toporem rzeźniczym. Miało za to mnóstwo nieszkodliwych wiadomości, poemacik napisany przez skrybę wyobrażającego sobie, że jest drugim Owidiuszem, i artykuł wstępny, w którym Padway, nie rozwodząc się, wyrażał nadzieję, że Rzymianom jego gazeta przypadnie do gustu. Był też krótki esej, również autorstwa Padwaya, o naturze i obyczajach słońi.

Martin, dumny z siebie i swoich ludzi, przewracał skrzypiące pergaminowe stronicę próbnego wydania. Jego dumy nie umniejszała wcale pokaźna ilość rażących literówek. Jedna z nich, w notce o Rzymianinie śmiertelnie zranionym przez rabusiów na Wysokiej kilka dni temu, dawała dość nieprzyzwoity efekt. Nie szkodzi, przy dwustu pięćdziesięciu egzemplarzach można pozwolić sobie na korektę piórem i atramentem.

Padway trochę się obawiał o swój los, tak ważny, w jego przekonaniu dla świata. To on przecież, przez czysty przypadek, mógł zostać zasztyletowany na ulicy Wysokiej - i pomyśleć tylko: ani druku, ani innych wynalazków, dopóki powolny, naturalny proces rozwoju technicznego nie utworzyłby dla nich drogi. Nie znaczyło to, że przypisywał sobie wszystkie zasługi. Takiemu Gutenbergowi też się coś należało, ot, choćby za wynalezienie druku.

Nazwał swoją gazetę *Temporu Romunae* i sprzedawał ją po dziesięć sestercji, to znaczy około pięćdziesięciu centów za sztukę. Powodzenie nieco go zaskoczyło. Pierwszy nakład rozszedł się w błyskawicznym tempie, a przez następne trzy dni Fritharik miał pełne ręce roboty odprawiając z kwitkiem tych, którzy nie zdążyli kupić.

Kilku skrybów wpadało codziennie z wiadomościami. Jeden z nich, pulchny, wesolutki jegomość w wieku Martina, przyniósł notkę zaczynającą się następująco: "Krew niewinnego człowieka złożono w ofierze chuciom ohydneho potwora, naszego gubernatora, hrabiego Honoriusa.

Jak dowiedzieliśmy się z wiarygodnych źródeł, Q. Aurelius Galba, ukrzyżowany w ubiegłym tygodniu za morderstwo, był mężem kobiety, której od dawna pożądał nasz podły hrabia. Niespójność zeznań na procesie Galby stała się przyczyną wielu komentarzy krążących wśród publiczności..."

- Ejże! - krzyknął Padway. - Czy to nie ty przyniosłeś tamtą wiadomość o Honoriusie i kobiecie z toporem?

- Tak jest - przyznał skryba. - Dziwiłem się, dlaczego jej nie opublikowałeś.

- Jak sądzisz, czy długo mógłbym wydawać gazetę bez przeszkód, gdybym tamto dał do druku?

- Och, nigdy o tym nie myślałem.

- Pamiętaj o tym na przyszłość. Drugiej wiadomości też nie mogę wykorzystać, ale nie trać zapła. To dobra robota; zdanie przewodnie i wszystko jak trzeba. Jak zdobyłeś tę informację?

Skryba uśmiechnął się.

- Słyszysz różności, a czego ja się nie dowiem, usłyszysz moja żona. Ma przyjaciółki, z którymi grywa w chińczyka, no i plotkuje.

- Szkoda, że nie odważyłem się otworzyć kroniki towarzyskiej - stwierdził Padway. - Masz zadatki na dziennikarza. Jak się nazywasz?

- Grzegorz Menandrus.

- To po grecku?

- Moi rodzice byli Grekami. Ja jestem Rzymianinem.

- Dobrze, Grzesiu, bądź ze mną w kontakcie. Być może już wkrótce będzie mi potrzebny zastępca do pomocy w interesie.

Padway, pewien siebie, odwiedził garbarnię, by złożyć następne zamówienie na pergamin.

- Kiedy ci będzie potrzebny? - zapytał garbarz. Padway odrzekł, że za cztery dni.

- To niemożliwe. Mógłbym przygotować pięćdziesiąt arkuszy w tym czasie i kosztowałyby cię pięć razy tyle od sztuki co poprzednim razem.

- Na Boga! Dlaczego? - wrzasnął Padway.

- Twoje pierwsze zamówienie oczyściło praktycznie rynek z towaru. W całym mieście nie zostało nawet stu skór na pergamin. Poza tym produkcja wymaga czasu. Jeśli wykupisz ostatnie pięćdziesiąt sztuk, potrwa tygodnie, zanim przygotuje się następną partię.

- A gdybyś rozbudował przedsiębiorstwo, to mógłbyś osiągnąć wydajność dwóch tysięcy na tydzień? Garbarz potrząsnął głową. - Nie zaryzykowałbym inwestowania pieniędzy w takie ryzykowne przedsięwzięcie, a nawet gdybym to zrobił, nie starczyłoby zwierząt w środkowej Italii na zaspokojenie potrzeb.

Padway zrozumiał swój błąd. Pergamin był zasadniczo produktem ubocznym hodowli kóz i owiec. Stąd nagły wzrost popytu gwałtownie podniósł ceny bez większego przyrostu pogłowia. Chociaż Rzymianie niewiele wiedzieli o ekonomice, prawo popytu i podaży działało u nich bez przeszkód.

Chyba trzeba będzie wyprodukować papier, a więc na drugie wydanie gazety poczeka się bardzo długo. Poszedł do folusznika. Kazał mu posiekać kilka funtów białego materiału i zrobić z tego najcieńszy filc, jaki można sobie wyobrazić. Folusznik posłusznie wykonał arkusz czegoś, co wyglądało jak wyjątkowo gruba i puszysta bibuła. Padway cierpliwie nalegał na dokładniejsze postrzępienie materii, wygotowanie jej przed sfilcowaniem i wyprasowanie na koniec. Kiedy wychodził z warsztatu, zauważył, że folusznik pukał się znacząco w czoło. Po wielu próbach zaprezentował jednak Padwayowi papier niewiele gorszy od dwudziestowiecznego ręcznika jednorazowego użytku.

Nadeszła rozdzierająca serce chwila. Kropla atramentu upuszczona na papier rozbiegła się na wszystkie strony z gorliwością uczestników pikniku, którzy znaleźli w trawie grzechotnika. Padway kazał przygotować jeszcze dziesięć arkuszy, a do próbek masy papierniczej dodać mydło, oliwę i tak dalej. W tym momencie folusznik zagroził zerwaniem umowy i trzeba go było ułagodzić podniesieniem zapłaty. Martin odczuł niezmierną ulgę, kiedy odkrył, że odrobina gliny domieszana do papki likwiduje różnicę między dotychczasowym produktem a prawdziwym papierem.

Rozszedł się już drugi nakład gazety. Padway przestał się martwić o papier, ale następna troska zajęła miejsce poprzednich: co robić, kiedy wojna gocka naprawdę się zacznie? W jego własnej historii pustoszyła ona Italię wzdłuż i wszem przez dwadzieścia lat. Prawie każde ważniejsze miasto było oblegane lub zdobywane przynajmniej raz. Sam Rzym został wyludniony przez oblężenia, głód i dżumę. Gdyby żył odpowiednio długo, mógłby zobaczyć inwazję Longobardów i niemal doszczętną zagładę rzymskiej cywilizacji.

Starął się otrząsnąć z przygnębienia. To chyba pogoda wpłynęła na ten nastrój. Lało bez ustanku od dwóch dni. Cały dom przesiąkł wilgocią. Jedynym ratunkiem było rozpalenie ognia, ale na to było jeszcze za gorąco, więc Padway siedział i patrzył na ołowiane chmury.

Był zaskoczony, kiedy Fritharik wprowadził kolegę Thomasusa, Ebenezera Żyda. Bankier był filigranowym, uprzejmym starcem. Nosił długą, białą brodę. Padway znał jego niezachwianą

pobożność. Kiedy biesiadowali z innymi bankierami, on nie jadł w ogóle bojąc się przekroczenia niezliczonych zasad swojej sekty. Ebenezer zdjął płaszcz przez głowę i zapytał:

- Gdzie mogę to położyć, żeby nie ociekało, znakomity Martinusie? A, dziękuję. Szedłem załatwiać interesy i pomyślałem, że po drodze obejrzę twój dom, jeśli wolno. Musi być interesującym miejscem, sądząc z tego, co mówił Thomasus.

Wyżął wodę z brody.

Padway ucieszył się, że coś odciągnęło go od roztrząsania złowieszczej przyszłości. Oprowadził starca po gospodarstwie.

Ebenezer popatrzył na niego spod krzaczastych siwych brwi.

- Och, teraz wierzę, że jesteś z dalekiego kraju. Niemal z innego świata. Weźmy choćby ten twój system rachunkowy. Zmienił wszystkie nasze wyobrażenia o bankowości...

- Co? - zakrzusił się Padway. - Skąd o nim wiesz?

- No cóż - odrzekł Ebenezer - Thomasus sprzedał sekret mnie i Vardanowi. Myślałem, że o tym wiesz.

- A ile wziął?

- Po sto pięćdziesiąt solidów od każdego. Czy będziesz...

Padway wywarczał piętrowe przekleństwo po łacinie, chwycił kapelusz i płaszcz i ruszył do drzwi.

- Dokąd idziesz, Martinusie? - zaniepokoił się Ebenezer.

- Idę powiedzieć temu rzezimieszkowi, co o nim myślę - warknął Padway. - A potem mam zamiar...

- Czyżby Thomasus obiecał ci nie ujawniać sekretu? Nie mogę uwierzyć, żeby pogwałcił...

Padway zatrzymał się z ręką na klamce. Rzeczywiście, pomyślał, Sycyryjczyk nigdy nie przyrzekał nie rozpowiadać o cyfrach arabskich. To Padway sądził, że bankierowi będzie zależało na tajemnicy. Widać potrzebował gotówki. Mógł całkiem legalnie sprzedać system, komu mu się żywnie podobało.

Kiedy wreszcie Martin się opanował, stwierdził, że właściwie tylko na tym zyskał. Przecież jego pierwotnym zamiarem było jak najszerszej rozprzestrzenieć wiedzę o cyfrach arabskich. Tak naprawdę rozzłościło go, że Thomasus wykrzesał ładną sumkę z nauk, których on mu udzielił, a jemu nie dał zarobić ani grosika. To było podobne do Syryjczyka. Jak to ujął Nevitta trzeba było na niego uważać.

Jeszcze tego samego dnia Padway zawitał do Thomasusa razem z Fritharikiem. Wandal dźwigał szkatułkę przyjemnie obciążoną złotem.

Bankier, nieco zatrzwożony, wykrzyknął:

- Martinusie, naprawdę chcesz spłacić wszystkie długi? Skąd masz pieniądze?

- Dobrze się domyśliłeś - uśmiechnął się Padway. - Oto rozliczenie całości pożyczki razem z odsetkami. Znużyło mnie już płacenie dziesięciu procent, kiedy mogę dostać to samo za siedem i pół.

- Co? Kto ci cokolwiek da na takich absurdalnych warunkach?

- Twój szanowny kolega, Ebenezer. Proszę, oto kopia nowego weksla.

- No cóż, muszę powiedzieć, że nie spodziewałem się tego po Ebenezrze. Jeśli to prawda, jestem gotów złożyć ci taką samą propozycję.

- Będziesz ją musiał przebić. Nieźle zarobiłeś sprzedając mój system.

- Słuchaj, Martinusie, wszystko co zrobiłem, odbyło się zgodnie z prawem...

- Nie twierdzą inaczej.

- Doskonale. Niech więc się dzieje wola boska. Daję ci siedem i cztery dziesiąte.

Padway roześmiał się pogardliwie.

- Dobrze, siedem. Ostatecznie, absolutnie i nieprzekraczalnie.

Kiedy załatwili już wszystkie formalności, Thomasus zapytał:

- Jak to się stało, że Ebenezer dał ci tak niesłychanie niskie oprocentowanie?

- Powiedziałem mu - odparł z uśmiechem Padway - że mógł się nauczyć systemu ode mnie za Bóg zapłać.

Następnym "wynałazkiem" Padwaya miał być zegar. Miał zamiar zacząć od możliwie najprostszego wzoru: ciężarek na linie, zapadka, zespół trybów, wskazówka i tarcza ze zużytego zegara wodnego, kupionego okazji, wahadło i wychwyty. Gromadził te części po trochu. Brakowało ostatniego.

Uznał, że zrobienie wychwyty to żadna sztuka. Zdjął werk z własnego zegarka i obejrzał kółeczko krążące bezustannie w tę i z powrotem. Nie rozbierał zegarka na części, bojąc się, że nie będzie umiał go złożyć. Poza tym trybiki były za małe, by mógł je dokładnie skopiować.

Ale przecież widzi ten cholerny wichajster, to chyba może zrobić? Tym bardziej większy. Robotnicy sporządzili kilka kół zębatach i dopasowanych do nich zapadek. Padway zestawiał, skrobał, wyginał, ale mechanizm nie chciał działać. Zapadki chwytaly i zacinały się albo nie chwytaly w ogóle, tak że lina rozwijała się całkowicie z osi, do której była przywiązana. Padwayowi udało się wreszcie doprowadzić do tego, że kiedy ręcznie wprawił wahadło w ruch, wychwyty i zapadki współpracowały zgodnie i miarowo. Pięknie, ale zegar sam nie chciał chodzić.

Padway rzucił wszystko w diabły. Wróci do tego pewnego dnia, gdy będzie miał więcej czasu i lepsze narzędzia. Odłożył całą tę gmatwaninę trybów w kąt piwnicy. Pomyślał, że

niepowodzenie dobrze mu zrobiło. Powinien się wystrzegać zachwyków nad własną przemyślnością.

Nevitta odwiedził go ponownie.

- Już po chorobie, Martinusie? Doskonale. Wiedziałem, że masz krzepki organizm. Nie wybrałbyś się ze mną na wyścigi przepuścić parę solidów? Potem u mnie przenocujesz.

- Bardzo bym chciał. Ale muszę jeszcze złożyć Tempora tego popołudnia.

- Złożyć? - zdziwił się Nevitta. Padway wyjaśnił.

- Rozumiem. Ha, ha! Myślałem, że masz dziewczynę o imieniu Tempora. Wpadnij więc jutro na kolację. Nie masz wierzchowca? Poślę po ciebie Hermana z koniem.

Następnego popołudnia Padway w nowych bizantyjskich butach do konnej jazdy przemierzał razem z Hermanem Rzymską Kampanię. Stwierdził, że jest to świetnie zagospodarowana, rolnicza kraina. Myślał, ile czasu minie, zanim stanie się ona wyludnioną, malaryczną równiną wieków średnich.

- Jak tam wyścigi? - zwrócił się do towarzyszącego mu jeźdźca.

Hermann, jak się okazało, słabo znał łacinę, ale i tak lepiej niż Padway gocki.

- O, szef... on bardzo zły. On mówi... ty wiesz... lubi sport, ale nienawidzi tracić pieniędzy. Postawił na konia pięćdziesiąt sestercji i stracił. Hałasował jak... lew z bólem kiszek.

W gościnnym domu Padway spotkał żonę Nevitty miłą, pulchną niewiastę nie znającą łaciny - i najstarszego syna, Dagalaifa, gockiego scaio czyli szeryfa.

Kolacja potwierdziła zasłyszane przez Martina opowieści o gockim apetycie. Mile zaskoczyło go całkiem niezłe piwo. Jakże się różniło od pomyj sprzedawanych pod tą samą nazwą w Rzymie.

- Mam trochę wina, jeśli wolisz - powiedział Nevitta.

- Dziękuję, ale trochę mi się już znudziło to italskie wino. Rzymscy poeci piszą dużo o rozmaitych odmianach, ale dla mnie wszystkie smakują jednakowo.

- Ja też tak myślę! Jeślibyś chciał, to mam i greckie, perfumowane.

Padway aż się wzdrygnął.

- Też go nie lubię - ciągnął Got - i uważam, że kto sobie dolewa perfum do napoju, musi wonieć jak kurtyzana. Trzymam je jednak dla moich greckich przyjaciół, takich jak Leo Vekkos... Przypomniałem sobie, że muszę mu opowiedzieć, jak mnie wyleczyłeś z sapania, radząc wygonić psy na dwór. Ułóż jakąś, nową teorię pełną długich słów, żeby to wytłumaczyć.

- Słuchaj, Martinusie - zagadnął Dagalaif - czy masz jakieś własne wiadomości o wojnie?

Padway wzruszył ramionami.

- Wiem to co i inni, nie mam prywatnej agencji telegraficznej, chciałem powiedzieć, osobistych kontaktów z niebiosami. Jeśli chcesz mojej opinii, to sądzę, że Belizariusz najedzie tego lata Bruttium i oblegnie Neapol około sierpnia. Nie przyprowadzi dużej armii, ale piekielnie trudno będzie go pobić.

- E, tam! - uśmiechnął się Dagalaif. - Damy sobie z nim radę. Garstka Greków nic nie zdoła przeciwko zjednoczonym siłom narodu gockiego.

- Tak samo sądzili Wandalie - odparł oschle Padway.

- Ha! My nie popełnimy ich błędów.

- Nie jestem pewien, synu - zasępił się Nevitta. Coś mi się wydaje, że robimy to samo co oni, a jeśli nawet coś innego, to też nie lepiej. Ten nasz król... dobry jest, gdy kiwa sąsiadów przy podziale ziemi albo w pisaniu wierszy po łacinie. Lepiej, gdybyśmy mieli niepiśmiennego, takiego jak Teodoryk. Ja sam - dodał tonem usprawiedliwienia - umiem czytać i pisać. Mój stary przybył z Pannonii razem z Teodorykiem. Zawsze mówił, że świętym obowiązkiem Gotów jest obrona rzymskiej cywilizacji przed dzikusami w rodzaju Franków. Postanowił, że otrzymam łacińskie wykształcenie, choćby mnie miało to wykończyć. Przyznaję, że przydaje mi się, ale za parę miesięcy naszym wodzom bardziej przyda się umiejętność prowadzenia szarży niż całe to amo, arras, amar.

Padway wrócił do Rzymu w świetnym humorze. Nevitta był pierwszym człowiekiem, nie licząc Thomasusa Syryjczyka, który zaprosił go do domu, a Martin mimo pozorów oschłości miał bardzo towarzyską duszę. Rozradowany zsiadł z konia i oddał wodze Hermannowi nie zauważwszy trzech muskularnych drabów opierających się o pobliski płot.

Kiedy skierował się w stronę bramy, największy z nich, czarnobrody mężczyzna, zaszedł mu drogę. Trzymał w ręku kartkę papieru - prawdziwego papieru, bez wątpienia od folusznika, którego Padway wyuczył nowego rzemiosła. Przeczytał na głos: - ...średniego wzrostu, oczy piwne, włosy brązowe, wielki nos, krótka broda. Mówi z obcym akcentem. - Spojrzał ostro:

- Czy ty jesteś Martinus Paduei?
- Sic. Quis est?
- Jesteś aresztowany. Zachowuj się spokojnie.
- Co?... Kto?... Po co?...
- Z polecenia prefekta municypalnego. Czary.
- Ale... ale - hej! Tak nie wolno...
- Powiedziałem - spokojnie.

Pozostali dwaj podeszli do Padwaya z obu stron, schwycili go za ramiona i poprowadzili ulicą. Gdy się opierał, w ręku jednego z nich pojawiła się krótka pała. Padway rozglądał się rozpaczliwie. Hermann był poza zasięgiem wzroku; Fritharika też nie mógł znaleźć. Pewnie chrapał jak zwykle. Padway zaczerpnął tchu. Typ z prawej strony wzmocnił chwyt i podniósł ostrzegawczo pałkę. Padway nie krzyknął.

Powlekli go do starego więzienia przy Argiletum, niedaleko archiwum kapitolijnskiego. W oszołomieniu odpowiadał na pytania kancelisty o imię, wiek i adres. Przez myśl przebiegła mu zasłyszana gdzieś informacja, że przy aresztowaniu przysługuje mu prawo do skorzystania z telefonu i zawiadomienia adwokata.

Niewysoki Rzymianin, wylegujący się do tej pory na ławie, wstał i posapując zapytał:

- Co to takiego? Sprawa o czary dotycząca cudzoziemca? Według mnie to przypadek dla władz lokalnych.

- O, nie - zaprotestował kancelista - wy urzędnicy miejscy macie władzę w Rzymie tylko w sprawach mieszanych - rzymsko-gockich. Ten człowiek nie jest Gotem. Mówi, że jest Amerykaninem, cokolwiek by to znaczyło.

- Nieprawda! Poczytaj sobie przepisy. Urząd prefekta pretorianów ma jurysdykcję nad wszystkimi cudzoziemcami, którzy mają sprawę gardłową. Jeśli dostałeś oskarżenie o czary, oddajesz więźnia nam, no już.

Człowieczek podszedł do aresztanta z miną właściciela. Padwayowi bardzo nie spodobał się termin "sprawa gardłowa".

Kancelista rozsierdził się. Kazał pilnować Martina tym, co go przyprowadzili, a sam gdzieś wybiegł. Minęło dobrych parę chwil, zanim wrócił z gubernatorem. Hrabia Honorius nosił tunikę z dwoma purpurowymi paskami rzymskiego senatora i szedł tak starannie odmierzonym krokiem, jakby wcześniej zaznaczył kredą miejsce na postawienie stopy. Miał kwadratową szczękę i tyle wyrazów twarzy co u żółwia.

- O co chodzi? - zapytał głosem ostrym jak stalowy pilnik. - Ale szybko, bo jestem zajęty. - Gdy mówił, capia bródka przylepiona do dolnej szczęki trzęsa się w sposób przywodzący Padwayowi na myśl morskie gady z zoologu. - Pokażcie skargę.

Kancelista wygrzebał papier i podał hrabiemu.

- Hm, hm, hm, "... i ponadto rzeczony Martinus Paduei zawarł najnikczemniejszy i zbrodniczy pakt ze Złym, który wyuczył go szatańskiej sztuki czarnoksiężskiej zagrażającej pomyślności obywateli miasta Rzymu. Podpisano: Hannibal Scipio z Palermo." Czy nie był twoim współpracownikiem czy kimś takim?

- Tak, panie hrabio. - Martin skinął głową i wyjaśnił okoliczności rozstania się z byłym majstrem. Robi aluzje do mojej prasy drukarskiej. Mogę łatwo dowieść, że to zwyczajne urządzenie mechaniczne i nie więcej w nim magii niż w twoim zegarze wodnym.

- Hmmm... to może być prawda albo i nie. Honorius zmrużył oczy i popatrzył na Padwaya. - Ten twój nowy interes całkiem niezłe prosperuje, nieprawdaz? - Uśmiechnął się lekko jak lis marzący o nie strzeżonym kurniku.

- I tak, i nie, panie. Zarobiłem trochę pieniędzy, ale prawie wszystko zainwestowałem w przedsiębiorstwo, toteż nie mam więcej gotówki, niż potrzeba na codzienne wydatki.

- To bardzo niedobrze - odparł Honorius. Wygląda na to, że będziemy musieli dalej prowadzić sprawę.

Padway był coraz bardziej zdenerwowany pytaniami, ale trzymał się dzielnie.

- Och! Mój panie, sądzę, że nie ma żadnej sprawy. Jeśli wolno tak rzec, byłoby bardzo niefortunne dla twego dostojenstwa, gdyby sprawa przedostała się przed trybunały.

- Tak? Obawiam się, mój dobry człowieku, że nie wiesz, jakich doświadczonych śledczych tutaj mamy. Zdążysz przyznać się do wszelkiego rodzaju przestępstw, zanim skończą cię... hm... wypytywać.

- No cóż, panie. Powiedziałem, że nie mam za wiele gotówki, ale mam pomysł, który mógłby cię zainteresować.

- Teraz już lepiej. Lutetiusie, czy mogę skorzystać z twego prywatnego gabinetu?

Nie czekając na odpowiedź Honorius wmaszerował do pokoju, kiwnąwszy głową Padwayowi, żeby poszedł za nim. Szef patrzył na to kwaśno, wyraźnie czując, że należna część łupu wymyka mu się z rąk.

W gabinecie Honorius odwrócił się do Martina:

- Nie będziesz chyba proponował łapówki swojemu gubernatorowi?

- Cóż... hm... niezupełnie.

Hrabia wyciągnął szyję i szepnął:

- Ile? I w czym? Klejnoty?

Padway odetchnął z ulgą.

- Panie, proszę, nie tak szybko. To wymaga wyjaśnienia.

- Lepiej, żeby to było dobre wyjaśnienie.

- Wygląda to tak, panie: jestem tylko biednym cudzoziemcem i muszę utrzymywać się ze swoich umiejętności; wszystko cenne, co posiadam, to właśnie one. Ale przy odpowiednim zastosowaniu mogą dać wcale ładny grosz.

- Streszczaj się, młodzieńcze.

- Macie prawa przeciwko spółkom z ograniczoną odpowiedzialnością oprócz przedsiębiorstw publicznych, prawda?

- Kiedyś mieliśmy. - Honorius potarł podbródek. - Nie wiem, jak to wygląda teraz, gdy władza senatu została ograniczona do terytorium Miasta. Nie sądzę, że Goci wprowadzali jakieś nowe przepisy. Dlaczego pytasz?

- Jeśli przekonałbyś senat, aby wprowadził poprawkę do starej ustawy - nie jest to konieczne, ale wyglądałoby lepiej - pokazałbym tobie i paru innym zasłużonym senatorom, jak osiągnąć znaczny zysk z takiego przedsiębiorstwa.

Honorius zeszywniał.

- Młodzieńcze, ta oferta to chyba żart. Powinieneś wiedzieć, że godność patrycjusza nie pozwala zajmować się handlem.

- I nie będziesz się nim zajmować, panie. Będziesz akcjonariuszem.

- Czym?

Padway wyjaśnił funkcjonowanie spółki akcyjnej. Honorius jeszcze raz potarł podbródek.

- No tak, zobaczę czy coś da się zrobić z tym pomysłem. Jaka to ma być spółka?

- Spółka dla przesyłania informacji na długie dystanse, znacznie szybciej niż przez posłańców. W moim kraju nazwano by to telegrafem optycznym. Towarzystwo czerpie zyski z opłat za przesyłanie prywatnych wiadomości. Oczywiście nie zaszkodziłoby, gdybyś uzyskał jakieś subsyduum ze skarbcza królewskiego, bo instytucja jest cenna także dla obrony narodowej.

Honorius zastanawiał się przez chwilę, po czym oznajmił:

- Nie chcę teraz podejmować decyzji. Muszę przemyśleć sprawę i wysondować przyjaciół. Tymczasem ty, oczywiście, pozostaniesz tutaj, u Lutetiusa w areszcie. Padway uśmiechnął się.

- Panie hrabio, twoja córka, zdaje się, wychodzi za mąż w przyszłym tygodniu?

- No to co?

- Czy chciałbyś mieć ładny opis wesela w mojej gazecie? Lista zaproszonych gości, drzeworyt z wizerunkiem panny młodej i tak dalej.

- Hmm... nie powiem, że nie.

- A zatem lepiej mnie nie zatrzymuj, bo nie będę mógł wydać gazety. Cóż za szkoda by się stała, gdyby tak świetne wydarzenie nie trafiło do kroniki towarzyskiej, bo wydawca siedział w ciupie.

Honorius potarł podbródek i uśmiechnął się lekko.

- Nie jesteś tak głupi jak by się można spodziewać po barbarzyńcy. Każę cię wypuścić.

- Wielkie dzięki, panie. Dodam, że pisałbym z większym zapalem, gdyby ta skarga została oddalona. My intelektualści...

Kiedy Padway znalazł się w bezpiecznej odległości od więzienia, pofolgował sobie. Klął na czym świat stoi. Jak to dobrze, że urzędnicy nie zauważyli, że jest na progu załamania się ze strachu. Perspektywa uczciwej walki nie przerażała go bardziej niż większości ludzi w jego wieku, ale tortury...

Kiedy tylko doprowadził przedsiębiorstwo do porządku, pospieszył do Thomasusa na naradę. Był już przygotowany do rozmowy, gdy procesja pięciu lektyk niosących Honoriusa i czterech innych senatorów przecisnęła się ulicą Długą do jego domu. Senatorowie nie tylko chętnie, ale wprost entuzjastycznie deklarowali pieniądze na przedsięwzięcie, szczególnie gdy zobaczyli piękne akcje, które Padway wydrukował. Niezbyt jednak spodobał im się sposób prowadzenia spółki.

Jeden z nich szturchnął go palcem w żebro i wyszczerzył zęby.

- Drogi Martinusie, chyba nie będziesz n a p r a w d ę budował tych idiotycznych wież sygnalizacyjnych i całej reszty?

- No cóż, takie było założenie - odrzekł ostrożnie Padway.

Senator puścił oko.

- Rozumiem, musisz zacząć coś stawiać, żeby nabrać mieszczuchów, a my wtedy sprzedamy akcje z zyskiem. Dobrze wiemy, że to szwindel, nieprawdaż? Cała ta sygnalizacja nie będzie działać i za tysiąc lat.

Martin nie miał ochoty się sprzeczać, ale nie chciał też wyjawiać prawdziwej przyczyny, dla której Thomasus Syryjczyk, Ebenezer Żyd i Vandan Ormianin wykupili po osiemnaście procent akcji. Senatorów mogłoby zainteresować, że bankierzy już długo przedtem zgodzili się działać według instrukcji Padwaya, któremu pięćdziesiąt cztery procent udziałów dawało całkowitą kontrolę nad spółką.

Padway zamierzał dołożyć wszelkich starań, by zapewnić kompanii sukces; chciał połączyć jej działalność z wydawaniem gazety. Pierwsza linia telegrafu miała połączyć Neapol z Rzymem i Rawenną.

Wkrótce zaczęły się podstawowe trudności. Jeśli chciał utrzymać równowagę finansową spółki, musiał stawiać wieże w dużych odstępach. W związku z tym potrzebował teleskopów, a to znaczyło konieczność posiadania soczewek. Gdzie jednak] szukać szkieł lub choćby kogoś, kto mógłby je wyprodukować? Była jakaś opowieść o szmaragdowym lorgnon Nerona...

Padway poszedł do złotnika Sextusa Dentatusa, tego samego ropuchowatego jegomościa, który zamieniał jego liry na sestercje. Dentatus wyrechotał adres warsztatu Florianusa szklarza.

Florianus był jasnowłosym dryblasem z opadającym wąsem i nosowym akcentem. Wyszedł przed próg małego kramiku. Cuchnął silnie winem. Tak, owszem, posiadał kiedyś hutę szkła w Kolonii, ale nie wiodło się w reńskim przemyśle szklarskim. Ta niepewność życia pod Frankami. Pan rozumie, mój panie. Zbankrutował. Teraz zarabia na utrzymanie naprawiając czasem okna.

Padway wyjaśnił, o co mu chodzi, dał zaliczkę i poszedł sobie. Kiedy wrócił umówionego dnia, Florianus zamachał rękami, jakby miał zamiar odlecieć.

- Zechciej wybaczyć, mój panie! Trudno było dostać tłuczone szkło. Błagam! Jeszcze parę dni. I gdybym mógł dostać jeszcze trochę pieniędzy. Czasy są ciężkie... a ja biedny.

Za trzecim razem Padway zastał Florianusa pijanego. Mamrotał coś niezrozumiale po galloromańsku. Padway poszedł na zaplecze. Nie było ani śladu narzędzi i materiałów.

Wyszedł rozczarowany. Najbliższa buta szkła była w Puteoli, koło Neapolu. Korespondencja zajęłaby wieczność, toteż Padway wezwał Grzegorza Menandrusa i zatrudnił go jako wydawcę gazety. Przez kilka dni gadał do ochrypnięcia, a biedny Menandrus niemal ogłuchł, wysłuchując cyklu wykładów "Jak być redaktorem". Potem z bólem serca Martin wybrał się do Neapolu. Doświadczył jazdy łodzią po kanale, wslawionej przez Horacego, i stwierdził, że poeta się nie mylił. Była okropna.

Wezuwiusz nie dymił. Puteoli owszem, tak. Miasteczko było położone na skrawku lądu między morzem a wygasłym kraterem Solfatara. Padway i Fritharik odszukali miejsce wskazane przez Dentatusa. Stała tam jedna z największych i najbardziej zakopconych miejscowych hut.

Padway zapytał odźwiernego o Andronikusa. Właściciel był niskim, muskularnym mężczyzną, wysmarowanym sadzą. Kiedy Padway przedstawił się, Andronikus wykrzyknął!

- Ach! Pięknie! Wejdz, szlachetny panie, mam to czego potrzebujesz.

Podążyli do jego prywatnego inferno. Westybul, który pełnił jednocześnie rolę biura, otoczony był półkami, a na półkach stało szkło. Andronikus podniósł wazon.

- Popatrz! Ach, cóż za przejrzystość! Nie znajdziesz piękniejszego nawet w Aleksandrii. Tylko dwa solidy. - Nie przyszedłem po wazon, drogi panie. Chcę... - Nie po wazon? Och, nie po wazon? O, już mam!

- Podniósł następny. - Spójrz jaki kształt! Co za czystość linii! Przypomina ci...

- Powiedziałem już, że nie chcę wazonu. Chcę...

- ... przypomina ci piękną kobietę! Miłość! Andronikus cmoknął własne palce.

- Chcę kilka kawałków szkła, sporządzonych specjalnie...

- Wisiorki? Oczywiście, szlachetny panie. Spójrz. Wytwórca szkła zaczerpnął garść koralików. - Spójrz na kolor: szmaragd, turkus, wszystko. - Podniósł następną garść. - Popatrz: twarze dwunastu apostołów na każdym paciorku.

- Nic paciorki...

- A więc puchar. Oto on, popatrz, tu jest wyszlifowana Święta Rodzina...

- Chryste! - jęknął Padway. - Posłuchasz mnie wreszcie?

Wysłuchawszy objaśnień, neapolitańczyk powiedział:

- Oczywiście! Wspaniale! Widziałem już takie ozdoby. Wyrnę je jeszcze tego wieczoru. Będą gotowe na pojutrze...

- Nie o to chodzi. To ma być dokładnie sferyczna powierzchnia. Szlifujesz wklęsłość o wypukłość za pomocą... jak będzie po waszemu "szmergiel"? No... taki gruby materiał ścierny. Potem trochę naxium do wygładzenia...

Padway i Fritharik pojechali do Neapolu i zatrzymali się u kuzyna Thomasusa, Antiochusa Szypra. Przyjęcie nie było serdeczne. Okazało się, że kuzynek jest fanatycznym ortodoksem. Nienawidził nestorianizmu Thomasusa. Jego ostre docinki na temat heretyków tak dopiekły gościom, że wyprowadzili się na trzeci dzień. Wynajęli pokój w zajeździe. Brak urządzeń sanitarnych trapił czystą duszą Padwaya.

Każdego ranka jeździli do Putroli popatrzeć, jak idzie produkcja soczewek. Andronikus niezmiennie próbował sprzedać im tony szklanych rupieci.

Kiedy odjeżdżali do Rzymu, Padway miał tuzin soczewek. Sześć płaskowklęsłych i sześć płaskowypukłych. Sceptycznie podchodził do możliwości zrobienia teleskopu przez doświadczalne dopasowywanie odległości obiektywów. Mimo wszystko, poszło dobrze.

Najpraktyczniejsza okazała się odległość około trzydziestu cali. Szkło miało pęcherzyki i obraz był nieco zniekształcony, ale teleskop, acz prymitywny, pozwolił zmniejszyć o połowę ilość wież sygnalizacyjnych.

W gazecie pojawiło się pierwsze ogłoszenie. Padway wymógł na jednym z dłużników zakup szpalty. Reklama głosiła:

CZY CHCESZ MIEĆ WSPANIAŁY

POGRZEB?

Idź na sąd boski z fasonem! W oczekiwaniu na nasz pogrzeb odechce ci się umierać.

Nie zmniejszaj szansy na zbawienie sfuszerowanym pochówkiem!

Nasi eksperci obsługiwali najdostojniejsze zwłoki w Rzymie!

Uroczystości z udziałem duchowieństwa dowolnej sekty.

Specjalne stawki dla heretyków. Stosowna muzyka po umiarkowanej cenie.

Jan Egipcjanin,

przedsiębiorca pogrzebowy

Koło bramy na Viminal.

Julianus, dyrektor techniczny "Roman Telegraph Co." wpadł zdyszany do biura Padwaya.

- Prace... - Przerwał, by zaczerpnąć tchu i zaczął jeszcze raz: - Prace na trzeciej wieży wstrzymane przez wojsko z rzymskiego garnizonu. Pytałem o co, u diabła, chodzi, ale nie wiedzieli. Mieli po prostu rozkaz, żeby wstrzymać budowę. Co masz zamiar zrobić, prześwietny szefie?

Więc Goci czynią wstrętę? To znaczy, że trzeba będzie spotkać się z ich naczelnikami. Padwaya przeszedł dreszcz na myśl o dalszym wplątywaniu się w politykę. Westchnął.

- Myślę, że odwiedzę Liuderisa.

Dowódca rzymskiego garnizonu był okazałym, tęgim Gotem. Nosił z godnością białe wąsiska; tak gęstych Padway jeszcze nie widział. Mówił ponadto niezłą łaciną, ale od czasu do czasu wbijał wzrok w sufit i poruszając bezgłośnie wargami przepowiadał sobie deklinacje i koniugacje, szukając właściwej końcówki.

- Mój dobry Martinusie - zaczął. - Szykuje się wojna. Zacząłeś stawiać te... hm... tajemnicze wieże, nie pytając nas o zgodę. Niektórzy twoi poplecznicy to patrycjusze... hm... otwarcie wielbiący Greków. Co możemy o tym myśleć? Uważaj się za szczęściarza, że uniknąłeś aresztowania.

Padway zaprotestował.

- Miałem nadzieję, że armia uzna przydatność przedsięwzięcia do przesyłania informacji wojskowych. Liuderis wzruszył ramionami.

- Jestem tylko prostym żołnierzem wykonującym swoje obowiązki. Nie znam się wcale na tych... hm... urządzeniach. Może działałyby tak, jak mówisz. Ale nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za wydanie pozwolenia.

- Więc nie cofniesz rozkazu?

- Nie. Jeśli chcesz uzyskać zgodę, musisz zobaczyć się z królem.

- Ależ kochany panie, nie mam czasu, żeby biegać do Rawenny.

Następne wzruszenie ramion.

- Mnie tam wszystko jedno, mój drogi Martinusie. Znam swoje obowiązki.

Padway spróbował podstępny:

- Znasz je doskonale. Gdybym był królem, nie mógłbym się nacieszyć tak wiernym żołnierzem.

- Ty pochlebco! - wykrzyknął Liuderis, uśmiechając się jednak z zadowoleniem. - Przykro mi, że nie mogę zadośćuczynić twojej małej prośbie.

- Jakie są ostatnie nowiny o wojnie?

Liuderis zmarszczył się z dezaprobatą.

- Nie najlepsze... Ale powinienem trzymać język za zębami. Mam pewność, że jesteś znacznie bardziej niebezpieczny, niż na to wyglądasz.

- Możesz mi ufać. Jestem za Gotami.

- Tak? - Liuderis milczał przez chwilę. Niechęć wyraźnie zelżała. - Jakiego jesteś wyznania? - upewniał się.

Padway już czekał na to pytanie:

- Jestem kongregacjonalistą. W moim kraju nie ma nic bliższego arianizmowi.

- To pewnie dlatego jesteś z nami. Wiadomości jest niewiele, a jeszcze mniej dobrych. W Bruttium mamy tylko mały oddział pod dowództwem Evermutha, królewskiego zięcia. A nasz dobry król... - Znów wzruszył ramionami, tym razem z rozpaczą.

- Posłuchaj, najdostojniejszy Liuderisie, może jednak zechciałbyś cofnąć rozkaz. Natychmiast napisałbym prośbę o zgodę do Thiudahada.

- Nie, mój dobry Martinusie, nie mogę. Najpierw uzyskaj pozwolenie. I lepiej idź osobiście, jeśli ci na tym naprawdę zależy.

I tak Padway, wbrew sobie, kłusował przez Apeniny w kierunku Adriatyku. Fritharik był z początku zachwycony, gdy poczuł pod sobą rumaka. Wkrótce jednak zmienił nastrój.

- Szefie - wyburczał - nie jestem wykształconym człowiekiem, ale znam się na koniach. Zawsze twierdziłem, że dobry koń to najlepsza inwestycja. Jeśli nas zaatakują rozbójnicy, nie mamy szans na tych starych chabetach. - I dodał ponuro: - Nie to, żebym bał się śmierci albo zbójców, ale bezimienny grób w jednej z tych samotnych dolin... byłby to żalony koniec dla wandalskiego rycerza.

- Nie prowadzimy stajni wyścigowej - warknął Padway i zaraz zrobiło mu się przykro, gdyż Fritharik popatrzył na niego wzrokiem zranionej sarny. - Nie przejmuj się, stary, pewnego pięknego dnia i my będziemy sobie mogli pozwolić na dobre konie. Teraz jednak czuję się tak, jakbym miał portki pełne mrówek.

Brazylijskich mrówek, dodał w duchu. Odkąd przybył do starożytnego Rzymu, prawie nie jeździł konno, a i wcześniej rzadko mu się to zdarzało. Kiedy przybyli do Spoleto, miał wrażenie, że nie będzie już mógł normalnie siedzieć ani stać i spędzi resztę życia w półprzysiadzie jak zreumatyzowany szympan.

Do Rawenny dotarli o zmierzchu czwartego dnia. Miasto Mgieł usadowiło się okraciem na trzydziestomilowej grobli odgradzającej Adriatyk od ogromnych podmokłych lagun na zachodzie. Białe słońce oświetlało połączane kopuły kościołów. Bito w dzwony. Żaby na bagnach zamilkły, po czym znów zaczęły rechotać. Martin pomyślał, że każdy, kto zbliża się do tego niezwykłego miasta, witany jest dźwiękiem dzwonów, kumkaniem żab i cienką, bezlitosną pieśnią komarów.

Główny odźwierny, jak Puk ze Snu nocy letniej. sprawiał wrażenie urodzonego kpiarza.

- Dobry człowieku - oświadczyło indywiduum prawdopodobnie nie będąc mógł załatwić audiencji u naszego króla pana co najmniej przez trzy tygodnie.

Trzy tygodnie! W tym czasie nawali połowa skleconych przez Padwaya maszyn, a jego ludzie będą bezproduktywnie snuli się wokół, próbując je naprawić. Menandrus, tak nierozważnie obchodzący się z pieniędzmi, szczególnie cudzymi, doprowadzi gazetę do bankructwa. Sytuacja wymagała przemyślenia. Padway wyprostował obolałe nogi i zbierał się do odejścia.

Italczyk natychmiast stracił połowę pewności siebie. Szczerze zdziwiony wykrzyknął:

- Czyżbyś nie przyniósł p i e n i ę d z y ?

Padway pomyślał, że powinien był przecież zrozumieć prawdziwe znaczenie słów fagasa.

- Jaką masz taryfę?

Odźwierny, całkiem poważnie, zaczął wyliczać na palcach:

- Za dwadzieścia solidów mogę ci załatwić audiencję na jutro, pojutrze za dziesięć solidów; to stała cena, ale pojutrze jest niedziela, w takim razie posłuchanie przypada na poniedziałek za siedem i pół. Po tygodniu za dwa solidy, po dwóch...

Martin przerwał, proponując pięć solidów za audiencję poniedziałkową i dobił targu, dokładając buteleczkę brandy.

- Jest w zwyczaju sprezentować coś również królowi, chyba wiesz? - uprzedził odźwierny.

- Wiem - odparł Padway znużonym głosem. Pokazał skórzany futerał. - Zaprezentuję to osobiście.

Thiudahad, syn Tharasmunda, król Ostrogotów i Italczyków, naczelny wódz armii Italii, Ilirii i południowej Galii, pierwszy książę rodu Amalów, hrabia Toskanii, prześwietny patrycjusz rzymski, ex-officio przewodniczący igrzysk etc, etc., był równy wzrostem Padwayowi, chudy jak tyczka i nosił siwą bródkę. Przyjrzał się gościowi wodnisto-szarymi oczami.

- Wejdz, wejdz, dobry człowieku. Jaką masz sprawę? A, tak, Martinus Paduei. Jesteś tym facetem od publikacji, nieprawdaż? Co? - Mówił bardzo dobrą łaciną, bez śladu akcentu.

Padway skłonił się ceremonialnie.

- Tak, to ja, mój panie i królu. Zanim przejdę do sprawy, mam...

- To wielka rzecz, ta twoja maszyna. Słyszałem o niej. Wielka rzecz dla nauki. Musisz poznać mojego kochanego Kasjodora. Jestem pewien, że spodoba mu się pomysł drukowania jego Historii gockiej. Wielkie dzieło. Zasluguje na wysoki nakład.

Martin czekał cierpliwie.

- Mam dla ciebie mały podarunek, panie. Raczej niezwykły...

- Co? Podarunek? Obejrzymy go, a jakże.

Padway otworzył futerał.

- A co to takiego, u diabła? - zapiszczał Thiudahad.

Padway wyjaśnił zastosowanie szkieł powiększających, nie zająknąwszy się słowem o znanej krótkowzroczności króla. Thiudahad podniósł książkę i wypróbował na niej szkła... Aż kwiknął z zachwytu.

- Wspaniale, mój dobry Martinusie. Czy będę mógł czytać wszystko i nie bać się bólu głowy?

- Mam nadzieję, panie. To powinno pomóc. A teraz mam prośbę...

- A tak, chciałeś się ze mną widzieć w sprawie opublikowania dzieła Kasjodora. Każę go sprowadzić.

- Nie, panie. Chodzi o co innego. - Zanim król zdążył mu przerwać, szybko opowiedział o trudnościach z Liuderisem.

- Co? Nigdy nie zawracam sobie głowy sprawami prowincjonalnych garnizonów. Ich dowódcy znają swoje obowiązki.

- Ale, panie... - I tu Padway dał przed królem mały popis elokwencji komiwojażera, zachwalając ważność kompanii telegraficznej.

- Co? Projekt zrobienia pieniędzy? Jeśli jest taki dobry, to dlaczego mnie nie dopuściłeś do spółki od samego początku?

Ta uwaga wzburzyła trochę Padwaya. Powiedział coś niejasno o braku czasu. Król Thiudahad pokręcił głową.

- To było nierozważne z twojej strony, Martinusie. To było nielojalne. A jeśli ludzie nie będą lojalni w stosunku do swego króla, to do czego dojdziemy? Jeśli pozbawiasz swojego króla możliwości uczciwego zysku, to nie widzę powodu, żeby wtrącać się do spraw Liuderisa na twoją korzyść.

- Cóż, hm... hm... panie. Mam pomysł...

- Zupełnie nierozważne. Co mówisz? Streszczaj się, dobry człowieku, streszczaj się.

Padway zdusił w sobie nagłą chęć trzepnięcia tego irytującego facecika. Kiwnął na Fritharika, który stał nie opodal jak posąg. Wandal pokazał teleskop, a Padway objaśnił działanie.

- Tak, tak? Bardzo interesujące, doprawdy. Dziękuję, Martinusie. Przyniosłeś swemu królowi oryginalne prezenty.

Padwayowi aż zaparło dech. Nie zamierzał dawać Thiudahadowi najlepszego teleskopu, jaki posiadał. Ale było już za późno. Mógł tylko dodać:

- Tak sobie myślę, że gdybyś, mój panie i królu, zechciał... hm..., uprościć załatwienie sprawy z przeświatnym Liuderisem, to mógłbym zapewnić ci nieśmiertelną sławę w świecie nauki.

- Co? Co to ma znaczyć? Co ty wiesz o nauce? A, tak, zapomniałem, jesteś wydawcą. Chodzi ci o Kasjodora?

Padway powstrzymał westchnienie.

- Nie, panie. Doprawdy, nie o Kasjodora chodzi. Może zechciałbyś upamiętnić swoje imię rewolucjonizując ludzką wiedzę na temat systemu słonecznego?

- Nie lubię wtrącać się w sprawy moich dowódców, Martinusie. Liuderis to wspaniały człowiek. Co? Co mówiłeś? Coś o systemie słonecznym? Co to ma wspólnego z Liuderisem?

- Nic, panie. - Padway powtórzył swoją kwestię.

- No cóż, może wezmę to pod uwagę. Jaka jest ta twoja teoria?

Krok po kroku Martin wy dobył od króla obietnicę swobody w działaniu w zamian za urywki informacji o systemie kopernikańskim, instrukcję użycia teleskopu do obserwacji księżyców Júpitera i przyrzeczenie wydania traktatu astronomicznego pod imieniem Thiudahada.

Po godzinie Padway uśmiechnął się i stwierdził:

- A zatem, panie, wygląda na to, że zawarliśmy porozumienie. Pozostaje tylko drobna sprawa. Lunety to cenne przyrządy wojskowe. Gdybyś zechciał zaopatrzyć w nie swoich oficerów...

- Co? Wojsko? Porozmawiaj z Wittigisem. To mój naczelny generał.

- Gdzie on jest?

- Gdzie jest? Och, nie wiem, myślę, że gdzieś na północy. Była tam jakaś mała inwazja Alemanów czy jakichś innych.

- Kiedy wróci?

- Skąd mam wiedzieć, drogi Martinusie? Jak wyprze tych Alemanów czy Burgundów, czy kogo tam jeszcze.

- Najjaśniejszy panie, jeśli łaska, wojna z Cesarstwem już się zaczęła. Myślę, że teleskopy powinny dotrzeć do armii jak najprędzej. Moglibyśmy dostarczyć je po rozsądnej cenie.

- Posłuchaj, Martinusie - warknął zirytowany król - nie próbuj uczyć mnie rządzenia. Jesteś równie nie do wytrzymania jak moja rada przyboczna. Ciągle: dlaczego nie zrobisz tego, dlaczego

nie zrobisz tamtego? Ufam moim dowódcom, nie zajmuję się szczegółami. Powiedziałem, że masz zobaczyć się z Wittigisem, i na tym koniec.

Thiudahad wyraźnie się uparł, więc Padway, powiedziawszy kilka nic nie znaczących komplementów, skłonił się i wyszedł.

Kiedy wrócił do Rzymu, jego pierwszą troską była gazeta. Numer, który wyszedł zaraz po wyjeździe, był dobrze zrobiony. Następny właśnie się drukował, a Menandrus był dziwnie podniecony. Napomykał o jakiejś wspaniałej niespodziance dla szefa. Rzeczywiście, to była dopiero niespodzianka! Padway spojrzał na próbny egzemplarz i serce podeszło mu do gardła. Na pierwszej stronie widniała informacja podająca ze szczegółami sprawę łapówki, którą nowy papież Sylweryusz dał królowi Thiudahadowi za poparcie swojej elekcji.

- Piekło i szatani! - wrzasnął Padway. - Czyś ty, Grzesiek, na głowę upadł, żeby to drukować?

- O co chodzi? - zapytał zbity z tropu Menandrus. - To przecież prawda, nie?

- Pewnie, że to prawda! Ale chyba nie chcesz, żeby nas wszystkich powiesili albo spalili na stosie? Jesteśmy i tak mocno podejrzani dla Kościoła. Nawet gdybyś odkrył, że jakiś biskup trzyma dwadzieścia konkubin, nie wolno ci o tym słowa napisać.

Menandrus chlipnął trochę, wytarł łzy i wysmarkał nos w tunikę.

- Przepraszam, prześwietny szefie. Chciałem cię zadowolić. Nawet nie wiesz, ile musiałem się natrudzić, żeby zdobyć tę informację. Taki biskup też jest, tylko ma nie d w a d z i e ś c i a konkubin, ale...

- Ale ze względów zdrowotnych nie skorzystamy z tej wiadomości. Chwała Bogu, że wydanie jeszcze się nie rozeszło.

- Rozeszło się już.

- Że co?! - ryknął Padway, aż kilku robotników zajrzało do biura.

- No tak, Jan Księgarz zabrał pierwsze sto egzemplarzy przed minutą.

Jan Księgarz przestraszył się nie na żarty, kiedy Martin jeszcze pokryty kurzem z podróży, dopadł go w galopie na ulicy i schwycił za ramię. Ktoś zaczął krzyżeć:

- Złodzieje, rabusie, na pomoc, mordują!

Chwilę potem Padway gwałtownie starał się wytłumaczyć czterdziestu dzielnym obywatelom, że wszystko jest w porządku.

Gocki żołnierz przepchnął się przez tłum i zapytał, co się stało. Ktoś wskazał na Martina i wykrzyknął:

- To ten typ w wysokich butach! Słyszałem, jak groził tamtemu człowiekowi, że poderżnie mu gardło, jeśli nie dostanie pieniędzy... - Nic dziwnego, że Got aresztował Padwaya.

Martin trzymał się kurczowo Jana Księgarza, zbyt przerażonego, by wydusić z siebie choć słowo. Szli w milczeniu za żołnierzem, dopóki nie oddalili się od tłumu. Potem Padway zaprosił Gota do winiarni, ugościł jego i księgarza i zaczął wyjaśnienia. Mimo potwierdzeń mniemanej ofiary żołnierz zachowywał się, jakby niczego nie rozumiał, dopóki nie dostał łapówki. Padway odzyskał wolność i cenne papiery. Na tym kłopoty się skończyły, nie licząc faktu, że ktoś tymczasem ukradł konia.

Padway powlókł się pieszo do domu, z gazetami pod pachą. Fritharik nie przejął się utratą rumaka:

- Prześwietny szefie, to ścierwu, tak czy owak, nie było wiele warte.

Nastrój poprawił się, kiedy przyszła wiadomość, że pierwsza odnoga telegrafu będzie gotowa za kilka dni. Padway nalał sobie kubek czegoś mocniejszego przed obiadem. Wystarczyło, żeby po pracowitym dniu zaszumiało mu trochę w głowie. Razem z Fritharikiem pośpiewał najnowsze barbarzyńskie pieśni wojenne:

Ziemia się trzęsie,

Gdy jadą rycerze.

Słońce się skryło

I trzęsą się tchórze.

Krwią niebo wezbrało,

Gdy lance błyszczące

Skloniły się falą...

Kiedy Julia spóźniła się z posiłkiem, Martin dał jej figlarnie klapsa. Sam był tym zaskoczony.

Po obiedzie zachciało mu się spać. Rzucił w diabły rachunki i poszedł na górę do łóżka; Fritharik już chrapał na materacu przy drzwiach. Padway nie dałby grosza za czujność swojej straży przybocznej.

Już rozbierał się do snu, gdy usłyszał pukanie.

- Fritharik? - zapytał.

- Nie, to ja.

Z niezadowoloną miną otworzył drzwi. W świetle kaganka ujrzał Julię z Apulii. Weszła kołysząc się w biodrach.

- Czego chcesz?

Czarnowłosa, krępa dziewczyna popatrzyła na niego z pewnym zdumieniem.

- Czyżbyś, panie, chciał, żebym powiedziała to na głos? To byłaby niedyskrecja.

- Hę?

Zachichotała. - Przykro mi, nie ten adres - stwierdził Padway. - Znikaj.

Wyglądała na zmieszaną.

- Mój... mój pan nie chce mnie?

- Zgadza się; w każdym razie nic do tych rzeczy. Usta wygięły się jej w podkówkę, dwie duże łzy spłynęły po policzkach.

- Nic podobam ci się? Myślisz, że jestem nieładna?

- Myślę, że jesteś świetną kucharką i ładną dziewczyną. A teraz idź już sobie. Dobranoc.

Stała bez ruchu i pociągała nosem, potem rozszlochała się. Zaczęła piskliwie lamentować:

- Tylko dlatego, że jestem ze wsi, nigdy na mnie nie popatrzyłeś, nigdy o mnie nie poprosiłeś... teraz wieczorem byłeś taki miły... myślałam... myślałam... uuu... uuu...

- Już dobrze, już dobrze... na miłość boską, przestań płakać. Poczekaj, usiądź sobie. Dam ci coś do picia.

Mlaskała pijąc rozcieńczoną brandy. Wytarła oczy.

- Jesteś dobry. Miłość też jest dobra. Każdemu należy się trochę miłości. Miłość - och! - Zrobiła wężowy ruch, zaskakujący przy jej budowie.

Martin poruszył grdyką.

- Daj mi kubek. Też muszę się napić.

Po chwili zapytała:

- To co, kochamy się?

- Chwileczkę... Chyba tak, tak! - Padway czknał.

Zmarszczył się na widok wielkich bosych stóp Julii.

- Zaraz... hep... za minutkę, nimfo leśna. Obejrzymy najpierw twoje nogi. - Podeszwy były czarne jak ziemia. - Tak nie może być. To wykluczone, moja lubieżna Amazonko. Stopy stanowią psychologiczną przeszkodę nie do przezwyciężenia.

- He?

- Tworzą psychologiczną barierę... hep... zbyt trwałą, by stosownie oddać cześć boskiej Asztarte. Musimy dokonać ablucji kończyn dolnych.

- To jakieś obrzędy?

- Możesz to i tak nazwać. O, do diabła... - Stracił dzban z wodą i cudem złapał go nad ziemią.

- A więc chodźmy, nereido z pełnego ryb morza, ciemnego jak wino.

Zachichotała.

- Jesteś taki miły. Prawdziwy dżentelmen. Żaden jeszcze dla mnie taki nie był...

Padway obudził się i zamrugał oczami. Wszystko mu się przypomniało. Napinał mięśnie jeden po drugim. Czuł się świetnie. Zbadał swoje purytańskie sumienie. Nie reagowało.

Przesunął się ostrożnie, gdyż Julia zajmowała dwie trzecie niezbyt szerokiego łóżka. Podniósł się na łokciu i popatrzył na nią. Ruch odsłonił jej wielkie piersi. Pomiędzy nimi leżał, przywiązany do sznurka na szyi, kawałek żelaza. Był to, jak mu powiedziała, gwóźdź z krzyża świętego Andrzeja. Za nic nie chciała go zdjąć.

Uśmiechnął się. Może by zacząć takie produkować? Małe, szczęśliwe stworzenie, nie większe niż główka szpilki, wypelzło z włosów pod pachą. Przesuwało się po jej oliwkowo-brązowej skórze z powolnością lodowca...

Padway wyskoczył z łóżka. Twarz wykrzywiło mu obrzydzenie. Naciągnął ubranie, nie tracąc czasu na mycie. Pokój po prostu śmierdział. Rzym musiał przytępić jego powonienie, bo zauważyłby to wcześniej.

Julia obudziła się, gdy kończył się ubierać. Wymamrotał "dzień dobry" i wyszedł.

Tego dnia spędził dwie godziny w łaźniach publicznych. Wieczorem, gdy Julia znów zapukała, ostro kazał jej się wynieść i trzymać się z daleka. Zaczęła lamentować. Padway szarpnął klamkę.

- Jeszcze jedno piśnięcie i jesteś zwolniona - burknął i zatrzasnął drzwi.

Nadašana, posłusznie odeszła. Przez następne kilka dni spoglądała na niego jadownicie. Nie była dobrą aktorką.

W najbliższą niedzielę, gdy wracał z Biblioteki Ulpiana, zastał przed domem małe zbiegowisko. Ludzie po prostu stali i patrzyli. Padway też spojrzął, ale nie znalazł niczego niezwykłego.

- Co ci się tak spodobało w moim domu? - zapytał kogoś. Zagadnięty milczał, ale wszyscy zaczęli na Martina patrzeć bez słowa. Rozchodzili się po dwóch, po trzech. Przyspieszali kroku oglądając się za siebie. W poniedziałek rano dwóch robotników nie stawiało się do pracy. Nerva podszedł do Padwaya i po dłuższym odchrząkiwaniu zaczął:

- Myślę, że powinienes o tym wiedzieć, dostojny Martinusie. Wczoraj jak zwykle poszedłem na Mszę do kościoła Archanioła Gabriela.

- I co? - Kościół stał przy Długiej, cztery przecznice od domu Padwaya.

- Ojciec Narcissus wygłosił kazanie przeciwko czarom. Mówił o ludziach, którzy najmują demony u Szatana i robią dziwne urządzenia. To było bardzo mocne kazanie. Wyglądało na to, że pije do ciebie.

Padway zmartwił się. Może to był przypadek, ale nie miał wątpliwości, że Julia poszła do spowiedzi i napaplała o cudzołożeniu z czarownikiem. Jedno kazanie zgromadziło tłum przed jaskinią zła. Jeszcze kilka takich i...

Padway bał się tłumu fanatyków bardziej niż czegokolwiek na świecie. Prędzej dogadałby się z karaluchem niż z ludźmi o tak odmiennej umysłowości.

Zażądał od Menandrusa informacji o ojcu Narcissusie. Wieści były złe z punktu widzenia Padwaya. Ojciec Narcissus należał do najbardziej poważanych księży w Rzymie. Był prawy, miłosierny, ludzki i nieustraszony, i to wszystko na serio przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. I nie było ani cienia skandalu, który by go dotyczył. Po prostu wzór kapłana.

- Grzegorz, czy nie mówiłeś kiedyś o biskupie, który utrzymuje konkubiny?

Grzegorz uśmiechnął się przebiegle.

- To biskup Bolonii, panie. Jeden z zaufanych przyjaciół papieża. Połowę czasu spędza w Watykanie. Ma dwie kobiety; przynajmniej o tylu słyszałem. Mam ich imiona i inne dane. Każdy wie, że biskupi miewają konkubiny, ale żeby po dwie! To byłby dobry materiał do gazety.

- Być może. Napiszesz, Grzegorz, artykuł o biskupie z Bolonii i jego kochankach. Ma to być sensacyjne, ale ściśle. Złożysz to i odbijesz trzy, może cztery szczotki. Potem schowaj gazetę w bezpieczne miejsce.

Padway przez tydzień starał się o audiencję. Biskup na szczęście przebywał w Rzymie. Był to wytwornie ubrany mężczyzna o pięknej, bladej twarzy. Można się było domyśleć silnie uzwojonego mózgu za jego wysokim czołem.

Biskup uśmiechnął się ascetycznie, gdy Padway ucałował jego dłoń mamrocząc stosowne uprzejmości. Martin rozgadywał się o wielkim dziele Kościoła i swoich nieudolnych staraniach dopomożenia w tym zbożnym trudzie.

- Na przykład, eminencjo, czy wiesz, że wydają tygodnik?

- O, tak! Czytuję go z przyjemnością.

- No cóż. Muszę bardzo uważać na chłopców. Są skłonni do popełniania błędów w swym pracowitym zapale. Staram się, aby moja gazeta mogła znaleźć się w każdym przyzwoitym domu. Nie może zawierać skandali ani oszczerstw. Dlatego czasem sam muszę zapełniać prawie całe wydanie. - Westchnął. - Ach! Ci grzesznicy! Czy uwierzysz, eminencjo, że musiałem powstrzymać ich od publikowania wstrętnych paszkwili na dostojników Świętego Kościoła? Najbardziej wstrząsający wydrukowali niedawno. - Wyjął odbitkę szczotkową. - Ledwie ośmielam się pokazać ci to, panie. Powstrzymaj swój sprawiedliwy gniew. Niechaj nie spadnie na mnie wieczne potępienie za ten plugawy wytwór wyobraźni szaleńca.

Biskup wyciągnął chude ramiona.

- Pokaż, synu. Kapłan widzi niejedno okropieństwo w swoim życiu. Służba Panu w dzisiejszych czasach wymaga siły ducha.

Padway wręczył arkusz. Biskup zaczął czytać. Smutek skaził rysy jego anielskiej twarzy.

- Ach! Nieszczęśni śmiertelnicy! Nie wiedzą, że sami się ranią tymi kalumniami. To dowód na to, że na każdym kroku potrzebujemy oparcia w Bogu, aby nie popaść w grzech. Powiedz, kto to napisał? Będę się modlił za niego.

- Człowiek o imieniu Marcus. Zwolniłem go, oczywiście, natychmiast. Nie potrzebuję nikogo, kto z całej duszy nie wspiera Kościoła.

Biskup delikatnie odchrząknął.

- Doceniam twoje wysiłki. Jeśli byłoby w mojej mocy zadośćuczynić jakiejś twojej prośbie...

Padway opowiedział o dobrym ojcu Narcissusie, który w tak pożałowania godny sposób omylił się co do intencji zbożnego przedsięwzięcia.

Na mszy w najbliższą niedzielę Padway siedział w pierwszym rzędzie. Myślał o tym jak stawić czoła ojcu Narcissusowi, gdyby ten okazał się nieubłagany. Śpiewał ze wszystkimi:

Imminet, imminet,

Recta remuneret.

Aethera donet,

Ille supremus.

Pomyślał, że chrześcijaństwo poprzez koncepcję Millennium i Dnia Sądu przyzwyczajają ludzi do patrzenia w przyszłość i tak toruje w ich umysłach drogę idei organicznego rozwoju i postępu technicznego. Tego wszystkiego nie było w starych religiach.

Ojciec Narcissus zaczął mszę od punktu, w którym skończył w ubiegłym tygodniu. Czary są najbardziej niegodziwą zbrodnią, nie można przepuścić żadnemu czarownikowi i tak dalej... Padway zeszywniał.

Ale, kontynuował dobry kapłan krzywo patrząc na Amerykanina, nie powinniśmy w świętym oburzeniu mylić sługi Beliala uprawiającego czarną magię z uczciwym rzemieślnikiem, który pomaga nam swoimi pomysłowymi narzędziami w wędrówce przez ten padół łez. Przecież Adam wymyślił pług, a Noe statek oceaniczny. A ta nowomodna maszyna pisząca ułatwi rozprzestrzenianie słowa Bożego wśród pogan...

Kiedy Padway wrócił do domu, wezwał Julię i powiedział, że więcej mu nie będzie potrzebna. Dziewczyna zaczęła szlochać, najpierw po cichu, potem coraz głośniej i gwałtowniej.

- Co z ciebie za człowiek? Dałam ci miłość, dałam ci wszystko, ale ty myślisz, że jestem większą dziewczuchą, z którą-możesz-zrobić-co-zechcesz-a-jak-ci-się-znudzi... - Mówiła dialektem z szybkością karabinu maszynowego; nie można było nadążyć za potokiem słów. Kiedy zaczęła wrzeszczeć i szarpać na sobie ubranie, Padway bez krzty sentymentu zagroził, że każe Fritharikowi wziąć ją za kołnierz i wyrzucić za drzwi. Natychmiast się uspokoiła.

Dzień po jej odejściu Padway osobiście obszedł dom, żeby sprawdzić, czy coś nie zniknęło albo się nie stłukło. Pod swoim łóżkiem znalazł dziwny obiekt: garstkę pierza przywiązaną końskim włosiem do czegoś, co okazało się na wpół zgniłym mysim truchelkiem. Całość przesiąknięta była skrzeplą krwią. Fritharik nie wiedział, co to jest; Menandrus, gdy zobaczył dziwny przedmiot, pobladł lekko i wymamrotał:

- Klątwa!

Niechętnie poinformował Padwaya, że to zaklęcie sprowadzające nieszczęście, rozprowadzane przez miejscowych czarowników. Podłożyła je, bez wątpienia, zwolniona gosposia, żeby sprowadzić na Padwaya rychłą i straszną śmierć.

Menandrusowi jakoś nagle odeszła chęć do dalszej pracy.

- Nie to, żebyś naprawdę wierzył w klątwy, prześwietny szefie, ale mam rodzinę na utrzymaniu, nie mogę ryzykować...

Podwyżka płacy oddaliła niepokoje dzielnego żurnalisty. Był jednak rozczarowany, gdy dowiedział się, że Padway nie skorzysta z okazji, żeby doprowadzić do aresztowania i powieszenia Julii za czary.

- Pomyśl tylko - argumentował - przysłużylibyśmy się Kościołowi. I jaki byłby z tego wspaniały artykuł.

Martin wynajął inną gospodynię - siwowłosą, gderliwą, wprost przygnębiająco aseksualną. Dlatego właśnie została zatrudniona.

Dowiedział się, że Julia dostała pracę u Ebenezera Żyda. Miał nadzieję, że nie spróbuje na nim swoich sztuczek. Stary bankier stanowczo by tego nie przetrzymał.

W kilka dni później złożył wizytę Thomasusowi.

- Spodziewam się w każdej chwili pierwszej telegraficznej wiadomości z Neapolu - zauważył od niechcienia.

Bankier zatarł ręce.

- Jesteś cudem natury, Martinusie. Tylko uważaj, żebyś się nie przeliczył z możliwościami. Posłańcy zatrudniani w italskiej służbie państwowej narzekają, że ten wynalazek odbierze im środki do życia. To nieuczciwa konkurencja, mówią.

Padway wzruszył ramionami.

- Zobaczymy. Może będą jakieś wieści o wojnie. Thomasus zachmurzył się.

- To następna sprawa, która mnie trapi. Thiudahad palcem nie kiwnął w obronie Italii. Przeraza mnie myśl, że wojna może się przenieść daleko na północ, pod samo Miasto.

Padway zaproponował:

- Założmy się, że zięć króla, Evermuth Wandal, zdezerteruje do cesarskich. O jednego solida.

- Zgoda!

Niemal w tym samym momencie wszedł Junianus z papierem w ręku. Była to pierwsza depesza. Przynosiła wiadomość, że Belizariusz wylądował w Reggio, że Evermuth przeszedł na jego stronę, a cesarscy maszerują na Neapol.

Padway wyszczerzył się do bankiera, któremu szczęka opadła z wrażenia.

- Przykro mi, stary! Potrzebuję tego solida. Zbieram na nowego konia.

- O Boże! Czy słyszysz? Martinusie, następnym razem, gdybym miał robić zakład z czarownikiem, ubezwłasnowolnij mnie i wyznacz kuratora.

Dwa dni później przybył posłaniec z wiadomością, że król jest w Rzymie i poleca Martinowi stawić się natychmiast. Padway pomyślał, że Thiudahad chce z nim porozmawiać o teleskopie, ale okazało się inaczej.

- Mój drogi Martinusie - oświadczył król - muszę cię prosić o unieruchomienie tego twojego telegrafu. Natychmiast.

- Co? Dlaczego, mój panie i królu?

- Wiesz, co się stało? Co? Ten twój wymysł rozprzestrzenił wieść o zdradzie mojego, pozał się Boże, zięcia po całym Rzymie w parę godzin po fakcie. To bardzo źle dla morale. Ośmiela elementy progreckie i wzbudza krytycyzm wobec mojej osoby. M o j e j o s o b y ! Proszę cię zatem, żebyś więcej tego nie robił. Przynajmniej w czasie wojny.

- Ale panie! Myślałem, że to będzie przydatne dla celów wojskowych...

- Ani słowa więcej, Martinusie. Zabraniam! Zaraz, co to ja chciałem... Do licha, coś jeszcze miałem do ciebie. A tak! Mój drogi Kasjodor chce cię poznać. Zostaniesz na obiedzie, prawda? To wielki erudyta, ten Kasjodor.

I tak Padway poznał prefekta pretorianów, starszego, raczej dobrodusznego Italczyka. Natychmiast zagłębili się w rozważaniach o historiografii, literaturze i kłopotach edytorskich. Padway ze zdumieniem i irytacją stwierdził, że świetnie się bawi. Zdawał sobie sprawę, że staje się współnikiem roztrzęsionych starców w zbrodniczym lekceważeniu obrony kraju. Tkwił w nim jednak, myślał ze smutkiem, spory kawał bujającego w obłokach intelektualisty. Nie mógł nie sympatyzować z nimi. Poza tym nie miał okazji do intelektualnej rozpusty, odkąd przybył do starożytnego Rzymu.

- Prześwietny Kasjodorze - powiedział - chyba zauważyłeś czytając moją gazetę, że staram się nauczyć drukarzy rozróżniania między U i V, a także między I a J. Nie sądzisz, że ta reforma była od dawna potrzebna?

- O tak, tak, znakomity Martinusie! Cesarz Klaudiusz próbował czegoś podobnego. A jakie dźwięki oznaczasz odpowiednimi literami?

Padway wyjaśnił. Powiedział też, że zamierza drukować gazetę, a przynajmniej jej część, w wulgarnej łacinie. Na to Kasjodor aż podniósł ręce w przerażeniu.

- Znakomity Martinusie! Te nędzne dialekty, które uchodzą dziś za łacinę? Co by powiedział Owidiusz, gdyby je usłyszał? Co by powiedział Wergili? Co by powiedzieli starożytni mistrzowie?

Padway uśmiechnął się.

- Ponieważ żyli nieco przed nami, obawiam się, że nigdy nie poznamy ich zdania, ale jestem pewien, że i w ich czasach końcowe "s" i "m" były pomijane w pospolitej wymowie... W każdym razie wymowa i gramatyka odeszły za daleko od klasycznych wzorców, by można było do nich powrócić. A zatem, jeśli chcemy, aby nasze nowe narzędzie krzewienia literatury było użyteczne, musimy zgodzić się na ortografię mniej więcej zgodną z językiem mówionym. Inaczej ludzie nie zechcą czytać. Na początek powinniśmy dodać kilka liter. Na przykład...

Wiele godzin później, gdy Padway zbierał się do , odejścia, spróbował naprowadzić rozmowę na tematy związane z wojną. Nie dało to rezultatu, ale sumienie miał czyste.

Zaskoczyły go, choć były do przewidzenia, skutki jego znajomości z królem i prefektem. Wieść o tym szybko się rozniosła. Odwiedzali go teraz dobrze urodzeni Rzymianie. Zaproszono go nawet na kilka bardzo nudnych obiadów. Zaczynały się o czwartej i trwały prawie do północy.

Kiedy słuchał wodnistej konwersacji i jeszcze bardziej wodnistych przemówień, myślał sobie, że dwudziestowieczni mówcy bankietowi mogliby brać u tych ludzi lekcje górnolotnej, pustosłownej retoryki. Po nieco nerwowym sposobie, w jaki gospodarze przedstawiali go innym gościom, domyślił się, że jest nadal uznawany za swego rodzaju potwora, aczkolwiek dobrze wychowanego potwora, który może się przydać.

Nawet Cornelius Anicius traktował go z estymą i wystosował spóźnione zaproszenie. Nie przeproszał za zadzieranie nosa w bibliotece, ale pełna wyższości maniera wskazywała, że pamiętał.

Padway przełknął dumę i przyjął zaproszenie. Uznał, że byłoby głupio osądzać Aniciusa według własnych kryteriów. No i chciał się zobaczyć z tą śliczną brunetką.

Gdy nadszedł czas, wstał od biurka, umył ręce i kazał Fritharikowi pójść ze sobą.

Fritharik odrzekł zgorszony:

- Masz zamiar iść p i e s z o do domu tego rzymskiego szlachcica?

- Oczywiście, to tylko parę mil. Dobrze nam to zrobi.

- Ależ, najgodniejszy szefie, nie możesz tego zrobić! Tak nie uchodzi, wiem, bo pracowałem kiedyś u jednego patrycjusza. Powinieneś wziąć lektykę, a przynajmniej konia.

- Bzdura. Skądinąd, mamy tylko jednego konia pod siodło. Nie chciałbyś przecież iść, kiedy ja będę jechał?

- No, nie. Nie dlatego, żebym miał coś przeciwko spacerom. Ale to by wyglądało śmiesznie, gdyby rękodajny, wolny członek świty rycerza szedł pieszo przy uroczystej okazji jak jakiś niewolnik.

Do diabła z tą etykietą, pomyślał Padway.

Fritharik powiedział z nadzieją w głosie:

- Mamy przecież perszerona. Dobrze się prezentuje, można by go niemal pomylić z ciężkim koniem kawaleryjskim.

- Nie chcę, żeby chłopcy w warsztacie stracili parę godzin roboczych tylko ze względu na tę cholerną zabawę w prestiż...

Pojechał jednak na perszeronie, a Fritharik na kościstym wierzchowcu.

Wprowadzono go do dużego pokoju, którego wystrój przypominał późnowiktoriański salon pełen świecidełek. Przez zamknięte drzwi dobiegał głos Aniciusa recytującego potoczyste pentametry:

Roma, bogini wojownicza, w hełmie zwieńczonym

I zdobnym w kity, siadła na swym tronie

Corona muralis oplata jej włosy.

Cnotliwa mina budzi grozę surowością piękna.

W purpurowej szacie, z broszą jak kielżmii.

Na łonie klejnot spina fałdy płaszcza.

Ogromna i promienna tarcza bok jej chroni.

W twardym metalu odlana grota Rhei...

Służący wślizgnął się przez drzwi i coś szepnął. Anicius przerwał deklamację i wbiegł do pokoju z książką pod pachą. Krzyknął:

- Drogi Martinusie! Błagam o wybaczenie. Powtarzałem mowę, którą jutro mam wygłosić. - Poklepał książkę i uśmiechnął się zażenowany. - To nie będzie zupełnie oryginalne. Nie wydaj mnie.

- Oczywiście. Trochę słyszałem przez drzwi.

- Tak? I co o tym sądzisz?

- Myślę, że twoje wykonanie było wspaniałe.

Oparł się pokusie, by dodać: ale co to miało znaczyć? Takie pytanie o urywek późnorzymskiej retoryki byłoby równie bezsensowne, co nietaktowne.

- Naprawdę? - wykrzyknął Anicius. - Wspaniale! Bardzo się cieszę. Będę się jutro denerwował nie mniej niż Kadmos, gdy siał smocze zęby. Życzliwa i kompetentna krytyka doda mi

się. Muszę dokończyć. Zostawiam cię na łasce Dorothei. Nie obrazisz się, mam nadzieję?
Wspaniale. Ach, córko!

Wymienili ukłony. Dorothea zabrała Padwaya do ogrodu, podczas gdy Anicius wrócił do plagiatu Sydoniusza.

- Powinieneś kiedyś posłuchać ojca. Przenosi się w czasy, kiedy Rzym był rzeczywiście panem świata. Gdyby odbudowa potęgi imperium zależała od pięknej retoryki, ojciec i jego przyjaciele dawno by tego dokonali.

W ogrodzie czuło się gorąco włoskiego czerwca. Pszczoły brzęczały monotennie.

Martin grzecznie spytał o nazwy kwiatów. Odpowiedziała mu.

Było mu gorąco. Miał już dosyć napięcia, odpowiedzialności i nieludzkiego wysiłku. Chciał być znowu młody i szalony.

Zadał jeszcze kilka pytań o kwiaty - trywialnych pytań o rzeczy bez znaczenia.

Odpowiadała miłym głosem, nachylając się tu i ówdzie nad rośliną, żeby usunąć chrząszcza. Ona też odczuwała upał. Kropelki potu pojawiły się na jej górnej wardze. Suknia przylgnęła jej do ciała w kilku miejscach. Padwayowi bardzo się te miejsca podobały. Stali blisko siebie rozmawiając z młodzieńczą powagą o kwiatkach, chrabąszczach i ogrodnictwie. Wystarczyło się pochylić, by ją pocałować. Krew pulsowała mu w skroniach. Jej uśmiech mógł być poczytany niemal za zaproszenie.

Ale Padway nie pochylił się. Jego umysł zmagał się z argumentacją:

a) nie wiadomo, jakby to przyjęła; nie ma co pozwalać sobie na ekscesy tylko dlatego, że miło się uśmiechnęła;

b) gdyby się oburzyła, a wygląda na to, że tak, konsekwencje byłyby nieobliczalne;

c) gdyby jednak się kochali, to co potem? Nie potrzebował kochanki ani Dorothea Anicius nie zechciałaby nią zostać, małżeństwa nie brał w rachubę;

d) w pewnym sensie był już żonaty...

Pomyślał sobie: Padway, chłopie, zdaje się, że przed paroma minutami chciałeś być młody i szalony. Za późno. Zawsze będziesz najpierw chłodno kalkulował.

Trochę posmutniał. Nigdy nie będzie jednym z tych zapalczywych młodzian - zazwyczaj opisywanych jako wysocy i przystojni - którzy tylko raz spojrzą na dziewczynę, a już wiedzą, że jest ich przeznaczeniem, i porywają ją w ramiona. Pozostawił podtrzymywanie konwersacji Dorothei, kiedy wracali do domu na obiad i mowę w wykonaniu Aniciusa. Przyjrzał się dziewczynie, która go nieco wyprzedzała, i poczuł odrazę do siebie za to, że pozwolił Julii wleźć mu do łóżka.

Usiedli, a raczej wyciągnęli się na łożach, bo Anicius nalegał, żeby jeść w dobrym, starorzymskim stylu. Padwayowi było bardzo niewygodnie. Wyraz twarzy Aniciusa był mu dziwnie znajomy. Tak patrzy człowiek, który pisze albo ma zamiar napisać książkę. Zaczęły się podchody:

- Och, te zwyrodniałe czasy, w których żyjemy, prześwietny Martinusie! Lira Orfeusza brzmi coraz ciszej, Kaliopie przysłoniła twarz, radosna Talia umilkła; hymny naszego Świętego Kościoła wyparły słodkie pienia Euterpe. Tylko kilku z nas dzierży pochodnię poezji, brodząc przez Hellespont barbarzyństwa. Niewielu uprawia ogród kultury.

- To wielkie dzieło - rzekł Padway usiłując wygodnie się ułożyć.

- Tak, znosimy trudy godne Herkulesa. Czy zechciałbyś rozważyć, z orlą bystrością wydawcy, książeczkę moich wierszy? - Pokazał plik papirusów. Niektóre z nich są całkiem niezłe, jeśli niegodnemu autorowi wolno tak powiedzieć.

- To z pewnością bardzo zajmujące. - Padway uśmiechnął się z wysiłkiem. - Jeśli jednak chodzi o wydanie, muszę cię uprzedzić, że podpisałem już umowy z trzema twymi dostojnymi kolegami, co razem z gazetą i podręcznikami szkolnymi przesunie termin druku twoich wierszy o kilka tygodni.

- Och - westchnął słabo Anicius.

- Prześwietny Trajanus Herodius, znamienity Jan Leontius i poważany Felix Avitus. Wszyscy złożyli poematy epickie. Ze względu na ryzyko sprzedaży ci dostojni panowie podjęli odpowiedzialność finansową za publikację.

- To znaczy?

- To znaczy, że zapłacili z góry i odbiorą zysk po sprzedaniu nakładu, z uwzględnieniem marży dla księgarza. Oczywiście, znakomity panie, jeśli książka jest naprawdę dobra, autor nie musi się martwić o zwrot poniesionych kosztów.

- Tak, tak, prześwietny Martinusie. Rozumiem. Jakie szanse dajesz memu małemu dziełku?

- Musiałbym się z nim najpierw zapoznać.

- Doskonale, przeczytam ci trochę teraz, żebyś mógł wyrobić sobie pogląd.

Anicius usiadł. Jedną ręką dzierżył papirus, a drugą czynił dostojne gesty:

Mars grmiącą trąbą pana obwołuje

Młody Jupiter objął tron niedawno,

Ponad gwiazdami Natura go sadza,

Pomniejsze bogi wielbią swego pana.

Z pompą przejmuje władzę starożytną...

- Ojczy - przerwała Dorothea - jedzenie ci wystygnie.

- Co? A, tak, dziecko.

- Poza tym sędzę - kontynuowała - że powinienes wyrazić od czasu do czasu trochę chrześcijańskich uczuć zamiast tych wszystkich pogańskich przesądów.

Anicius westchnął:

- Martinusie, jeśli kiedykolwiek będziesz miał córkę, wydaj ją wcześniej za męża, zanim rozwinie się u niej zmysł krytyczny.

W sierpniu Neapol skapitulował przed Belizariuszem. Thiudahad nie zrobił nic, żeby pomóc miastu. Kazał natomiast uwięzić rodziny tamtejszego małego gockiego garnizonu, żeby zapewnić sobie wierność żołnierzy. Naprawdę energicznie bronili miasta neapolitańscy Żydzi. Wiedząc o religijnych kompleksach Justyniana nie spodziewali się niczego dobrego po zmianie rządów.

Padway dostał mdłości, gdy się o tym dowiedział. Ileż mógłby zrobić, gdyby mu tylko pozwolono. A teraz wystarczy głupi przypadek, żeby go usunąć z tego świata. Jedno ze zwykłych wojennych zdarzeń, takie, jakie przytrafiło się Archimedesowi. W tej epoce cywile, którzy stanęli na drodze wojaków, traktowani są zgodnie ze starym, bezlitosnym wojennym obyczajem, który i w jego własnych czasach stał się na powrót modny po krótkiej stu pięćdziesięcioletniej przerwie na względny humanitaryzm.

Fritharik zapowiedział przybycie grupy Gotów, którzy chcą obejrzeć dom Padwaya. Dodał grobowym tonem:

- Thiudegiskel jest z nimi. Wiesz, ten syn króla. Uważaj na niego, prześwietny szefie, może narobić kłopotu.

Sześciu młodzieńców wkroczyło do domu z mieczami u boku, co nie należało do szczytów uprzejmości nawet według tolerancyjnych kryteriów epoki. Thiudegiskel był przystojnym, jasnowłosym młodzieńcem. Odziedziczył po ojcu wysoki ton głosu.

Gapił się na Padwaya jak na okaz w zoologu i wreszcie powiedział:

- Chciałem zobaczyć, co tu masz, odkąd dowiedziałem się, że mamroczenie coś z moim starym o rękopisach. Ciekawski ze mnie typ. Aktywny umysł, rozumiesz. Po kiego diabła te głupie maszyny?

Padway pokazał mu prasy drukarskie.

- Rozumiem. To doprawdy prosta sprawa. Sam mogłem to wymyśleć. To dobre dla tych, którzy to lubią. Sam umiem pisać i czytać i wszystkie te głupoty. Lepiej niż większość ludzi. Naprawdę. Ale nigdy o to nie dbałem. Nudy. To nie dla takiego zdrowego chłopca jak ja.

- Bez wątpienia, bez wątpienia, panie - powtarzał nerwowo Padway. Mam nadzieję, że wściekłość, którą poczuł, nie odbiła się na jego twarzy.

- Słuchaj, Willimerze, pamiętasz, jaką uciechę mieliśmy z tego kupca ostatniej zimy? Był trochę podobny do Martinusa. Taki sam wielki nos.

Willimer ryknął śmiechem.

- Pewno, że pamiętam! Guths in himinam! Nigdy nie zapomnę, jak wyglądał, kiedy mu powiedzieliśmy, że ochrzczimy go w Tybrze z kamieniem u szyi, żeby anieli go nie wyciągnęli. Ale najśmieszniejsze było, kiedy jacyś żołnierze z garnizonu aresztowali nas za napaść.

Między jednym a drugim wybuchem rubasznego śmiechu Thiudakiskel wyrzucił z siebie:

- Żałuj, że cię tam nie było, Martinusie. Trzeba było widzieć wyraz twarzy starego Liuderisa, kiedy zobaczył, kim jesteśmy. Mówię ci. Zawsze żałowałem, że ominęła mnie scena chłostania żołnierzy, którzy nas schwytali. Co jak co, ale mam poczucie humoru w takich sprawach.

- Zechciałbyś zobaczyć coś jeszcze, panie? - zapytał Padway z kamienną twarzą.

- No, nie wiem... Ale, ale: po co ci te skrzynie?

- Właśnie nadeszło trochę surowca do naszych maszyn, mamy huk roboty - zełgał Padway.

Thiudegiskel uśmiechnął się dobrodusznie.

- Nie nabieraj mnie, wiem, o co chodzi. Chcesz się wymknąć z całym kramem z Rzymu, zanim nadejdzie Belizariusz, prawda? Co jak co, na takich sztuczkiach to ja potrafię się poznać... No, nie mówię, że cię za to potępiam, chociaż wygląda na to, że masz poufne wieści o wojnie. - Obejrzał nowy teleskop z brązu leżący na warsztacie. - O, jaki ciekawy prrządźnik. Wezmę go sobie, jeśli pozwolisz.

Tego było za wiele, nawet jak na przeogromną roztropność Padwaya.

- Nie, panie, przykro mi, ale potrzebne mi to do pracy.

Thiudegiskelowi oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Co? Chcesz powiedzieć, że mi tego nie dasz?

- Tak, panie, tak właśnie.

- No... hm... hm..., jeśli zajmujesz takie stanowisko, zapłacę ci.

- To nie na sprzedaż.

Thiudegiskelowi kark poczerwieniał ze wstydu i złości. Pięciu kompanów podeszło do niego z dłońmi spoczywającymi na rękojeściach mieczy.

Willimer odezwał się niskim głosem:

- Szlachetni panowie, jak sądzę, obraża się tu syna naszego króla.

Sięgnął po teleskop, który Thiudegiskel odłożył był już na miejsce. Martin był szybszy. Znacząco uderzał się tubusem po lewej dłoni. Wiedział, że jeśli nawet wyjdzie z opresji w jednym kawałku, będzie pluł sobie w brodę za ten akt brawury godzien zmacerowanego kretyzmem mózgu błędnego rycerza. W tej chwili był jednak zbyt rozwścieczony, by o to dbać.

Nieprzyjemną ciszę przerwało szuranie nóg za Padwayem. Goci oderwali od niego wzrok. W drzwiach stał Fritharik. Pas miał przesunięty, tak że pochwa z mieczem zwisała z przodu. Obok Nerva trzymał długi brązowy pręt. Za nimi tłoczyli się robotnicy, każdy z tępym narzędziem w dłoni.

- Wygląda na to, że ci ludzie nie mają wychowania - powiedział Thiudegiskel. - Powinniśmy dać im nauczkę, ale obiecałem staremu więcej się nie bić. Co jak co, ale zawsze dotrzymuję obietnic. Chodźcie, chłopaki. - Poszli sobie.

- Uff! - odetchnął Padway - dziękuję. Gdyby nie wy, dostałbym po kulasach.

- Nic takiego - odparł beztrząs Menandrus. Szkoda, że nie podjęli walki. Z przyjemnością porozwalałbym te ich grube czaszki.

- Ty? Ha! - prychnął Fritharik. - Szefie, jak tylko zacząłem zbierać ludzi, ten typ próbował nawiać przez tylne drzwi. Wiesz, dlaczego zmienił zamiar? Powiedziałem, że powieszę go na sznurze z jego własnych kiszek, jeśli nie zostanie. Innym zagroziłem, że poucinam im głowy i zatknę na sztachetach przed domem. Przez chwilę kontemlował nieprzebrane nieszczęścia i dodał: - Źle się stało, przeświecny Martinusie. Te draby są pamiętliwe. Mają wpływy, nie popuszczą. Wkrótce wszyscy skończymy w bezimiennych grobach.

Padway walczył jak lew o zafrachtowanie ruchomości na statek do Florencji. O ile pamiętał Prokopiusza, Florencja nie była oblegana ani plądrowana w wojnie gockiej Justyniana. Przynajmniej w pierwszej fazie konfliktu.

Nie zdążył spakować nawet połowy rzeczy, gdy przyszło ośmiu żołnierzy z nakazem aresztowania. Zdążył się już do tego przyzwyczaić, więc spokojnie wydał majstrowi i redaktorowi dyspozycje co do dalszych przygotowań do przeprowadzki, polecił zawiadomić Thomasusa o wydarzeniu i poszedł nie stawiając oporu.

Po drodze zaproponował Gotom drinka. Natychmiast się zgodzili. W winiarni dał dowódcy łapówkę za uwolnienie. Got wziął solida i schował go do kieszeni. Kiedy Padway, już myślami będąc w drodze do Florencji, zbierał się do odejścia, żołdak popatrzył na niego nieprzyjemnie zdziwiony.

- Ależ najdostojniejszy Martinusie! Nawet niech ci się to nie marzy! Nasz głównodowodzący, szlachetny Liuderis, to człowiek surowych zasad. Jeśli moi ludzie będą gadać, dowie się o wszystkim i na pewno mi dołoży! Oczywiście, potrafię docenić twój mały podarunek. Będę się starał powiedzieć komu trzeba kilka dobrych słów o tobie.

Padway nic nie powiedział, ale pomyślał, że dużo wody upłynie w Tybrze, zanim on powie kilka dobrych słów o tym oficerze.

Liuderis gładził swój siwy wąs.

- Przykro mi, Martinusie, że mnie oszukałeś. Nigdy nie myślałem, że uczciwy arianin posunie się do... hm... spiskowania z progreckimi Rzymianami, by pozwolić wyroić się tym fanatycznym ortodoksom w Italii.

- Kto tak twierdzi? - zapytał Padway bardziej zły niż przestraszony.

- Nie kto inny, jak... hm... szlachetny Thiudekiskel. Mówił, że kiedy cię odwiedził, nie dość, że obraziłeś go i naurągałeś, ale jeszcze chlubiłeś się powiązaniem z cesarskimi ludźmi. Potwierdzili to jego przyjaciele. Zeznali, że masz poufne wiadomości o planie wydania Rzymu i że zamierzasz wymknąć się z dobytkiem, żeby uniknąć kłopotów. Kiedy moi ludzie aresztowali cię, stwierdzili, że rzeczywiście byłeś w trakcie przeprowadzki.

- Drogi panie! - wycedził rozdrażniony Padway. - Myślisz, że jestem zupełnie pozbawiony mózgu? Gdybym spiskował, to czy sądzisz, że rozgłaszałbym o tym wszem i wobec?

Liuderis wzruszył ramionami.

- Nie wiem, wykonuję tylko swój obowiązek i zatrzymałem cię, by przesłuchać na okoliczność spisku. Zabierz go, Sigifriith.

Martin ukrył dreszcz, jaki przeszedł go na dźwięk słowa "przesłuchanie". Jeśli ten poczciwy dureń wbije sobie coś do głowy, będą niewielkie szanse, żeby go przekonać.

Na północnym krańcu Miasta, między Via Flaminia a Tybrem, Goci założyli obóz. Z dwóch stron otoczony był pospiesznie wzniesionym płotem, z pozostałych murem Aureliana. Padway zastał tam już dwóch patrycjuszy. Obaj podejrzani o przynależność do probizantyjskiego spisku. Wkrótce przyprowadzono następnych.

Obóz nie był majstersztykiem sztuki penitencjarnej, ale Goci starali się, jak mogli. Trzymali silną straż wzdłuż płotu i muru. Po drugiej stronie Tybru mieli nawet cały oddział na wypadek, gdyby więzień próbował przepłynąć rzekę.

Przez trzy dni Padway obijał się. Chodził po obozie w tę i z powrotem. Gdy zmęczyło go chodzenie, siadał; gdy zmęczyło go siedzenie, chodził. Prawie nie rozmawiał z innymi więźniami, a jeśli już to ogólnikowo i w ponurym nastroju.

Był durniem, a przynajmniej ciężko się pomylił sądząc, że przeprowadzi swoje zamierzenia tak łatwo, jakby mieszkał w Chicago. Żył teraz w surowym i miotanym konwulsjami świetle. Prędzej czy później, trzeba się było dostać w tryby wielkiej polityki. Nawet technokraci i

umundurowani bandyci nie raz żałośnie kończyli. Cóż dopiero on - apolityczny cywil i do tego zupełnie obcy.

W końcu, jakie miał szanse? Dopóki mógł, trzymał się z dala od polityki, a wpadł w koszmarnie tarapaty z powodu małej sprzeczki o brązowy teleskop. Wynik taki sam, jakby wlaźł w politykę po uszy. Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdzie, zajmie się nią poważnie. No, już on im pokaże!

Czwarty dzień pobytu w obozie nie rozproszył dręczącego go niepokoju o przesłuchanie. Strażnicy wydawali się czymś podnieceni. Starał się ich wypytać, ale odmawiali informacji. Z tego, co między sobą mamrotali, wychwycił słowo "folkMOTE".

Wielki wiec szykował się niedaleko Terraciny. Goci mieli rozważyć stratę Neapolu.

Padway wdał się w rozmowę z jednym z uwięzionych patrycjusz.

- Założmy się o solida, że zdetronizują Thiudahada i wybiorą na jego miejsce Wittigisa.

Patrycjusz, biedaczyna, przybił zakład.

Przyszedł Thomasus Syryjczyk.

- Nerva usiłował się z tobą zobaczyć, ale nie starczyło mu pieniędzy na łapówkę - wyjaśnił. - Jak cię traktują?

- Nieźle. Jedzenie jest nienajlepsze, ale za to dużo. Martwi mnie tylko to, że Liuderis może użyć drastycznych metod, żeby wyciągnąć ze mnie informacje o spisku, o który mnie podejrzewa.

- O to chodzi! Rzeczywiście zanoszą się na spisek. Myślę, że przez najbliższe dni będziesz miał spokój. Liuderis pojechał na wiec. Sprawy Gotów są w opłakanym stanie. - Przeszedł do interesów. - Ostatni pakunek wysłaliśmy dziś rano. Ebenezer Żyd wybiera się do Florencji za kilka tygodni. Przypilnuje, żeby majster nie uciekł z twoim majątkiem.

- Chciałeś powiedzieć: zobaczy, czy uciekł. Są jakieś wieści o wojnie?

- Żadnych, poza tym, że Neapol bardzo ucierpiał od Hunów Belizariusza. Ale myślę, że o tym już wiesz. Nie mów, że nie masz trochę profetycznych zdolności.

- Może i mam. Po czyjej stronie jesteś, Thomasusie?

- Ja? Hm... nie myślałem o tym za wiele, ale chyba trzymam z Gotami. Italczyki nie mają więcej żołnierskiego ducha niż stado królików, więc kraj nie może być naprawdę niepodległy. Jeśli już musi być rządzony przez obcych, to łatwiej przyjdzie nam wytrzymać z Gotami niż z cesarskimi poborcami podatków. Tylko moi ortodoksyjni przyjaciele, jak kuzyn Antiochus, mogą sądzić inaczej. Myśl o ariańskich heretykach pozbawia ich rozsądku.

Kiedy Thomasus miał już odchodzić, zapytał jeszcze:

- Przynieść ci coś? Nie wiem czy strażnicy pozwolą, ale...

Padway pomyślał.

- Tak, chciałbym przybory do malowania.

- Do malowania? Masz zamiar pobielić mur Aureliana?
- Nie, materiały do malowania obrazków. Rozumiesz?
- A, tak, obrazki. Jasne. Coś do zabicia czasu.

Padway zamierzał dostać się na szczyt muru i dobrze obejrzeć sobie obóz w poszukiwaniu dróg ucieczki. Toteż gdy Thomasus przyniósł mu malarski ekwipunek, zwrócił się do komendanta straży, gburowatego draba o imieniu Hrotheigs, z prośbą o pozwolenie. Hrotheigs popatrzył i powiedział jedno słowo: "ni!"

Padway ukrył irytację i odszedł na bok, żeby przemyśleć zadanie domowe pod tytułem: "Jak zdobyć przyjaciela?"

Większość dnia spędził na eksperymentach malarskich. Było to trochę żmudne zajęcie dla niewprawionej ręki. Któryś ze współwięźniów wyjaśnił, że trzeba pokryć deseczkę woskiem, pomalować akwarelą i podgrzać, żeby wosk wchłonął farbę. Czynność wymagała ostrożności; przegrzany wosk topił się i kolor niknął.

Padway nie był zawodowym artystą, ale jako archeolog musiał znać się trochę na rysowaniu i malowaniu. Następnego dnia poczuł się na tyle pewny swoich zdolności, że spytał Hrotheigsa, czy chce mieć portret.

Got po raz pierwszy wyglądał niemal na uprzejmego człowieka.

- Naprawdę mógłbyś mnie namalować? I dałbyś mi potem obrazek?
- Postaram się, znakomity wodzu. Nie wiem, czy mi się uda. Możesz wypaść jak Szatan z bólem brzucha.

- Co? Jak kto? A, rozumiem! Ha, ha, ha, ale z ciebie zabawny chłop.

Tak więc Padway namalował obraz. Wyszła podobizna czarnobrodego zbója; właściwie mógł to być i Hrotheigs. Got był zachwycony. Twierdził, że wypisz, wymaluj, tak wygląda. Teraz Martin bez przeszkód z jego strony mógł się wspiąć na mur pod pretekstem malowania krajobrazu. Dowódca straży polecił jedynie żołnierzowi, żeby miał oko na artystę.

Mówiąc, że szuka dogodnego miejsca do malowania, Padway przewędrował blanki wzdłuż obozu. Na północnym krańcu, gdzie mur skręcał na wschód, do bramy Flaminiusza, ziemia zapadła się nieco tworząc zakłębienie przy brzegu rzeki - sadzawkę pełną lilii wodnych.

Przemyślał właśnie tę obserwację, gdy jego uwagę przyciągnęło zamieszanie w obozie. Kilku strażników prowadziło opierającego się więźnia w bogatym gockim stroju. Padway rozpoznał Thiudegiskela, synalka króla. To było tak interesujące, że zszedł z muru.

- Hails. Cześć! - powitał go z przekąsem.

Thiudegiskel siedział w kucki, wyraźnie niepocieszony. Był nieco rozczochrany, twarz miał podrapaną. Patrzył przez szparki mocno zapuchniętych oczu. Rzymscy patrycjusze szczyrzyli do niego złośliwie zęby.

Popatrzył do góry.

- A, to ty. - Arogancja ulotniła się jak powietrze z przekłutego balonu.

- Nie sądziłem, że spotkam cię tutaj - powiedział Padway. - Wyglądasz, jakbyś ostatnio miał przykre przeżycia.

- Uff! - Thiudegiskel z trudem rozprostował obolałe stawy. - Dopadło mnie kilku z tych żołnierzy, którzy dostali bity za aresztowanie mnie. - Niespodziewanie uśmiechnął się szeroko, ukazując złamany ząb na przedzie. - Nie mówię, że mam do nich wielki żal. Co jak co, ale zawsze potrafię zrozumieć cudzy punkt widzenia.

- Za co cię wsadzili?

- Nie słyszałeś? Już nie jestem królewskim synem. Albo raczej mój stary nie jest już królem. Więc usunął go z tronu i wybrał tego bęcwała Wittigisa. A bęcwał kazał mnie zamknąć, żebym nie narobił mu kłopotów.

- No, no, co za nieszczęście.

Thiudegiskel znów uśmiechnął się z trudnością.

- Nie próbuj mi wmówić, że mnie żałujesz. Nie jestem taki głupi. Ale słuchaj, może powiesz mi, jakiego traktowania mogę się tu spodziewać, kogo można przekupić i tak dalej.

Padway dał młodzieńcowi kilka wskazówek jak ułożyć sobie stosunki ze strażnikami i zapytał:

- Gdzie jest teraz Tiudahad?

- Nie wiem. Mówili mi ostatnio, że pojechał do Tivoli, żeby uciec przed upałem. Ale przypuszczają, że wróci w tym tygodniu. Przeprowadza ostatnio jakieś badania literackie.

Własna wiedza historyczna i informacje, które dopiero co zebrał, dały Padwayowi obraz nadchodzących wydarzeń. Thiudahad dostał kopniaka. Nowy król stawia zdecydowany opór wrogowi. Wtedy sprawy potoczą się gorzej, niż gdyby Italia w ogóle pozostała bez obrony. Nie pokona cesarskich, bo brak mu zdolności. Zacznie kampanię od fatalnego błędu: odmaszeruje od Rawenny pozostawiając w Rzymie niewielki garnizon.

Cesarscy ze swoimi szczupłymi siłami dadzą mu radę dopiero po latach niszczących działań. Z punktu widzenia Padwaya wszystko byłoby lepsze od długotrwałej wojny. Zwycięstwo cesarskich okaże się efemeryczne. Trudno winić o to Justyniana: musiałby dysponować nadludzkimi zdolnościami, żeby przewidzieć to wszystko. A Padway wiedział. Powinien zatem działać.

Nie miał uprzedzeń ani w stosunku do władzy Gotów, ani do cesarza. Żadna ze stron nie dysponowała strukturą polityczną, do której czułby szczególny entuzjazm. Liberalny kapitalizm i socjaldemokracja miały dobre strony, ale nie widział najmniejszej szansy na wprowadzenie obu systemów w szóstym wieku naszej ery.

Goci byli leniwi i ciemni, a Grecy chciwi i skorumpowani. Lepszych kandydatów do władzy nie było jednak na podorędziu. Zdawał sobie sprawę z tego, że współcześni Rzymianie to łagodny ludek, którego nie stać na wywalczenie samodzielności.

Ogólnie rzecz biorąc, gockie rządy nie były takie złe. Goci wymusili tolerancję na ludziach, dla których swobody religijne oznaczały wolność wieszania, topienia i palenia członków sekt innych niż ich własna. Poza tym Goci uważali półwysep za wygodny dom, o który trzeba dbać.

Tak życzliwego stanowiska trudno by się spodziewać po dzikim władcy merowińskim albo nienasyconym łapówkarzu Janie z Kapadocji - generalnym kwatermistrzowi Justyniana.

Zalóżmy zatem, że będzie działał na rzecz szybkiego zwycięstwa Gotów. Jak wesprzeć ich rządy? Nie posłużyłoby mu, gdyby zachęcał Gotów do pozbycia się Wittigisa. Jeśli jednak król, ktokolwiek nim będzie, byłby skłonny słuchać rad Padwaya, coś by się może działo. Starym Thiudahadem, choć bezwartościowym, można jednak powodować.

W umyśle archeologa narodził się plan. Żałował, że nie kazał Thomasusowi przyjść szybciej. Aby tylko powstrzymać ciemności...

Kiedy pojawił się Thomasus, Padway powiedział mu: - Potrzebuję paru funtów siarki wymieszanej z oliwą na papkę i kilku świec. Poza tym czterdziestu stóp liny takiej, żeby wytrzymała ciężar człowieka. To ta lubieżna Julia naprowadziła mnie na ten pomysł. Pamiętasz, co wyczyniała, gdy dezynfekowałem dom?

- Posłuchaj, Martinusie: teraz jesteś zupełnie bezpieczny. Dlaczego więc tu nie zostaniesz, zamiast planować jakąś szaleńczą ucieczkę?

- Mam powody. Z tego, co słyszałem, więc rozejdzie się dziś albo jutro. Muszę się wydostać przed jego zakończeniem.

- Słuchajcie go! Tylko go słuchajcie! Oto ja, najlepszy przyjaciel, jakiego ma w Rzymie, daję mu radę. Czy choć zwróci na nią uwagę? Nie! Chce koniecznie wyrwać się stąd i robi wszystko, żeby dostać strzałę w lędźwie, a potem, oczywiście, wmiesza się w gocką politykę. Czy kto to słyszał? Martinusie, chyba nie wpadłeś na jakiś szaleńczy pomysł, żeby dać się wybrać królem? Trzeba być...

- Wiem. - Padway uśmiechnął się szeroko. Trzeba być Gotem ze szlchetnego rodu Amalingów. Dlatego tak mi spieszo wydostać się stąd. Chyba chcesz uratować moje interesy i odzyskać pożyczkę?

- Ale jak, do diabła, mam to przeszmyglować? Strażnicy sprawdzają bardzo dokładnie.

- Pastę siarkową przynieś w pojemniku na dnie kosza z jedzeniem. Jeśli otworzą, powiedz, że lekarz mi to przepisał. Jakby co, uprzedź Vekkosa, żeby to potwierdził. A co do liny... pomyślmy... Wiem, idź do krawca i każ zrobić sobie zielony płaszcz, taki jak mój. Niech przyfastryguje lekko linę w obrętku, tak żeby można ją szybko wypruć. Potem, gdy wejdiesz, położysz płaszcz koło mojego i weźmiesz mój wychodząc.

- Martinusie, to szaleńczy plan. Na pewno dam się złapać i co się stanie z rodziną? Nie, lepiej zrób, jak ci mówiłem. Nie mogę ryzykować przyszłości niewinnych ludzi. To kiedy mam przyjść z liną i resztą tego kramu?

W jasnym blasku porannego słońca Padway siedział na murze Aureliana. Udawał, że jest niezwykle zainteresowany mauzoleum Hadriana po drugiej stronie rzeki. Strażnik przydzielony do niego, niejaki Aiulf, zaglądał mu przez ramię. Padway doceniał zainteresowanie Aiulfa, ale życzyłby sobie, żeby broda Gota była krótsza i mniej szczeciniasta. Trudno było dobrać kolor z tą miotłą jeżdżącą po barku i przodzie koszuli.

- Zobacz - powiedział łamanym gockim - podnoszę pędzel i przymierzam do rzeczy, którą maluję. Odmierzam wysokość i długość kciukiem na trzonku. Tak utrzymuję odpowiednie proporcje.

- Widzę - odrzekł Aiulf równie łamaną łaciną. W ten sposób obaj mieli praktykę językową. - Ale co będzie, jeśli zechcesz namalować mały obrazek - jak to powiedzieć - z dużą ilością rzeczy? Miary na pędzlu będą za duże, prawda? - Aiulf, jak na strażnika obozowego, wcale nie był głupi.

Uwaga Padwaya była teraz skierowana na coś zupełnie innego niż mauzoleum. Ukradkiem obserwował straż i mały stosik swoich rzeczy. Zainteresowanie Padwaya było szczególnego rodzaju. Czekał, kiedy płomień świecy ukrytej w koszyku na żywność dojdzie do masy siarczanej. Machina piekielna została nastawiona. Nie mógł się powstrzymać od rzucania nerwowych spojrzeń na straż po drugiej stronie rzeki i na pokrytą liliami sadzawkę.

Aiulf zmęczył się patrzeniem i odszedł kilka kroków. Usiadł na stołku, wyjął podobny do fletu instrument i zaczął wydawać nikłe, jęczące dźwięki. Przypominało to lament pokutującej duszy uwięzionej w rynnie. Padwayowi aż cierpła skóra, ale cenił dobrą wolę Aiulfa i nie protestował.

Malował i malował, a urządzenie nadal nie dawało znaku życia. Świeca musiała zgasnąć; inaczej płomień dotarłby już do siarki. Albo pasta się nie zapaliła. Wkrótce będzie posiłek. Jeśli go zawołają i odpowie, że nie jest głodny, ściągnie na siebie podejrzenia.

Aiulf nagle przestał zawodzić.

- Co z twoim uchem, Martinusie? Ciągle je pocierasz.

- To tylko swędzenie. - Nie powiedział, że to objaw zdenerwowania. Malował dalej. Pomyślał, że jedynym rezultatem całej tej imprezy będzie najgorszy obraz mauzoleum, jaki kiedykolwiek sporządził artysta amator.

Kiedy już stracił nadzieję, nerwy się uspokoiły. Siarka nie zapaliła się i tyle. Spróbuje jutro od nowa.

W obozie na dole zakaszła jakiś więzień; potem następny. Wkrótce kaszleli wszyscy. Urywki zdań docierały na górę:

- Co, do diabła... Na pewno garbarnia... Niemożliwe, są dwie albo trzy mile stąd... To siarka, na wszystkich świętych... Może diabeł złożył nam wizytę...

Ludzie biegali w kółko. Kaszel narastał. Straż wpadła do obozu. Ktoś umiejscowił źródło dymu i kopnął koszyk. Dziedziniec natychmiast pokrył się żółtą substancją, po której pełgały niebieskie płomyki. Rozległy się zduszone krzyki. Cienka błękitna wstążka dymu rozpływała się w nieruchomym powietrzu. Strażnicy na murze, nie wyłączając Aiulfa, rzucili się do drabin.

Padway tak dokładnie obmyślił przebieg akcji, że działał teraz prawie machinalnie. Miał za sobą dwa kubki roztopionego nad płomieniem z koksownika wosku - już zabarwionego. Zanurzył rękę w parzącą ciecz i wysmarował sobie twarz i brodę zielonym woskiem. Stwardniał niemal natychmiast. Palcami zanurzonymi w drugim kubku namazał sobie jeszcze trzy wielkie żółte koła.

Potem, niby przechadzając się, podszedł do załomu muru, ukucnął, by zejść z pola widzenia straży obozowej, wypruł linę z płaszcza i zadzierzgnął pętlę na występie muru. Rzut oka na drugą stronę rzeki upewnił go, że żołnierze tam stacjonujący niczego nie zauważyli, chociaż musieli usłyszeć zamieszanie w obozie, o ile słuchali. Padway opuszczał się powoli po północnej stronie muru. Rozkołysał i zrzucił linę po zejściu. Gdy to robił, promień słońca rozbłysnął mu na przegubie. Zaklął po cichu. Zniszczył zegarek zanurzając się w wodzie. Powinien był oddać go Thomasusowi. Zauważył obluzowany kamień w murze. Wyjął go, owinął chronometr w chusteczkę, włożył w dziurę i zakrył. Czynność zajęła tylko kilka sekund, ale wiedział, że to skrajna głupota ryzykować teraz stratę czasu. Należał jednak do ludzi, którzy po prostu nie potraciliby rozmyślnie popsuć zegarka.

Zbiegł ze zbocza do stawu. Nie rzucił się, ale ostrożnie poszukał miejsca głębokiego na kilka stóp. Usiadł w ciemnej wodzie, jakby brał nasiadówkę. Potem położył się na plecach między liliami, tak że tylko nos i oczy mu wystawały. Zbierał rośliny wokół siebie, dopóki nie przykryły go całkowicie. Reszta zależała od kamuflażu. Leżał słuchając bicia własnego serca i odgłosów zza muru.

Nie musiał długo czekać. Rozległy się krzyki, gwizdy, łomot wielkich gockich buciorów na szczycie umocnień. Strażnicy machali do żołnierzy za rzeką. Padway nie śmiał się odwrócić, żeby popatrzeć, ale mógł sobie wyobrazić łodzie płynące przez wodę.

- Ailóe! Zbieg chyba rozpląnął się w powietrzu...

- Gdzieś musiał się schować, ty dumnie! Szukać, szukać! Wyprowadzić konie!

Padway leżał bez ruchu, gdy strażnicy przeszukiwali podstawę muru. Wtykali miecze w krzaki w sam raz duże, żeby ukryć jaszczurkę. Leżał bez ruchu, gdy mała rybka doprowadzała go do szalu, badając lewe ucho. Leżał bez ruchu, z przymkniętymi oczami, gdy kilku Gotów chodziło wokół stawu i gapiło się wytrwale w wodę, zaledwie trzydzieści stóp od niego. Leżał bez ruchu, gdy konny przejechał przez staw, piętnaście stóp obok. Leżał bez ruchu całe popołudnie, podczas gdy odgłosy poszukiwań i pościgu rosły i malały, aż wreszcie ucichły całkowicie.

Nevitta, syn Gudmunda, był zrozumiale zaskoczony, gdy jakaś postać wychynęła z krzaków otaczających drogę do domu i zawołała go po imieniu. Właśnie wjeżdżał do zagrody. Hermann, jak zwykle w pobliżu pana, wyciągnął miecz do połowy, nim Padway dał się rozpoznać.

Zaczął wyjaśniać:

- Dotarłem tu kilka godzin temu, chciałem pożyczyć konia. Twój ludzie powiedzieli, że pojechałeś na wiec, ale pewnie wrócisz wieczorem. Tak więc czekałem. - Opowiedział pokrótce o uwięzieniu i ucieczce. Got ryknął śmiechem.

- Ha, ha! Mówisz, ha, ha, że leżałeś cały dzień w stawie, tuż pod nosem strażników, z twarzą pomalowaną w kwiatki? Ha, ha! Chryste, to najlepsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. - Zsiadł z konia. - Chodź do domu i opowiedz więcej o tym. Uff, rzeczywiście cuchniesz jak żaba ze stawu, stary p r z y j a c i e l u !

Dodał już poważniejszym tonem:

- Chcę ci wierzyć, Martinusie. Wszyscy mówią, że jesteś całkiem rozsądnym młodzieńcem mimo tych twoich dziwnych cudzoziemskich sposobów. Ale skąd mam wiedzieć, czy Liuderis nie postąpił słusznie? W tobie jest coś dziwnego. Ludzie mówią, że umiesz przepowiadać przyszłość, ale ukrywasz to. A niektóre z twoich machin czuć odrobinę magią.

- Powiem ci - zaczął ostrożnie Padway. - Rzeczywiście trochę widzę przyszłość. Nie potępiaj mnie, po prostu mam taką moc. Szatan nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o to, że czasem widzę, co się stanie, jeśli ludzie będą robić to, co zamierzeli. Jeśli użyję swojej wiedzy i wmieszam się w sprawę, przyszłość zmienia się i moje wizje tracą ważność.

Teraz wiem, że Wittigis przegra wojnę. I zrobi to w najgorszy z możliwych sposobów - po latach wojny, która kompletnie spustoszy Italię. To nie jego wina. On jest po prostu taki, a nie inny. Ostatnią rzeczą, jaką chciałbym zobaczyć, to ruina tego kraju. To zepsułoby większość moich

planów. Zatem proponuję: wmieszajmy się i zmieńmy naturalny tok wydarzeń. Rezultaty mogą być tylko lepsze - gorszych już być nie może.

Nevitta zmarszczył czoło:

- Szybko zamierzasz nas, Gotów, pokonać. Nie sądzę, żebym mógł się zgodzić na taki...
- Nie, ja chcę dla was wygrać tę wojnę. Oczywiście jeśli zdołam.

Jeśli Padway dobrze pamiętał, a historia Prokopiusza była prawdziwa, to Thiudahad powinien przemierzyć Via Flaminia w ciągu najbliższej doby w panicznej ucieczce do Rawenny. Po drodze Martin pytał ludzi, czy były król nie przejeżdżał. Nikt go jednak nie widział.

Nie śmiał pojechać dalej na północ niż do przedmieść Narni. Via Flaminia rozwidła się tutaj. Nie wiedział, którą drogę wybierze Thiudahad, więc zarządził odpoczynek. Razem z Hermannem usiedli na poboczu i przyglądali się, jak konie skubią trawę. Patrzył złym okiem na swego towarzysza. Hermann zatankował w Oriculum za dużo piwa.

Na pytania Padwaya i polecenia obserwowania na zmianę drogi tylko uśmiechnął się idiotycznie i powiedział "ja", "ja"! W końcu usnął w połowie zdania i żadne potrząsanie nie było w stanie postawić go na nogi.

Martin spacerował w cieniu, słuchając chrapania Hermanna. Usiłował myśleć. Nie spał od przedwczoraj, a ten wąsaty kocmołuch korzystał z wygod, których Padway cholernie potrzebował. Mógł wykroić kilka godzin u Nevitty, ale gdyby już raz zasnął, trzeba by trzęsienia ziemi, żeby go obudzić. Żołądek miał podrażniony, brakowało mu apetytu. W tym cholernym szóstym wieku nie mieli nawet kawy, żeby postawić go na nogi.

A jeśli Thiudahad się nie ukaze? Albo pojedzie okreśną drogą? Albo już przejeżdżał? Raz za razem spręzał się, gdy na drodze pokazywał się obłok kurzu, by stwierdzić, że to rolnik na wozie zaprzężonym w woły albo kupiec człapiący na mule, albo półnagi chłopak pędzący kozy.

Czy wpływ przybysza z odległej epoki mógł zmienić postępowanie Thiudahada do tego stopnia, że bieg wydarzeń będzie inny, niż powinien być? Wyobrażał sobie swoją ingerencję jako rozchodzące się po stawie fale. Przez sam fakt poznania go życie ludzi takich jak Thomasus i Fritharik uległo radykalnej zmianie w stosunku do tego, co by się stało, gdyby nie pojawił się w Rzymie.

Ale Thiudahad widział go tylko dwa razy i nic szczególnie ważnego wtedy nie zaszło. Trajektoria króla w czasie i przestrzeni mogła się zmienić, ale tylko troszeczkę. Na innych przywódców Gotów, takich jak Wittigis, w ogóle nie wpłynął. Niektórzy może czytali jego gazetę, ale tylko nieliczni czytali cokolwiek, a wielu było po prostu analfabetami.

Tancredi miał rację mówiąc, że to zupełnie nowa gałąź drzewa czasu, jak to wtedy nazwał. To co Padway do tej pory zrobił, było tylko częścią jego dalszych zamierzeń, nie mogło aż tak bardzo zmienić historii. Nie rozplynał się przecież w powietrzu, tak jak powinien, gdyby to były te same dzieje, które stworzyły go A.D. 1908.

Zerknął na przegub i przypomniał sobie, że ukrył zegarek w murze Aureliana. Miał nadzieję odzyskać go pewnego dnia i to w stanie nadającym się do użytku.

Ten nowy obłoczek kurzu w oddali to pewnie jakiś tłusty mieszczuch z Narni. Spieszy się, kimkolwiek jest. Ucho Padwaya uchwyciło dyszenie zajeżdżonego wierzchowca, potem rozpoznał Thiudahada.

- Hermann! - wrzasnął.

- Chrrr... - chrapnięcie w odpowiedzi. Padway podbiegł i szturchnął Gota butem. I znowu - Chrrr... Meine luibs - chrum, chrum. Chrum.

Eks-król za chwilę będzie przy nich. Padway zrezygnował z budzenia. Wwindował się na konia i wjechał na drogę z ramieniem podniesionym do góry.

- Hai! Thiudahadzie, panie mój!

Thiudahad jednocześnie dał koniowi ostrogę i ściągnął wodze, wyraźnie nie zdecydowany: zatrzymać się, minąć Padwaya czy zawrócić. Podrażnione zwierzę pochyliło łeb i wierzgnęło. Przez sekundę widać było krajobraz między siodłem a Thiudahadem; potem eks-król opadł z grzmiotnięciem i kurczowo przycisnął się do grzbietu rumaka. Twarz miał białą z przerażenia i brązową od kurzu.

Padway nachylił się i zebrał wodze.

- Uspokój się, panie.

- Kto... kto... co... Och, to wydawca. Jak masz na imię? Nie mów, już pamiętam. Dlaczego mnie zatrzymujesz? Muszę dostać się do Rawenny... Do Rawenny.

- Uspokój się. Nigdy nie dojedziesz żywy do Rawenny.

- Co masz na myśli? Ty też chcesz mnie zamordować?

- Wcale nie, ale jak słyszałeś, mam taką małą umiejętność widzenia przyszłości.

- Ach, to! Tak, słyszałem. Jaka... jaka będzie moja przyszłość? Nie mów, że mnie zabiją! Proszę, nie mów mi tego, prześwietny Martinusie. Nie chcę umierać. Jeśli tylko pozwolą mi żyć, nigdy w życiu nie zrobię nikomu kłopotu. Nigdy! - mamrotał w przerażeniu siwobrody człowieczek.

- Jeśli uspokoisz się na kilka minut, powiem ci, co widzę. Czy pamiętasz, jak wymanewrowałeś szlachetnego Gota z małżeństwa z przyrzeczoną mu piękną dziedziczką?

- O, mój Boże! To pewnie Optaris, syn Winithara? I nie mów tak, prześwietny Martinusie. Ja po prostu... hm... użyłem swoich wpływów na korzyść lepszego człowieka, ale o co ci chodzi?

- Wittigis polecił Optarisowi złapać cię i zabić. Jedzie za tobą dzień i noc. Jeśli będziesz dalej zmierzał do Rawenny, złapie cię i poderżnie ci gardło - o, tak - zyg, zyg! - Padway podniósł jedną ręką brodę i palcem przeciągnął sobie po grdyce.

Thiudahad zakrył twarz rękami.

- Co robić, co robić? Gdybym dotarł do Rawenny. Mam tam przyjaciół...

- Tak myślisz. Ja wiem lepiej.

- Czy nie ma na to sposobu? To znaczy, czy Optaris jest moim przeznaczeniem? Bez względu na to, co zrobię? Nie można by się ukryć?

- Być może. Ale moja przepowiednia sprawdzi się, o ile spróbujesz wykonać swój pierwotny zamiar.

- A zatem ukryjmy się.

- W porządku, niech tylko obudzę tego draba. Padway wskazał na Hermana.

- Dlaczego mamy czekać na niego? Można go po prostu zostawić.

- Pracuje dla mojego przyjaciela. Miał się mną opiekować, ale jak widać, role się zmieniły.

Zsiedli z koni i Padway podjął na nowo próbę postawienia Hermanna na nogi. Thiudahad usiadł na trawie i zajęczał.

- Co za niewdzięczność! A byłem takim dobrym królem...

- Oczywiście - przytaknął cierpko Padway. - Nie licząc złamania przysięgi złożonej Amalasiunie, że nie będzie się wtrącał do polityki. Potem kazałeś ją zamordować...

- Nie rozumiesz, prześwietny Martinusie. Zamordowała naszego najszlachetniejszego patriotę, hrabiego Tuluma.

- i wtrącanie się do ostatnich wyborów papieża, próba sprzedania Justynianowi Italii w zamian za posiadłość pod Konstantynopolem i dożywotnią rentę...

- Co?! Skąd o tym wiesz... to kłamstwo!

- Wiem jeszcze więcej. Kontynuujemy: zaniechanie obrony Italii, odmówienie pomocy Neapolowi...

- O, Boże! Mówię ci, że nic nie rozumiesz. Nienawidzę całej tej wojaczki. Przyznaję, nie jestem żołnierzem, jestem uczonym. Zostawiłem to moim generałom. To chyba rozsądne?

- Jak dowiodły fakty - nie.

- O, Boże! Nikt mnie nie rozumie - wyjęczał Thiudahad. - Powiem ci, Martinusie, dlaczego nic nie uczyniłem, by obronić Neapol. Wiedziałem, że to niepotrzebne. Poszedłem do jednego żydowskiego czarownika, Jehoniasza z Neapolu. Cieszy się wielkim poważaniem za prawdziwość swoich prorocत्व. Wziął trzydzieści wieprzy i wpędził po dziesięć do trzech zagród z napisami: "Goci", "Italczycy", "Cesarscy". Głodził je przez kilka tygodni. Wszyscy "Goci" zdechli, "Italczycy" tylko niektórzy, a reszta straciła szczecinę, natomiast "Cesarscy" mieli się świetnie. Więc wiedziałem, że przeznaczeniem Gotów jest klęska. Dlaczego miałem poświęcać bez potrzeby życie odważnych ludzi?

- Baniałuki. Prorokuję lepiej, niż kiedykolwiek zdarzyło się temu tłustemu oszustowi. Popytaj moich przyjaciół. Ale prorocstwo dotąd działa, dopóki wykonujesz swoje zamierzenia. Jeśli chcesz żyć, rób co ci mówię. I to bez uwag.

- Co? Posłuchaj, Martinusie, jeśli nawet nie jestem już królem, to jestem szlachetnie urodzonym i nie wolno mi rozkazywać.

- Rób zatem, co chcesz. - Padway podniósł się i podszedł do konia. - Odjeżdżam. Jak spotkam Optarisa, powiem mu, gdzie ma cię szukać.

- Au! Nie rób tego! Zrobię, co mi każesz. Zrobię, co zechcesz, tylko nie pozwól temu okropnikowi dopaść mnie.

- W porządku. Jeśli będziesz posłuszny, może nawet zwrócę ci królestwo. Tym razem czysto tytułarnie, jasne?

Martin zauważył chytry błysk w oku Thiudahada; potem król skierował wzrok na drogę.

- Nadjeżdża! To morderca, Optaris! - pisnął były władca.

Padway odwrócił się. Rzeczywiście, krzepki Got pędził jak do pożaru.

Ładne rzeczy, pomyślał; stracił tyle czasu na gadanie, że prześladowca zdołał ich dopaść. Miało zostać jeszcze parę godzin, ale ten człowiek już tu był. Co robić, co robić?

Nie miał broni, nie licząc noża, który bardziej nadawał się do kielbasy niż ludzkich gardeł. Thiudahad też nie nosił miecza. Dla Padwaya, wychowanego w świecie karabinów maszynowych, miecz wydawał się śmieszną bronią przeszkadzającą w chodzeniu. Nigdy nie nabrał zwyczaju przypasywania tego rożna. Zrozumiał jednak swój błąd, gdy zobaczył błysk klingi.

Got pochylił się i skierował konia w ich stronę. Thiudahad stał jak wrośnięty, trzęsąc się gwałtownie. Wydawał miauczące okrzyki przerażenia. Zwilżył suche wargi i zaczął piszczeć:

- Armaio! Litości!

Optaris uśmiechnął się i podniósł prawą rękę.

W ostatniej chwili Padway skoczył i odepchnął eks-króla. Optaris wściekle ściągnął wodze. Zwierzę hamując wyrzuciło kopytami chmurę kurzu. Thiudahad zerwał się i uciekł między drzewa w poszukiwaniu schronienia. Wyjąc z wściekłości Optaris zeskoczył na ziemię i pobiegł za nim. Martin gorączkowo rozmyślał nad sposobem pokonania wroga. Nachylił się nad Hermannem, który zaczynał przytomnieć, i wyrwał mu miecz z pochwy. Rzucił się, by odciągnąć Optarisa. Nie było potrzeby. Optaris spostrzegł go i ruszył w jego stronę, wyraźnie chcąc z nim skończyć, zanim ten zdoła zająć go od tyłu.

Teraz Padway wymyślał sobie od ostatnich idiotów. Miał niewielkie i do tego czysto teoretyczne wiadomości o szermierce. Brakowało mu zupełnie doświadczenia. Niewprawna dłoń

pociła mu się od ciężkiego i niewygodnego gockiego miecza. Widział białka oczu Optarisa, gdy ten w biegu przymierzał się do ciosu na odlew.

Martin instynktownie odparował. Ostrze odbiło się ze szczękiem i pożyczony miecz odfrunął w krzaki. Szybki jak błyskawica Optaris uderzył jeszcze raz, ale niewydarzony szermierz okazał się świetnym sprinterem. Pobiegł po swój miecz, podniósł go i biegł dalej. Optaris, ciężko dysząc, pędził za nim. W szkole Padway był drugoligową gwiazdą w biegach na krótkich dystansach, jeśli zmęczy Optarisa, może szanse trochę się wyrównają, nawet gdyby w końcu... bach! Potknął się o korzeń i rymnął jak długi.

Jakoś zdołał przekoziółkować i stanąć na nogi, zanim Optaris nadbiegł. Znalazł się między prześladowcą a dwoma dużymi dębami. Rosły za blisko siebie, żeby móc się między nimi prześlizgnąć. Pozostało mu podjąć walkę. Got rzucił się z mieczem uniesionym ponad głowę; Padway zadał desperackie pchnięcie w odsłoniętą pierś przeciwnika, chcąc go raczej powstrzymać niż ranić.

Optaris był dobrym wojownikiem, ale szermierka jego epoki nie przewidywała pchnięć. Nikt nawet nie wypracował prostego bloku. Nic dziwnego, że usiłując dosięgnąć przeciwnika rzucił się prosto na ostrze Padwaya. Jego własny miecz uwiązał w jednym z dębów. Got westchnął, próbował złapać oddech. Grube nogi ugięły się pod nim. Upadł, wyciągając klingę z ciała. Palcami drapał ziemię, krew rzuciła mu się z ust.

Kiedy nadszedł Thiudahad z Hermannem, Padway wymiotował oparty o drzewo. Ledwo słyszał ich gratulacje.

Reakcją na pierwsze w życiu zabójstwo było połączenie moralnej odrazy i zwierzęcego podniecenia. Miał za wiele zdrowego rozsądku, by potępiać się za ten uczynek, ale nie był też bezmyślnym awanturnikiem. Zabijanie to nie zabawa. Dla uratowania podłego karku Thiudahada uśmiercił wartościowego człowieka, który miał słuszny żal do byłego władcy i nigdy nie skrzywdził Padwaya. Gdyby mógł tylko porozmawiać z Optaristem albo zranić go lekko... gdyby... Ale ten człowiek nadawał się już tylko na klienta zakładu Jana Egipcjanina. Teraz żywi stanowili problem.

Zwrócił się do Thiudahada:

- Lepiej będzie, jak cię przebierzemy. Jeśli cię rozpoznają, Wittigis wyśle znowu któregoś z twoich wątpliwych przyjaciół na poszukiwanie. Lepiej zgól brodę. Bardzo niedobrze, że masz już krótko obcięte włosy w rzymskim stylu.

- Może uciąć mu nos, wtedy nikt go nie rozpozna - wtrącił Hermann.

- Och! - krzyknął Thiudahad chwytając wskazaną część twarzy. - Och! Boże! Nie zechcesz, doprawdy, zesześcić mnie tak okrutnie, najświetniejszy, najszlachetniejszy Martinusie.

- Nie, jeśli będziesz właściwie się zachowywał, panie. Ale twoje ubranie zbytnio rzuca się w oczy. Hermann, czy mogę cię prosić, żebyś poszedł do Narni i kupił odświętne ubranie italskiego chłopca?

- Ja, ja, ty daj mi silubr. Idę.

- Jak? - pisnął Thiudahad. - Nie pozwolę przebrać się w tak absurdalny strój. Książę z rodu Amalingów ma swoją godność...

Padway popatrzył na niego spod zmrużonych powiek i spróbował ostrze miecza Hermanna.

- Zatem - powiedział jedwabistym głosem - wolisz stracić nos, mój panie? Myślę, że nie. Daj Hermannowi parę solidów. Zrobimy z ciebie bogatego wieśniaka. Jak z twoim dialektem umbryjskim?

Liuderis, syn Oskara, komendant garnizonu miasta Rzymu, patrzył ponuro przez okno swego urzędu na szare wrześnie niebo. Świat za często przewracał się do góry nogami dla tej prostej, wiernej duszy. Najpierw usunięto Thiudahada i Wittigisa wybrano królem. Potem Wittigis w jakiś tajemniczy sposób przekonał siebie i innych gockich wodzów, że jedyny sposób na Belizariusza to wymarsz do Rawenny i pozostawienie w Rzymie maleńkiego garnizonu. Teraz okazuje się, że obywatele zaczynają być niezadowoleni; gorzej, żołnierze boją się bronić miasta przed Grekami; jeszcze gorzej, papież Sylweryusz bezczelnie łamie przysięgę złożoną Wittigisowi, pod pretekstem, że król jest heretykiem i układa się z Belizariuszem w sprawie pokojowego wydania miasta.

Ale wszystko to nic w porównaniu ze wstrząsem, jaki przeżył, kiedy okazało się, że dwaj goście zapowiedziani przez ordynansa to nie kto inny jak Martin Padway i były król Thiudahad. Rozpoznał go natychmiast, mimo że był gładko ogolony. Komendant usiadł i kręcił węża.

- To wy! To wy! - wykrztusił wreszcie.

- Tak, to my - oświadczył łagodnie Padway. Mam nadzieję, że znasz Thiudahada, króla Ostrogotów i Italczyków. Mnie też znasz. Przy okazji, jestem nowym kwestorem króla. - To znaczyło, że jest czymś pomiędzy sekretarzem, doradcą prawnym a murzynem od mów tronowych.

- Ale... ale mamy przecież innego króla! Zdaje się, że wyznaczono ceny na wasze głowy, czy coś w tym stylu.

- A, o to chodzi. - Padway lekceważąco machnął ręką. - Rada królewska działała nieco pochopnie, co mamy zamiar wykazać w odpowiednim czasie. Teraz wyjaśnimy...

- Ale gdzie się podziewaliście? Jak uciekłeś z mojego obozu? Co teraz robisz?

- Nie wszystko na raz, jeśli łaska, prześwietny Liuderisie. Po pierwsze: byliśmy we Florencji, by zebrać trochę posiłków na wyprawę, po drugie...

- Jaką wyprawę?

- ... po drugie: znam sposoby uciekania z obozów, niedostępne dla zwykłych ludzi. Po trzecie: jesteśmy tu teraz, żeby poprowadzić twoje wojsko na Greków i zniszczyć ich.

- Obaj oszaleliście! Powinienem was zamknąć, zanim...

- Chwileczkę, poczekaj, dopóki nas nie wysłuchasz. Wiesz, że mój... hm... dar widzenia przyszłości oddziałuje na poczynania ludzi?

- Hm, różne rzeczy słyszałem. Ale jeśli sądzisz, że odciągniesz mnie od obowiązków jakimis fantastycznymi historyjkami...

- Właśnie tak, mój panie. Król opowie ci, jak przepowiedziałem nie udany zamach Optarisa na jego życie i jak użyłem swej wiedzy, by pokrzyżować ten zbrodniczy zamiar. Jeśli nalegasz, mogę przedstawić następne dowody.

Na przykład, mogę ci powiedzieć, że nie otrzymasz pomocy z Rawenny, że Belizariusz nadejdzie w listopadzie drogą łatyńską, że papież nakłoni twój garnizon do wymarszu przed nadejściem wroga, a ty zostaniesz na posterunku, będziesz schwytyany i wysłany do Konstantynopola.

Liuderis gapił się z otwartymi ustami.

- Zawarłeś pakt z szatanem? Albo może jesteś diabłem we własnej osobie? Żywej duszy nie mówiłem o mojej decyzji pozostania, jeśli garnizon odejdzie, a ty jednak to wiesz.

Padway uśmiechnął się.

- Nie jest tak dobrze, prześwietny Liuderisie. Stoi przed tobą człowiek z krwi i kości, który przypadkiem posiadał rzadki dar. Dodam, że Wittigis w końcu przegra wojnę po latach niszczycielskich zmagani. Wszystko to się stanie, o ile nie zmienisz zamiarów.

Ta rozmowa trwała jeszcze godzinę, zanim Liuderis zapytał:

- No dobrze, a jakie operacje planujesz przeciw Grekom?

- Wiemy, że nadejdą drogą łatyńską, więc nie ma potrzeby obsadzać Terraciny. Wiemy też, kiedy nadejdą. Ilu ludzi możesz zebrać, wliczając w to garnizon terracyński?

Liuderis przyglądał węża i pomyślał.

- Jeśli wezmę ludzi z Formii - sześć, może siedem tysięcy. Pół na pół łuczników i lansjerów. Tak to wygląda, jeśli założyć, że Wittigis nie usłyszy i nie wtrąci się. Ale nowiny rozchodzą się powoli.

- Jeśli dowiodę ci, że masz duże szanse w walce przeciw Grekom, poprowadzisz wojsko?

- Nie wiem, muszę pomyśleć. Jeśli, jak twierdzisz, nasz król - wybac szlachetny Thiudahadzie, mówię o tym drugiemu królowi - musi przegrać, może warto podjąć ryzyko. A jak ty byś postąpił?

- Belizariusz ma około dziesięciu tysięcy ludzi odrzekł Padway. - Zostawi dwa tysiące w Neapolu i innych miastach na południu. Nadal będzie nas trochę przewyższał liczbą. Zważ, że twój dzielny Wittigis zwiął mając pod ręką dwadzieścia tysięcy.

Liuderis wzruszył ramionami. Wyglądał na zakłopotanego.

- To prawda. Posunięcie nie było za mądre. Ale spodziewa się wielotysięcznych posiłków z Galii i Dalmacji.

- Czy twoi ludzie mają jakieś doświadczenie w nocnych atakach? - spytał Padway.

- Nocne ataki? Chcesz napaść nieprzyjaciela nocą? Nie. Nigdy nie słyszałem o takim postępowaniu. Bitwy zawsze toczyły się za dnia. Nocny atak... to brzmi dla mnie niezbyt realnie. Jak utrzymasz kontrolę nad swoimi ludźmi?

- O to właśnie chodzi. Nikt nigdy nie słyszał, żeby Goci atakowali nocą. To daje pewne szanse powodzenia, ale wymaga specjalnego przygotowania. Po pierwsze: musisz wysłać patrole na drogi wiodące na północ, aby zwracały ludzi, którzy mogliby zanieść informacje do Rawenny. Potrzebuję też dobrych specjalistów od katapult. Nie chcę całkowicie polegać na książkach z biblioteki w kwestii organizowania artylerii. Jeśli żaden z twoich żołnierzy nie zna się na tym, trzeba będzie wyłowić jakiegoś Rzymianina albo dwóch. Poza tym mógłbyś wyznaczyć mnie do swojego sztabu... Co, nie masz sztabu? Od dziś zaczniesz mieć... za odpowiednim wynagrodzeniem.

Padway leżał na szczycie wzgórza nie opodal Fregellae i obserwował cesarskich przez teleskop. Zaskoczyło go, że Belizariusz, najprzedniejszy żołnierz swoich czasów, nie wysunął dalej zwiadu, ale był przecież rok 535. Awangarda składała się z kilkuset konnych Hunów i Maurów, którzy zapuszczali się w bok drogi i wracali galopem. Dalej, we wzorowym ordynku, jechało dwa tysiące słynnych cataphracti, czyli kirasjerów. Zimne promienie zachodzącego słońca błyszcząły w łuskach ich pancerzy. Sztandar w kształcie skórzanego węża powiewał u szczytu długiej żerdzi jak balon na paradzie w Święto Dziękczynienia.

To byli najlepsi i z pewnością najbardziej wszechstronnie wyszkoleni żołnierze na świecie. Wszyscy się ich bali. Padway patrząc na płaszcze i szarfy trzepoczące na wietrze sam nie czuł się zbyt pewnie. Dalej maszerowało trzy tysiące izauryjskich łuczników, a na końcu następne dwa tysiące kirasjerów.

- Coś się dzieje - sapał Liuderis leżący przy boku Padwaya. - Ja! Myślę, że rozbiją tu obóz. Skąd wiedziałeś, Martinusie, że wybiorą właśnie to miejsce?

- To proste. Pamiętasz to małe urządzenie, które umieściłem w wozie? Odmierza odległość. Zmierzyłem długość drogi. Znając ich normalny przemarsz dzienny i punkt, z którego ruszyli, obliczyłem resztę bez trudu.

- No, no, wspaniale! Skąd ty to wszystko wiesz? Wielkie ufne oczy Liuderisa przywodziły Padwayowi na myśl psa bernardyna. - Mam kazać montować Brunhildę?

- Jeszcze nie. Po zachodzie słońca zmierzmy odległość do obozu.

- Jak to zrobisz nie pokazując się?

- Przyjdzie pora, to ci pokażę. Tymczasem upewnij się, czy chłopcy zachowują się cicho i czy dobrze się ukryli.

Liuderis zmarszczył brwi.

- Nie spodoba im się zimna kolacja. Jeśli ich nie przypilnujemy, ktoś na pewno rozpali ogień.

Padway westchnął. Miał już smutne doświadczenie z pełnymi zapału i niekarnymi Gotami. Jednego dnia byli rozentuzjasmowani planami Tajemniczego Martinusa (tak go nazwali) jak mali chłopcy, następnego zaś szemrali, na skraju buntu z powodu narzucenia jakiegoś błahego regulaminu. Odkąd Padway poczuł, że nie uda mu się im rozkazywać, biedny Liuderis musiał się tym zająć osobiście.

Bizantyjczycy rozbili obóz z systematycznym pośpiechem. Padway pomyślał, że to prawdziwi żołnierze. Można czegoś dokonać z takimi podwładnymi. Wiele czasu upłynie, zanim Goci osiągną podobną perfekcję. Na razie ich rozumienie spraw wojny osiągnęło poziom dziecięcych zabaw na podwórku.

Świadczyły o tym utyskiwania, którymi przyjęto utworzenie formacji inżynieryjnej. Obsługa katapult to zajęcie dla niewieściuchów, sprzeczne z rycerskim honorem; dobrze urodzeni lansjerzy mają walczyć pieszo jak jacyś poddani? Nawet nam się nie śni! Martin odciągnął ich od ukochanych koni pomysłową metodą: Liuderis, za jego radą, sformował kompanię pikinierów, rozgłaszając, że dopuszcza się tylko najlepszych i że w przyszłości za ten zaszczyt trzeba będzie płacić. Padway wyjaśnił, że nie ma wojska, w którym dyscyplina i morale byłyby ważniejsze niż w ciężkozbrojnej piechocie, bo jeden człowiek, który cofnąłby się przed szarżą kawalerii, może złamać linię włóczni i dopomóc tym samym nieprzyjacielowi.

Zrobiło się za ciemno na użycie teleskopu. Mógł tylko rozróżnić sztandar dowódcy przed wielkim namiotem. Prawdopodobnie Belizariusz był jedną z figurek stojących wokół. Gdyby miał karabin maszynowy... ale nie ma i nigdy nie będzie miał. Żeby go mieć, potrzeba maszyn. I maszyn do zrobienia tych maszyn i tak dalej. Jeśli kiedykolwiek skleci ładowany od lufy muszkiet, to już będzie sukces.

Sztandar, bez wątpienia, nosił napis S.P.Q.R. - Senat i Lud Rzymski. Armia Hunów, Maurów i anatolijskich najemników dowodzona przez trackiego Słowianina służącego dalmackiemu autokracie, który panował w Konstantynopolu i nigdy nawet nie widział Rzymu, zwała się armią Rzeczypospolitej Rzymskiej i nikogo to nie dziwiło.

Padway podniósł się, stękając pod ciężarem pancерnej koszulki. Miał wiele pobożnych życzeń, na przykład, żeby wyćwiczyć konnych łuczników. Tacy są jedynym wojskiem zdolnym uporać się z groźnymi bizantyjskimi kirasjerami. Teraz pozostawała mu tylko nadzieja, że ciemności zlikwidują przewagę ognia cesarskich.

Kierował wbijaniem pała w ziemię i odmierzył krokami podstawę trójkąta. Trochę geometrii pozwoliło mu obliczyć ćwierćmilowy odcinek. Taki był zasięg Brunhildy. Rozkazał ją zmontować. Potrzeba było na nią jedenaście wozów budulca, a i tak nie osiągała rekordowych rozmiarów.

Padway krążył nerwowo wokół saperów. Podskakiwał i aż syczał, gdy ktoś upuścił kawałek drewna.

Z obozu docierały strzępy piosenek. Pomysł pozostawienia ładunku brandy, tak żeby furazerowie przeciwnika łatwo go znaleźli, najwyraźniej przynosił już rezultaty, mimo znanej surowości Belizariusza wobec pijanych żołnierzy.

Przytargano wory z pastą siarkową. Padway spojrzął na zegarek, wydobyty szczęśliwie z dziury w murze. Zbliżała się północ. Przygotowania zajęły ponad godzinę.

- Gotowe? Zapalić pierwszy ładunek!

Rozżarzone nasycone oliwą szmaty. Wór znalazł się w pętli katapulty. Padway osobiście pociągnął linkę spustową. Bzz - bum! stęknęła Brunhilda. Ładunek zatoczył ognistą parabolę. Martin pognął na wzgórek maskujący pozycję. Nie zdążył zobaczyć, jak paka wylądowała w obozie, ale pijackie śpiewy urwały się, a ich miejsce zastąpiło narastające brzęczenie, jak w gnieździe podrażnionych szerszeni. Za plecami, w ciemności, świszczwały bicze i trzeszczały liny, kiedy konie naciągały wielokrążek zamontowany dla szybszego repetowania katapulty. Bzz - bum! Drugi ładunek, z którego wypadł w locie zapalnik, poszybował do obozu niewidoczny i bezużyteczny. Nie szkodzi, następny będzie za kilka sekund. Znowu stęknięcie i świst. Brzęczenie było coraz głośniejsze. Dały się słyszeć głośne komendy. Bzz bum!

- Liuderisie - krzyknął Padway - daj sygnał!

W obozie przeciwnika zaczęły rzeć konie. Zwierzęta nie znoszą zapachu dwutlenku siarki. Dobrze, może to unieruchomi cesarską konnicę. W ogólnym hałasie usłyszał szczęk i szuranie butów Gotów szykujących się do walki. W obozie buchnął jasny płomień. Na ten znak oddział Gotów z prawej strony Padwaya ruszył po splekanym, pokrytym chwastami gruncie. Wielkie okrągłe tarcze mieli pomalowane na biało dla rozpoznania w ciemności. Twarze obwiązali mokrymi szmatami. Padway pomyślał, że przynajmniej nastraszą cesarskich. Noc ożyła. Wokół, w świetle ognisk rozblyskiwały kolczugi, hełmy i ostrza.

Gdy Goci zbliżyli się do nieprzyjaciela, hałas wzniósł się pod niebiosa. Rozbrzmiewał skandowany okrzyk wojenny, brzęczały cięciwy łuków, wreszcie metal uderzył o metal. Padway, na tle ognia, widział czarne figurki swoich ludzi, coraz mniejsze i mniejsze, aż wreszcie znikły w fosie otaczającej obóz. Obraz stracił klarowność, a potem podniósł się zgiełk. Napastnicy wdrapali się na przeciwskarpe i znów ukazali się w świetle ognisk. Wpadli na obrońców.

Jeden z saperów zaraportował, że wory z siarką już się skończyły. Co mają teraz robić?

- Czekać na dalsze rozkazy - odparł Padway. - Ale wodzu, nie wolno nam pójść do boju? Stracimy całą zabawę.

- Ni! Nie wolno. Na zachód od Adriatyku jesteście jedynym korpusem saperów, który wart jest złamanego szeląga. Nie mogę pozwolić, żebyście dali się wyróżnić.

- Uff! - wrzasnął głos z ciemności - to tchórzostwo czekać tutaj. Chodźmy, chłopcy! Do diabła z Tajemniczym Martinusem! - I zanim Martin zdołał zareagować, dwudziestu kilku artylerzystów odmaszerowało w stronę pola walki.

Padway w złości zażądał konia i popędził szukać Liuderisa. Dowódca dosiadał rumaka przed frontem lansjerów. Ognie oświetlały hełmy, twarze i barki. Lśnił las wzniesionych włóczy. Wyglądali jak statyści z opery Wagnera.

- Był jakiś wypad ze strony nieprzyjaciela? - wysapał Amerykanin.

- Nie.

- To będzie, jak znam Belizariusza. Kto poprowadzi oddział?

- Ja.

- Ależ, panie! Myślałem, że zrozumiałeś, dlaczego dowódca nie powinien...

- Wiem, Martinusie - odparł stanowczo Liuderis. - Masz wiele pomysłów, ale jesteś młody. Ze mnie stary żołnierz. Honor wymaga, żebym poprowadził żołnierzy. Popatrz lepiej, czy coś się nie dzieje w obozie.

Rzeczywiście, właśnie wyjeżdżała cesarska konnica. Belizariuszowi mimo trudności udało się zebrać odpowiednią ilość zdolnych do walki ludzi i koni. Oddział przegalopował przez główną bramę, rozpraszając na wszystkie strony piechotę nieprzyjaciela. Liuderis krzyknął i masa gockich rycerzy ruszyła, nabierając impetu w trakcie jazdy. Martin widział, jak cesarscy zmienili front, żeby zaatakować wroga od tyłu. Potem żołnierze Liuderisa przysłonili widok. Rozległ się łomot, gdy oddziały wpadły na siebie. Przez kilka minut niczego nie można było rozróżnić w zamieszaniu.

Powoli hałas zamierał. Padway zastanawiał się, co się stało. Głupio mu było wygodnie tkwić w siodle ćwierć mili od bitwy. Teoretycznie był tu, gdzie powinien znajdować się sztab, rezerwy i artyleria. Ale rezerw nie było, jedyna katapulta stała porzucona gdzieś w ciemności, a sztab i artylerzyści uprawiali szermierkę z cesarskimi.

Myśląc brzydko o współczesnej sztuce wojennej Padway pojechał w stronę obozu. Minął Gota zupełnie spokojnie obwiązującego goleń kawałkiem własnej tuniki, innego, który jęczał trzymając się kurczowo za żołądek, dalej zaś leżał trup. Zobaczył tłum cesarskich pancernych, pieszo i bez broni.

- Co tu robicie? - zapytał zdziwiony.

- Jesteśmy jeńcami; paru Gotów miało nas pilnować, ale śpieszno im było do płądrowania, więc poszli do obozu.

- Gdzie jest Belizariusz?

- Tutaj. - Jeniec wskazał na człowieka, który siedział na ziemi, trzymając się za głowę. - Got ogłuszył go ciosem. Właśnie dochodzi do siebie. Nie wiesz, co się z nami stanie, szlachetny panie?

- Nic strasznego, jak sądzę. Zostaniecie tu, chłopcy, dopóki kogoś po was nie przyślę.

Pojechał dalej. Żołnierze to dziwni ludzie, pomyślał. Z Belizariuszem na czele, stosując słynną taktykę łuku i włóczni, cataphracts potrafili przetrzepać skórę trzykrotnie silniejszemu nieprzyjacielowi, lecz gdy wodzowi nabito guza, stali się łagodni jak baranki.

Blżej obozu więcej było trupów i rannych. Kilka koni bez jeźdźców pasło się spokojnie. Wewnątrz stały zbite gromadki cesarskich żołnierzy: Izauryjczyków, Maurów i Hunów. Trzymali przy twarzach strzępy odzieży, żeby uniknąć smrodu siarki. Goci buszowali wśród nich, patrząc, co by tu jeszcze ukraść.

Padway zsiadł z konia i zapytał kilku plądrujących, gdzie jest Liuderis. Powiedzieli, że nie wiedzą, i wrócili do swojego zajęcia. Znalazł znajomego oficera o imieniu Gaina. Klęczał nad ciałem i płakał. Zwrócił brodate, podrapane oblicze w stronę Padwaya.

- Liuderis nie żyje - wyszlochał. - Zabito go, gdy uderzyliśmy na grecką kolumnę.

- Kto to jest? - Padway wskazał zwłoki.

- Mój młodszy brat.

- Przepraszam. Czy nie zechciałbyś pomóc mi zaprowadzić porządek? Setki jeńców zostały bez straży. Jak się otrząsną, mogą uciec.

- Nie, zostanę z braciszkiem. Ty idź, Martinusie, potrafisz sam się tym zająć. - Gaina rozpląnął się we łzach.

Padway złowił wreszcie innego oficera - Gudarethsa, który starał się zebrać paru żołnierzy do pilnowania jeńców. Ledwo się od nich odwracał, znikali w ogólnym bałaganie.

Padway złapał go za ramię.

- Zostaw ich. Słyszałem, że Liuderis nie żyje. Ale żyje Belizariusz. Jeśli go nie capniemy...

Poszli więc z garstką Gotów za obóz, gdzie cesarski generał nadal siedział wśród swoich ludzi. Odsunęli mniej ważnych jeńców i wyznaczyli kilku strażników do pilnowania Belizariusza. Potem z godzinę zaganiali jeńców i żołnierzy, żeby wprowadzić jaki taki porządek.

Gudareths, mały radosny człowieczek, gadał bez przerwy.

- To była szarża, to była szarża! Nie widziałem lepszej, nawet w bitwie z Gepidami nad Dunajem. Wzięliśmy ich z flanki. Najlepsza robota, jaką widziałem. Grecki generał walczył jak szalony, dopóki nie uderzyłem go w głowę. Najlepszy cios, jaki w życiu zadałem, na Boga! Silniejszy niż wtedy, gdy uciąłem głowę pewnego bułgarskiego Huna pięć lat temu. O tak! Zabiłem setki nieprzyjaciół w życiu. Nawet tysiące. Żal mi tych biedaków. Tak naprawdę, nie jestem

chciwy krwi, ale usiłovali stawić mi czoło. Słuchaj, a gdzie ty byłeś podczas szarży? - Spojrzał oskarżycielsko na Padwaya, jak wiewiórka, która nie dostała orzeszka.

- Miałem dowodzić artylerią, ale moi ludzie przyłączyli się do walki. Kiedy nadjechałem, było już po wszystkim.

- Hm, bez wątpienia, bez wątpienia. To zupełnie jak ja kiedyś, w bitwie z Burgundami. Rozkaz trzymał mnie z dala od zawieruchy, prawie do końca. Oczywiście, kiedy się przyłączyłem, musiałem zabić co najmniej dwudziestu...

Długie szeregi wojska i jeńców zmierzały na północ drogą latyńską. Padway, jadąc na przedzie, ciągle był trochę oszołomiony świadomością tego, że dowodzi gocką armią, bo po prostu w nocnym zamęciu przejął obowiązki Liuderisa. Najlepsi zawsze odchodzą pierwsi, pomyślał ze smutkiem wspominając szczerego, poczciwego Dziadka Mroza, który leżał teraz martwy na taborowym wozie. Myślał też o nikczemnym i zdradzieckim króliku, którym będzie musiał pokierować, gdy wróci do Rzymu.

Belizariusz, który jechał obok, był jeszcze smutniejszy. Cesarski generał okazał się zaskakująco młodym, trzydziestoparoletnim człowiekiem. Wysoki i dość tęgi, z szarymi oczami i kręconą brodą. Szerokie kości policzkowe ujawniały jego słowiańskie pochodzenie. Odezwał się poważnie:

- Dostojny Martinusie, winien ci jestem podziękowania za względy, jakie okazałeś mojej żonie. Zrobiłeś wszystko, by pomóc jej w tej smutnej podróży.

- Zwykła rzecz, prześwietny Belizariuszu. Może ty schwytasz mnie pewnego dnia.

- Mało prawdopodobne, po takiej klęsce. Przy okazji, jeśli wolno spytać, kim jesteś? Słyszałem, jak nazywano cię Tajemniczym Martinusem! Sądząc po wymowie, nie jesteś Gotem ani Italczykiem.

Padway wypowiedział robiącą wrażenie, ale niejasną formułę o Ameryce.

- Naprawdę? Muszą znać się na wojnie, ci Amerykanie. Wiedziałem od początku bitwy, że nie mam do czynienia z barbarzyńskim wodzem. Koordynacja działań była za dobra. Szczególnie ta szarża kawaleryjska. Tfu! Jeszcze czuję tę przeklętą siarkę!

Padway nie zamierzał wyjaśniać, że całe swoje doświadczenie wojskowe zdobył w trakcie rocznych zajęć przysposobienia obronnego w szkole średniej w Chicago. Zapytał więc:

- A jak by ci się spodobał pomysł przejścia na naszą stronę? Potrzebujemy dobrego generała. Jako kwesor Thiudahada będę miał mnóstwo innych zajęć.

Belizariusz zmarszczył brwi.

- Nie, złożyłem przysięgę Justynianowi.

- Tak, ale jak zapewne słyszałeś, potrafię czasem trochę zobaczyć przyszłość. Mogę ci teraz powiedzieć, że im wierniejszy będziesz Justynianowi, tym podlej i niewdzięczniej z tobą postąpi. Będzie...

- Powiedziałem, nie - powtórzył ostro cesarski generał. - Możesz zrobić ze mną, co zechcesz, ale słowo Belizariusza jest święte.

Padway jeszcze trochę się sprzeczał, ale pamiętając przekaz Prokopiusza, nie miał wielkiej nadziei na podważenie nieugiętej prawości Traka.

- Gdzie jest twój sekretarz, Prokopiusz z Cezarei? - spytał.

- Nie wiem; był na południu Italii i prawdopodobnie podążył za wojskiem.

- Dobrze. Zagarniemy go. Będzie nam potrzebny kompetentny historyk.

Belizariusz otworzył szeroko oczy.

- Skąd wiesz o tym, że zbiera i spisuje wydarzenia? Myślałem, że mówił o tym tylko mnie.

- Och, mam sposoby. To dlatego nazywają mnie Tajemniczym Martinusem.

Wkroczyli do Rzymu Bramą Łatyńską, na północ od Cyrku Wielkiego i Koloseum. Przemaszerowali doliną Kwirynału do Starej Bramy na Viminal i Pole Pretorianów.

Tutaj Padway kazał umieścić jeńców i polecił Gudarethsowi wyznaczyć straż. To było zrozumiałe. Potem znalazł się pośrodku tłumu oficerów patrzących na niego z wyczekiwaniem. Nie mógł wymyślić żadnych nowych rozkazów.

Miętosił przez chwilę ucho, po czym wziął na stronę Belizariusza.

- Słuchaj, prześwietny generale - zwrócił się do niego szeptem - co mam, do diabła teraz zrobić? Ta cała wojaczka to nie moje rzemiosło.

Na szerokiej i zwykle poważnej twarzy Belizariusza pojawił się cień rozbawienia.

- Każ płatnikowi wypłacić żołd. Dobrze też jest dać jakąś premię za wygranie bitwy. Wyznacz oficera, który sprowadzi paru lekarzy i zaopiekuje się rannymi. Myślę, że ta barbarzyńska armia nie ma własnego korpusu medyków. Zatroszcz się też o spisanie strat. Słyszałem, że zginął komendant rzymskiego garnizonu. Awansuj kogoś na jego miejsce i każ załodze wrócić do koszar. Dowódcom innych kontyngentów poleć znaleźć noclegi dla ludzi. Jeśli to będą prywatne domy, niech ich właściciele wiedzą, że zapłaci im się według stawek. To wszystko zrobisz później. Teraz wygłoś mowę.

- Wygłosić mowę - jęknął Padway w przerażeniu. - Mówię cholernie słabo po gocku.

- To należy do rzemiosła. Powiedz im, jakimi są wspaniałymi żołnierzami. Tylko krótko. I tak nie będą słuchać zbyt uważnie.

Po krótkich poszukiwaniach Padway zlokalizował Thiudahada w Bibliotece Ulpiana. Człowieczek zabarykadował się za ogromnymi stosami książek. Czterech gwardzistów, porozwalanych na stole, ławie i podłodze, chrapało grzmiąco. Bibliotekarz piorunował ich spojrzeniem kobry opitej kwasem fluorowodorowym, ale nie śmiał protestować.

Thiudahad podniósł kaprawe oczka.

- O, to ten facet od publikacji, Martinus, nieprawdaż?

- Zgadza się, panie. Dodam, że jestem twoim nowym kwestorem.

- Co, co? Kto ci to powiedział?

- Ty sam. Wyzaczyłeś mnie na to stanowisko.

- Orany boskie, rzeczywiście! Głupio mi teraz. Kiedy zatopię się w lekturze, naprawdę nie wiem, co się dzieje. Zaraz... ty i Liuderis mieliście bić się z cesarskimi, czyż nie tak?

- Hoc ille, panie. Już po wszystkim.

- Naprawdę? Dałeś się przekupić Belizariuszowi, prawda? Mam nadzieję, że ułożyłeś się z Justynianem o posiadłość i emeryturę dla mnie?

- Nie było potrzeby, panie. Wygraliśmy.

- Że jak?!

Padway zdał relację z wydarzeń ostatnich trzech dni.

- I lepiej, żebyś wcześniej poszedł spać wieczorem, panie. Rankiem wyjeżdżamy do Florencji.

- Do Florencji? Po co, na miłość boską?

- W naszym interesie leży skaptować twoich generałów Asinara i Grippasa. Wracają z Dalmacji wystraszeni pojawieniem się tam cesarskiego generała Konstantianusa. Jeśli dopadniemy ich, zanim osiągną Rawennę i dowiedzą się o Wittigisie, może zdołamy odzyskać twoją koronę.

Thiudahad westchnął.

- Tak, myślę, że powinniśmy to zrobić. Ale skąd wiesz, że Asinar i Grippas wracają?

- Tajemnica firmy, panie. Wysłałem też dwa tysiące ludzi, żeby zajęli na powrót Neapol. To nie powinno sprawić kłopotu. Jest tam tylko generał Herodianus z trzystoma żołnierzami.

Thiudahad przymrużył oczy.

- Dobrze to urządziłeś, Martinusie. Jeśli zdołasz oddać mi w ręce tego niegodziwego uzurpatora Wittigisa... uuuch! Poślę natychmiast do Konstantynopola po kata, jeśli nie znajdzie się dość pomysłowego w Italii.

Padway nie odpowiedział mając własne plany wobec Wittigisa. Zmienił temat:

- Mam dla ciebie miłą niespodziankę: skrzynie płatnika armii cesarskiej.

- Tak? - Oczywiście Thiudahada rozbłąsły. - Oczywiście, są moje. To bardzo uprzejmie z twojej strony, najświetniejszy Martinusie.

- Cóż, musiałem trochę je opróżnić, żeby wypłacić żołd i uiścić rachunki wojska. Ale resztę przyjmij jako miłe uzupełnienie królewskiej szkatuły. Będą czekały na ciebie w domu.

Nie dodał już, że skonfiskował ponad połowę pieniędzy i zdeponował je u Thomasusa. Pytanie, do kogo należy zdobycz, szczególnie jeśli zdobywca jest ochotnikiem, jedynie w teorii służącym jednemu z dwóch rywalizujących ze sobą królów, stanowiłoby twardy orzech do zgryzienia dla ówczesnej wiedzy prawniczej. W każdym razie Padway był pewien, że zrobi z pieniędzy lepszy użytek niż Thiudahad. Robi się ze mnie zatwardziały kryminalista, myślał z dumą.

Padway pojechał do Corneliusa Aniciusa. Wymowny patrycjusz był właśnie w łaźniach. Na przywitanie wyszła Dorothea. Padway musiał przyznać, że jest mu bardzo przyjemnie tak dosiadać bojowego rumaka, w romantycznym (dla niego) kostiumie, w płaszczu, wysokich butach i we wszystkim co trzeba, i oznajmiać jednej z ładniejszych dziewczyn w Rzymie o swoim zwycięstwie.

- Martinusie - rzekła - ojciec głupio postąpił, kiedy z początku kręcił nosem na twoją pozycję społeczną. Zapomniał o wszystkim po tym, czego dokonałeś. Nie kocha Gotów, ale znacznie bardziej woli uczonego Thiudahada niż tego dzikusa Wittigisa.

- Cieszy mnie to. Lubię twojego starego.

- Wszyscy o tobie teraz mówią. Nazywają cię "Tajemniczym Martinusem".

- Wiem. Bzdura, prawda?

- Tak. Nigdy nie wydawałeś mi się szczególnie tajemniczy pomimo twojego cudzoziemskiego pochodzenia.

- To wspaniale! Nie boisz się mnie, prawda?

- Ani trochę. Jeśli dobiłeś targu z Szatanem, jak niektórzy napomykają, to diabeł źle na tym wyszedł. Roześmieli się. Dodała: - Niedługo czas na obiad. Zostaniesz? Ojciec wróci lada moment.

- Przykro mi, ale chyba nie. Jutro znów wyruszamy na wojnę.

Odjeżdżając pomyślał, że jeśli zmieni zdanie na temat małżeństwa, będzie wiedział, od czego zacząć. Jest atrakcyjna i miła i ma to, co uchodzi tu za dobre wykształcenie.

Padway jeszcze raz próbował, bez powodzenia, namówić Belizariusza. Udało mu się jednak zaciągnąć pięciuset cesarskich kirasjerów do gwardii przybocznej. Udział w łupach wystarczył mu na kilkutygodniowy żołd dla nich. Potem się zobaczy.

Podróż do Florencji była okropna. Przez większą część drogi padał deszcz. Gdy wspinali się do miasta, schwyciła ich śnieżna nawałnica. Spiesząc się, Padway jechał komunikiem.

We Florencji wysłał oficerów po zakup ciepłej odzieży i zajął się swoimi sprawami. Interes rozkwitał, Fritharik narzekał jednak:

- Nie ufam żadnemu z nich, przeświecny szefie. Jestem pewny, że majster i ten Grzegorz Menandrus kradną, choć nie umiem tego dowieść. Nie rozumiem tej całej pisaniny i cyferek. Wystarczy zostawić ich trochę dłużej bez nadzoru i ukradną wszystko, i co wtedy z nami? Z torbami, na szarugę, a potem do dwóch bezimiennych grobów.

- Zobaczymy.

Padway wezwał skarbnika, Proklusa Proklusa i zażądał wglądu w księgi. Proklus od razu zaczął się bać, ale przyniósł księgi. Padway zagłębił się w obliczeniach. Wyglądały ładnie i składnie. Osobiście wyuczył skarbnika podwójnej księgowości. Nagle - ku zaskoczeniu pracowników - wybuchnął śmiechem.

- Co... co się stało, szlachetny panie? - wyjąkał Proklus Proklus.

- Ach, ty nieszczęsny idioto, czy nie zdajesz sobie sprawy, że do tego systemu księgowania wasze małe kradzieże pasują jak pięść do oka? Wszystko wychodzi przy zliczaniu. Popatrz: trzydzieści solidów w ostatnim miesiącu, a tylko w ubiegłym tygodniu dziewięć solidów i kilka sestercji. Moglibyście równie dobrze zostawiać pokwitowania za każdym razem, jak coś podwędzicie. - Co... co mi chcesz zrobić?

- Hmm... powinienem kazać cię wsadzić do więzienia i wychłostać. - Padway siedział przez chwilę w milczeniu, patrząc jak Proklus Proklus stopniowo czerwienieje. - Ale nie chcę mieć na sumieniu cierpienie twojej rodziny. I z pewnością potem nie mógłbym cię przyjąć, a jestem bardzo zajęty i nie mam czasu, żeby wyuczyć systemu nowego skarbnika. Zajmę więc jedną trzecią twoich poborów, dokąd te małe... hm... pożyczki nie zostaną zwrócone.

- Dzięki ci, dzięki, łaskawy panie. Ale, żeby było sprawiedliwie. Grzegorz Menandrus też powinien mieć w tym udział. On...

- Kłamca! - wrzasnął redaktor.

- Sam kłamca! Mogę udowodnić. Tu jest pozycja na jednego solida z dziesiątego listopada, a jedenastego Grzegorz pojawił się w nowych butach i z nową bransoletą. Wiem, gdzie to kupił. Piętnastego...

- Jak to było, Grzesiek? - spytał Padway. Menandrus w końcu przyznał się, chociaż twierdził, że były to tylko krótkoterminowe pożyczki na poczet wypłaty.

Padway podzielił odpowiedzialność między obu. Przestrzegł ich surowo przed recydywą. Potem poszedł omówić z majstrem plany nowych maszyn i technologii metalurgicznych. Wśród nich urządzenia do produkcji mis z płyt miedzianych. Niegłupi Nerva chwycił pomysły w lot.

Kiedy Padway odjeżdżał, Fritharik zapytał:

- Nie mógłbym pojechać z tobą, prześwietny Martinusie? Nudno w tej Florencji, a ty potrzebujesz kogoś, kto by na ciebie uważał. Zaoszczędziłem już prawie tyle, żeby odzyskać mój wysadzany klejnotami miecz, i jeśli pozwolisz...

- Nie, stary, przykro mi, ale muszę tu zostawić choć j e d n e g o człowieka, któremu mogę zaufać. Gdy ta cholerna wojaczka i polityka się skończą, wtedy zobaczymy.

Fritharik westchnął głęboko.

- No, dobrze, skoro nalegasz. Ale dreszcz mnie przechodzi na myśl, że będziesz wśród tych perfidnych Greków, Italczyków i Gotów. Boję się, że skończysz w bezimiennym grobie.

Trzęsąc się z zimna i ślizgając co krok przeszli przez oblodzone Apeniny do Bolonii. Padway postanowił kazać podkuć konie, jeśli uda mu się zaoszczędzić parę dni. Strzemiona już wynaleziono, ale podków jeszcze nie. Skończyła się piękna, brukowana droga. Z Bolonii do Padwy, nie odbudowanej jeszcze po najeździe Hunów Attyli, wiódł grząski nie utwardzony trakt. Dobrze chociaż, że mieli ładną, prawie wiosenną pogodę.

W Padwie okazało się, że armia dalmacka wyprzedza ich o jeden dzień. Thiudahad zażyczył sobie postoju.

- Martinusie! - zakwilił - wytrząśłeś moje stare kości po całej północnej Italii. Zmarłem prawie na śmierć. To nieludzkie. Trzeba mieć trochę względów dla swego króla.

Padway z pewnym wysiłkiem zdusił irytację.

- Panie, chcesz odzyskać koronę czy nie? Biedny Thiudahad musiał więc jechać dalej. Ostro jadąc dopadli armię dalmacką w połowie drogi do Atrii. Przegalopowali wzdłuż tysięcznych kolumn pieszych i konnych Gotów. Było ich dobrze ponad pięćdziesiąt tysięcy. I ci wielcy, silni mężczyźni uciekli w popłochu na samą wieś, że nadchodzi hrabia Konstantianus.

Cesarski wódz miał ze sobą niewiele wojska, ale o tym wiedział tylko Padway, a źródło jego informacji było niezbyt legalne.

Goci zrobili owację na cześć Thiudahada i lansjerów. Kirasjerów powitali niechętnym pomrukiem i łypaniem spod oka. Mimo że Padway kazał im włożyć gockie hełmy i italskie płaszcze wojskowe zamiast spiczastych stalowych szłyków i burnusów, ogolone twarze i ciasne jegry nadawały im nadal dość podejrzany wygląd.

Padway znalazł dowódców u czoła kolumny. Asinar był długi, a Grippas krótki, ale obaj byli po prostu wąsatymi barbarzyńskimi wodzami. Z szacunkiem oddali honory Thiudahadowi, który aż się skulił na widok mocarnych wojów. Przedstawił Martina, swego nowego prefekta, to znaczy, miał na myśli, nowego kwestora. Asinar zwrócił się do Padwaya.

- W Padwie doszła nas pogłoska, że w Italii trwa wojna domowa z uzurpatorem. Jaka jest prawda? Padway po raz pierwszy był zadowolony, że telegraf nie dotarł tak daleko na północ. Roześmiał się pogardliwie.

- Och! Naszemu dzielnemu generałowi Wittigisowi przewróciło się w głowie. Parę tygodni temu zamknął się w Rawennie przed Grekami i ogłosił się królem. Wymietliśmy Greków, a teraz idziemy rozprawić się z Wittigisem. Pomożecie nam, chłopcy.

Oskarżył Wittigisa raczej niesprawiedliwie i teraz zastanawiał się, czy pozostało mu jeszcze trochę sumienia po paru latach przebywania w tej zakłamej atmosferze. Obaj Goci przyjęli stwierdzenie bez komentarzy. Nie można ich było nazwać nad wyraz rozgarniętymi ludźmi.

Drugiego dnia w południe wkroczyli do Rawenny. Groblę zalegała tak gęsta mgła, że konie jadące na przedzie musiano prowadzić za uzdy, żeby nie zabłądzić na mokradła.

Wynurzające się z oparów wojsko wzbudziło nieco trwogi w Rawennie. Padway i Thiudahad skromnie milczeli, gdy Asinar z Grippasem ujawnili swoją tożsamość. W rezultacie większa część olbrzymiej armii weszła do miasta, zanim ktokolwiek zdążył zauważyć siwego człowieka i jego nowego kwestora. Zaczęła się krzątanina, rozległy się krzyki.

Wkrótce nadbiegł Got w czerwonym, bogatym płaszczu.

- Co tu się dzieje, do diabła? - wykrzyknął. Złapaliście Thiudahada czy na odwrót?

Asinar i Grippas siedzieli na koniach zaskoczeni.

- Hmm... tego... to jest...

Padway dał koniowi ostrogę i podjechał.

- Kim jesteś, drogi panie? - spytał.

- Jeśli masz coś do mnie, jestem Unilas, syn Wiljaritha, wódz armii pana naszego Wittigisa, króla Gotów i Italczyków. A kim ty jesteś?

Padway uśmiechnął się i powiedział gładko:

- Jestem zachwycony, że mogę cię poznać, generale. Jestem Martin Paduei, kwestor naszego starego władcy Thiudahada, króla Gotów i Italczyków. Teraz gdy się już poznaliśmy...

- Durniu jeden, nie ma żadnego króla Thiudahada! Został usunięty z tronu! Wybraliśmy nowego króla. Nie słyszałeś?

- Och, słyszy się tyle rzeczy. Ale, prześwietny Unilasio, zanim zrobisz mi jeszcze jakąś nieuprzejmą uwagę, rozważ, że mamy - to znaczy, król Thiudahad ma - ponad sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy w mieście, podczas gdy wy macie około dwunastu tysięcy. Nie chcesz chyba jakichś niepotrzebnych nieprzyjemności?

- O, ty zuchwalcze... ty... hm... powiedziałeś sześćdziesiąt tysięcy?

- Może siedemdziesiąt, nie liczyłem.

- O, to co innego.
- Byłem przekonany, że tak to przyjmiesz.
- Co masz zamiar zrobić?
- No cóż, jeśli zechcesz powiedzieć, gdzie jest g e n e r a ł Wittigis, to chyba złożymy mu

wizytę.

- Bierze dzisiaj ślub. Myślę, że jest teraz w drodze do kościoła św. Witalisa.
- Mówisz, że jeszcze nie poślubił Matasunty?
- Nie, była pewna zwłoka przy rozwodzie.
- Szybko, jak dostać się do kościoła?

Padway nie miał wcześniej nadziei, że zdąży na czas, by zapobiec próbie wszczęcia nowej gałązki w pień rodu Amalów przez małżeństwo wymuszone na najmłodszej córce Amalasy. Teraz była szansa, której nie wolno zmarnować.

Unilas wskazał kopułę oskrzydloną dwiema wieżami. Padway krzyknął na gwardzistów i spiał konia do galopu. Pięciuset jeźdźców cwałowało za nim ochlapując błotem przechodniów. Kopyta zagrzmiały na moście jednego z cuchnących, zgodnie z reputacją miasta, kanałów. Rzucili się do kościoła. Około dwudziestu strażników pilnowało drzwi, zza których dobiegały słabe dźwięki muzyki organowej. Nadstawili włócznie.

Padway ściągnął wodze i zwrócił się do dowódcy gwardii, Macedończyka o imieniu Achilles.

- Rozbroić ich!

Szybka, skoordynowana akcja i półkole kirasjerów stało przed drzwiami kościoła. W następnej chwili strażnicy mieli przed sobą sto bizantyjskich łuków gotowych do strzału.

- Nu - odezwał się Padway po gocku - jak położycie, chłopcy, swoje drągi na ziemi, a ręce podniesiecie do góry, to się dogadamy... O, tak lepiej, znacznie lepiej. - Ześlizgnął się z siodła. - Achilleusie, daj mi oddział, potem otocz kościół. Nie wpuszczaj ani nie wypuszczaj nikogo, dokąd nie skończę z Wittigisem.

Wkroczył do kościoła na czele stu pancernych. Muzyka zamarła z jękiem, a ludzie zaczęli się odwracać i patrzeć na nich. Przez kilka sekund oczy przywykały mu do półmroku.

Środek wielkiego ośmiokąta zajmował biskup ariański. Stał przed nim ogromny mężczyzna w długiej, bogatej szacie z koroną na ciemnych, siwiejących włosach - król Wittigis. Obok wysoka dziewczyna o cerze jak krew z mlekiem i ciężkich złotych warkoczach - księżniczka Matasunta. Trzecim był prosty gocki żołnierz, nieco wystrojony. Stał za panną młodą i wykręcał jej rękę. Publiczność stanowiła garstka gockich możnych z żonami.

Padway podszedł stanowczo do „nawy. Ludzie kręcili się i szemrali na ławach. Rozległy się głosy:

- Grecy! Grecy w Rawennie!

Biskup podniósł głos:

- Młodzieńcze, co ma znaczyć to wtargnięcie?

- Wkrótce się przekonasz, eminencjo. Od kiedy to wiara ariańska zezwala brać kobietę za żonę bez jej zgody?

- Co takiego? Kto jest brany wbrew woli? Co cię obchodzi ten „ślub? Kim jesteś, że ośmielasz się przerywać...

Padway wybuchnął rozdrażnionym śmiechem:

- Po kolei, proszę! Jestem Martinus Paduei, kwestor króla Thiudahada. Rawenna jest w naszych rękach i rozważne osoby będą zachowywać się odpowiednio. Jeśli chodzi o zaślubiny, to zazwyczaj nie ma potrzeby wyznaczać człowieka do wykrcania pannie młodej ręki, żeby dawała właściwe odpowiedzi. Nie chcesz go poślubić, nieprawdaż, o pani?

Matasunta wyszarpnęła ramię, gdy żołnierz zwolnił chwyt. Zaciśnęła pięść i rąbnęła go w nos, aż głowa zakolebała mu się jak na zawiasach. Potem odwróciła się. Wittigis zrobił unik.

- Ty bestio! Wydrapię ci oczy... Biskup schwycił ją za ramię.

- Uspokój się, córko! Proszę cię, w domu Bożym... Król Wittigis mrugał patrząc na Padwaya, stopniowo chłonąc wiadomości. Atak Matasunty wytrącił go z letargu. Wycharczał:

- Chcesz mi powiedzieć, że ten nędzny gryzipiórek, Thiudahad, zajął miasto? Moje miasto?

- W zarysach tak to wygląda, panie. Obawiam się, że będziesz musiał zrezygnować z pomysłu stania się Amalingiem i rządzenia Gotami, ale...

Twarz Wittigisa stała się ciemnoczerwona. Wybuchnął przerażającym rykiem:

- Ty świni! Myślisz, że oddam koronę i pannę młodą bez walki? Na Jezusa, pošlę cię najpierw w najgorszy kąt piekła! - Mówiąc to podbiegł ciężko do Padwaya, powiewając obrzeżoną złotem szatą. Wyciągnął ze świstem miecz.

Padway nie dał się wziąć przez zaskoczenie. Własnym mieczem odparował z łatwością straszny cios Wittigisa, ale siła uderzenia niemal pozbawiła go zdolności obrony. Znalazł się oko w oko z Gotem, ścisnął beczkowaty tors i przeżuwał szpakowatą brodę przeciwnika. Chciał krzyknąć na ludzi, ale to było tak, jakby usiłował mówić z ustami pełnymi waty. Wypluł z pół tony tego towaru.

- Brać... pff... ghh... brać go, chłopcy! Nie zróbcie mu krzywdy!

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Wittigis walczył jak pojmany goryl, nawet gdy pięciu ludzi uwiesiło się na nim. Ryczał i pinił się przez cały czas. Gocka szlachta wstawała, niektórzy z

rękami na mieczach. Byli jednak w mniejszości. Nie widząc szans powodzenia, żaden nie pragnął umrzeć za króla. Wittigis zaczął szlochać i porykiwać.

- Zwiążcie go, dopóki nie ochłonie - rozkazał bezlitośnie Padway. - Eminencjo, mogę prosić o pióro i papier?

Biskup popatrzył ponuro i wezwał kościelnego, który poprowadził go do pokoju za westybulem. Tutaj Martin usiadł i napisał:

"Martinus Paduei do Thomasusa Syryjczyka. Pozdrowienia.

Drogi Thomasusie, posyłam ci z tym listem osobę Wittigisa, byłego króla Gotów i Italczyków. Eskorta ma rozkaz dostarczyć go do twego domu w tajemnicy, więc wybac mi, jeśli zatrwożą cię, wrywając cię z łóżka.

O ile pamiętam, mamy niewykończoną wieżę telegraficzną przy Via Flaminia, niedaleko Helvillum. Każ, proszę, zbudować niezwłocznie pokój w ziemi pod wieżą i wyposażyć go jak apartament. Uwięź tam Wittigisa pod odpowiednią strażą. Zapewnij mu wszelkie możliwe wygody. Jest, jak sądzę, człowiekiem o zmiennym usposobieniu, a nie chciałbym, żeby zrobił sobie krzywdę.

Przez cały czas ma być przestrzegana największa tajemnica. Nie powinno to sprawić większych trudności, jako że wieża usytuowana jest w drugim zakątku kraju. Roztropnie byłoby dobrać straż spośród ludzi nie znających gockiego ani łaciny. Wolno im będzie wypuścić więźnia tylko na mój rozkaz dostarczony osobiście bądź telegraficznie, bądź bez rozkazu, w przypadku mego uwięzienia lub śmierci.

Wyrazy szacunku, Martin Paduei."

Teraz zwrócił się do Wittigisa:

- Przykro mi, że potraktowałem cię tak brutalnie, panie. Nie wtrącałbym się, gdybym nie wiedział, że to niezbędne dla uratowania Italii.

Wittigis zapadł w przygnębione milczenie. Piorunował go bez słowa wzrokiem.

Padway ciągnął dalej:

- Wiedz, że wyświadczam ci przysługę. Gdyby Thiudahad dostał cię w ręce, umarłbyś... powoli. Nadal nie było odpowiedzi.

- No dobrze, zabierzcie go, chłopcy. Zawińcie go tak, żeby ludzie go nie rozpoznali. Idźcie bocznymi ulicami.

Thiudahad spoglądał wilgotnym wzrokiem na Padwaya.

- Cudownie, cudownie, drogi Martinusie. Rada królewska przyjęła nieuniknione. Jedyne kłopot w tym, że podły uzurpator przerobił moją koronę, iebym pasowała na jego wielką głowę. Będę ją musiał przefasonować na powrót. Teraz mogę poświęcić swój czas prawdziwym badaniom

naukowym. Chwileczkę... Chciałem cię jeszcze o coś zapytać. Co zrobiłeś z Wittigisem? Padway uśmiechnął się łagodnie.

- Jest poza twoim zasięgiem, mój panie i królu. - To znaczy, że go zabiłeś? Bardzo niedobrze? Bardzo nietaktownie postąpiłeś, Martinusie. Mówiłem ci, że obiecałem sobie przyjemny, długi seans z nim w izbie tortur.

- On żyje. I to nawet nieźle.

- Co? Co? Daj go tu, natychmiast!

Padway pokręcił głową.

- Jest tam, gdzie nigdy go nie znajdziesz. Widzisz, pomyślałem sobie, że byłoby głupio marnować dobrego rezerwowego króla. Jeśli coś ci się stanie, mogę na gwałt potrzebować drugiego.

- Jesteś krnąbrny, młodzieńcze! Nie będę tego tolerował! Zrobisz to, co król ci każe, albo...

Padway uśmiechnął się, kręcąc głową.

- Nie, panie. Nikt nie skrzywdzi Wittigisa. Również wobec mnie lepiej nie bądź brutalny. Strażnicy mają rozkaz uwolnić go, gdyby coś mi się stało. A on nie kocha cię bardziej niż ty jego. Reszty sam się domyśl.

- Ty diable! - parsknął jadowicie król. - Czemuż, och czemuż pozwoliłem ci uratować sobie życie? Nie mam chwili spokoju od tego czasu. Mógłbyś mieć trochę względów dla starca - wyjęczał. - Chwileczkę, o czym to ja mówiłem?

- Może o nowej książce, którą mamy wydać pod naszymi nazwiskami. Wspaniała teoria o wzajemnym przyciąganiu mas, wyliczenia ruchów ciał niebieskich, tego rodzaju sprawy. Nazywa się to prawem grawitacji.

- Naprawdę? To niezwykle interesujące, Martinusie, niezwykle interesujące. To rozgłosi moją sławę jako filozofa po krańce świata, czyż nie tak?

Padway zapytał Unilasa, czy siostrzeniec Wittigisa, Urias, przebywa w Rawennie. Unilas przytaknął i wysłał ludzi, by go schwytali.

Urias był wielki i smagły jak jego wuj. Przybył patrząc prowokująco spode łba.

- No i co, Tajemniczy Martinusie, co masz zamiar ze mną zrobić teraz, gdy podstępem obaliłeś mego wuja?

- Nic - stwierdził Padway - chyba, że mnie zmusisz do tego.

- Nie zrobisz czystki wśród krewnych wuja?

- Nie, nawet jego nie "wyczyszczę". W ścisłym zaufaniu powiem ci, że ukrywam Wittigisa, żeby powstrzymać Thiudahada przed zemstą.

- Naprawdę? Mam w to uwierzyć?

- Oczywiście. Dostanę od niego list świadczący o tym, jak dobrze jest traktowany.

- Listy można wydobyć torturami.

- Nie od Wittigisa. Przy wszystkich wadach, jakie ma twój wuj, myślę, że zgodzisz się, że to uparte chłopisko.

Urias wyraźnie się odprężył.

- To już coś. Jeśli to prawda, to mimo wszystko może masz trochę przyzwoitości.

- Wróćmy do sprawy. Co sądzisz o pracy dla nas to znaczy nominalnie dla Thiudahada, a naprawdę dla mnie?

Urias zeszywniał.

- Wykluczone. Oczywiście rezygnuję także z patentu oficerskiego.

- Przykro mi to słyszeć. Potrzebuję zdolnego dowódcy, który zająłby na powrót Dalmację.

Urias potrząsnął uparcie głową.

- To kwestia lojalności. Nigdy nie cofam raz danego słowa.

Padway westchnął.

- Jesteś tak samo nieznośny jak Belizariusz. Tych kilku godnych zaufania i zdolnych ludzi na tym świecie nie chce ze mną współpracować ze względu na wcześniejsze zobowiązania. Muszę zatem walczyć sam w towarzystwie oszustów i półgłówków.

Wyglądało na to, że ciemność zapadnie siłą bezwładności...

Powolutku tymczasowi goście Rawenny rozpływali się jak woda po posadzce. Najwięcej spłynęło na północ. Pięćdziesiąt tysięcy Gotów odmaszerowało z powrotem do Dalmacji. Padway modlił się, żeby Asinar, który w przeciwieństwie do Grippasa miał przebłyski inteligencji, znów nie wpadł na pomysł ucieczki do Italii, zanim zdąży cokolwiek zrobić.

Sam nie śmiał opuścić półwyspu na czas potrzebny do osobistego przejęcia dowództwa kampanii. Zrobił, co mógł, wysyłając z wojskiem część gwardii przybocznej, żeby nauczyła Gotów taktyki konnych łuczników. Asinar mógł oczywiście uznać to za nowomodną bzdurę i zignorować ją, gdy tylko Martin zniknie z pola widzenia, albo kirasjerzy mogli przejść na stronę hrabiego Konstantianusa, albo... Nie ma co martwić się na zapas.

Padway wreszcie znalazł czas, by złożyć kurtuazyjną wizytę Matasuncie. Wmawiał sobie, że chodzi o uprzejmość i nawiązanie pozytywnej znajomości. Wiedział jednak, że w istocie chce jeszcze raz zobaczyć tę słodką dziewczuchę.

Gocka księżniczka przyjęła go łaskawie. Mówiła wyśmienitą łaciną, wysokim, dobrze postawionym, wibrującym kontraltem.

- Dziękuję ci, prześwietny Martinusie, za uratowanie mnie z łap tej bestii. Nigdy nie będę w stanie zrewanżować się odpowiednio.

Przeszli do salonu. Martin stwierdził, że potrafi dotrzymać jej kroku. Była nieomal jego wzrostu.

- Nic takiego, pani, po prostu przybyliśmy w odpowiednim momencie.

- Nie pomniejszaj swojej zasługi, Martinusie. Wiem dużo o tobie. Tylko prawdziwy mężczyzna mógł dokonać tego wszystkiego co ty. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że jesteś cudzoziemcem i przybyłeś do Italii niewiele więcej niż rok temu.

- Zrobiłem, co do mnie należało, księżniczko. Może to wywierać wrażenie na innych, ale dla mnie to nic innego jak splot okoliczności, który pchał mnie do działania bez względu na chęci.

- Fatalistyczna teoria, Martinusie. Prawie wierzę, że jesteś poganinem. Co zresztą nie miałoby dla mnie znaczenia.

Padway roześmiał się.

- Nietrudno tak myśleć. W dalszym ciągu znajdzie się pogan, jeśli przeszukać dobrze italskie wzgórza. - Bez wątplenia. Chciałabym pewnego dnia odwiedzić kilka małych wiosek. Oczywiście z dobrym przewodnikiem.

- Ze mnie całkiem niezły przewodnik po tych paru miesiącach włóczęgi.

- Zabierzesz mnie? Uważaj, trzymam cię za słowo! - To mnie nie martwi, księżniczko. Ale pojedziemy kiedyś, w przyszłości. Teraz Bóg jeden wie, czy starczy mi czasu na cokolwiek innego niż wojna i polityka. Żadna z tych rzeczy nie jest odpowiednim dla mnie zajęciem.

- Co zatem jest?

- Byłem kolekcjonerem faktów. Taki rodzaj historyka okresu, który nie ma historii. Myślę, że można mnie nazwać filozofem dziejów.

- Jesteś fascynujący, Martinusie. Rozumiem teraz, dlaczego nazywają cię tajemniczym. Ale, jeśli nie lubisz wojny i polityki, to dlaczego się w nie angażujesz?

- Trudno to będzie wyjaśnić, pani. W moim kraju miałem okazję studiować wzrost i zmierzch wielu cywilizacji. Rozglądam się tu wokół i widzę symptomy upadku.

- Doprawdy? To dziwne. Oczywiście, mój własny lud i barbarzyńcy w rodzaju Franków zajęli większą część Cesarstwa Zachodniego, ale nie są groźni dla cywilizacji. Bronią jej przed prawdziwymi dzikusami jak bułgarscy Hunowie i Słowianie. Trudno sobie wyobrazić czasy, kiedy nasza zachodnia kultura była bezpieczniejsza.

- Masz prawo wypowiadać taką opinię, pani. Ja jedynie wiążę dostępne fakty i wyciągam z nich wnioski. Fakty takie, jak spadek zaludnienia Italii mimo gockiej imigracji, tonaż frachtu i inne.

- Fracht? Nigdy nie sądziłam, że w ten sposób można oceniać cywilizację. To nie wyjaśnia moich wątpliwości.

- Triggws, że użyję słowa z twojego języka. No cóż, chcę powstrzymać nadejście mroków barbarzyństwa nad Zachodnią Europę. To wygląda na zarozumiałość, że jeden człowiek chce dokonać czegoś takiego, ale można spróbować. Jedną ze słabości naszej obecnej sytuacji jest powolna łączność. Stworzyłem zatem kompanię telegraficzną, a że moimi poplecznikami są rzymscy patrycjusze podejrzani o progreckie sympatie, zwała mi się na kark polityka. Jedno wynika z drugiego. Dziś, w praktyce, rządę Italią.

Matasunta popatrzyła w zamyśleniu.

- Sądzę, że kłopot z powolnymi środkami łączności polega na tym, że jakiś generał może się zbuntować albo najeżdźca przekroczyć granicę i minąć tygodnie, zanim rząd dowie się o tym.

- Racja. Widzę, że wdałaś się w matkę. Gdybym nie bał się, że cię urażę, powiedziałbym, że masz umysł mężczyzny.

Uśmiechnęła się.

- Wręcz przeciwnie, byłoby mi bardzo miło, jeśli byłby to mężczyzna taki jak ty. Większość tych tutaj... ba! Wrzaskliwe dzieciaki bez oleju w głowie. Wyjdę tylko za... jakby to rzec... człowieka czynu, a zarazem myślącego.

Popatrzyli sobie w oczy. Padwayowi serce mocniej zabiło.

- Mam nadzieję, że znajdziesz takiego, księżniczko.

- Może już znalazłam.

Usiadła wyprostowana i patrzyła na niego niemal wyzywająco, zupełnie nieświadoma zmieszania, jakiego on doznaje. Spozrzegł, że nowa poza wcale nie ujmuje jej ponętności. Wręcz przeciwnie.

- To jeden powód - ciągnęła - dla którego jestem ci wdzięczna za uratowanie mnie z łap tej bestii. Wśród tych tępotnych durniów miał najgrubszą czaszkę. Przy okazji, co się z nim stało? Nie udawaj niewiniątka, Martinusie. Wszyscy wiedzą, że twoi gwardziści zabrali go do westybulu kościoła, a potem nagle zniknął.

- Jest bezpieczny. Zarówno ze swojego, jak i naszego punktu widzenia.

- Chcesz powiedzieć, że go ukryłeś? Śmierć jest najlepszym zabezpieczeniem.

- Mam powody, dla których nie chcę go zabić. - Doprawdy? Uczciwie cię uprzedzam, że jeśli wpadnie w moje ręce, znajdę powody, żeby to zrobić.

- Nie jesteś troszkę za surowa dla biednego Wittigisa? On tylko próbował, na swój głupi sposób, obronić królestwo.

- Możliwe, ale po tym przedstawieniu w kościele znenawidziłam go. - Szare oczy były zimne jak lód. Nie umiem nienawidzić połową duszy.

- Rozumiem - odparł oschle Padway wytrącony na moment z rozmarzenia. Ale Matasunta znów się uśmiechnęła, znów była kształną i ponętną kobietą.

- Zostaniesz, oczywiście na obiedzie? Będzie niewielu gości i szybko sobie pójdą.

- Ale... - Miał jeszcze mnóstwo pracy wieczorem i musiał się wreszcie wyspać; bezsenność stawała się chroniczna. - Dziękuję ci, pani, jestem zachwycony.

Za trzecim razem, gdy odwiedził Matasuntę, pomyślał, że to prawdziwa kobieta: świetna prezencja, silny charakter, bystry umysł. Mężczyzna, który ją dostanie, wygra swój szczęśliwy los. Dlaczego nie miałby to być właśnie on? Wygląda na to, że go lubi. Z jej poparciem nie byłoby rzeczy nie do zrobienia. Owszem, jest troszkę krwiożercza. Nie można jej raczej nazwać słodką dziewczynką, ale to czasy, w których żyje, tak ją ukształtowały. Ustatkuje się, gdy znajdzie kogoś, kto podejmie za nią ciężar walki.

Innymi słowy, Padway zakochał się po uszy na swój racjonalny i powściągliwy sposób.

Ale jak ożenić się z gocką księżniczką? Nie można jej wziąć na przejażdżkę samochodem i scałować szminkę z ust, uruchamiając jednocześnie starter. Odpada też znajomość z liceum (tak poznał Betty). Matasunta była sierotą, nie mógł zatem poznać się z jej starym. Pomyślał, że jedynym sposobem będzie poruszyć temat w odpowiednich okolicznościach i czekać na reakcję.

- Matasunto - zagadnął - moja droga, kiedy mówiłaś o typie mężczyzny, którego chciałybyś poślubić, to miałaś na myśli jeszcze jakieś cechy szczególne?

Uśmiechnęła się do niego, a pokój lekko zafalował. - Ciekawys, Martinusie? Nie myślałam o wielu więcej niż te, które wymieniłam. Oczywiście nie powinien być wiele starszy ode mnie, tak jak Wittigis.

- I nie musiałby być dużo wyższy?

- Nie, byle nie był pokurczem.

- A masz coś przeciw dużym nosom? Roześmiała się gardłowo.

- Martinusie, jesteś taki zabawny. Myślę, że to dlatego, iż tak się różnimy. Zawsze dążę prosto do celu, czy to miłość, czy zemsta, czy cokolwiek innego.

- A co ja robię?

- Obchodzisz sprawę wokół i zaglądasz w każdy kącik. Potem przez tydzień kalkulujesz, czy wystarczająco bardzo chcesz, żeby zaryzykować. - Dodała szybko: - Nie mam ci tego za złe. Dlatego cię lubię.

- Miło mi. A co do nosów...

- Naprawdę to nie ma znaczenia! Myślę, że na przykład twój wygląda arystokratycznie. Nie mam też nic przeciwko małym rudym bródkom, falistym brązowym włosom i w ogóle rysom twarzy zdumiewającego młodzieńca o imieniu Martinus Paduei. Do tego zmierzałaś, czyż nie?

Martin poczuł wielką ulgę. Ta cudowna kobieta wychodzi naprzeciw, żeby ułatwić mu sytuację.

- W rzeczy samej, księżniczko.

- Nie trzeba być tak trwożliwie pełnym szacunku, Martinusie. Poznać cudzoziemca po tym skrupulatnym używaniu odpowiednich tytułów i epitetów.

Padway uśmiechnął się.

- Nie chcę ryzykować, rozumiesz. No cóż, widzisz, to jest tak. Ja... hm... zastanawiałem się... hm... czy spodobałby ci się te... hm... cechy szczególne, czy nie zechciałybyś poznać... hm, hm...

- Czy przypadkiem nie masz na myśli miłości?

- Tak! - krzyknął.

- Mogłabym spróbować.

- Kiedy?! - Padway wytarł czoło.

- Potrzebuję nauki. Żyłam pod kloszem, mało znam świat.

- Przejrzałem ustawy - szybko powiedział Padway. - I o ile jest tam rozporządzenie przeciw małżeństwom gocko-italskim, to nie wspomina się o Amerykanach, więc...

- Słyszałabym cię lepiej, drogi Martinusie - przerwała Matasunta - gdybyś usiadł bliżej.

Padway podszedł i usiadł obok.

- Edykty Teodoryka... - zaczął znowu.

Powiedziała łagodnie:

- Znam prawo, Martinusie. Nie w tej kwestii potrzebuję pouczenia.

Padway stłumił skłonność do rozpaczliwego gadania na obojętne tematy, którym zazwyczaj pokrywał wzburzenie emocjonalne.

- Kochanie, to będzie twoja pierwsza lekcja. - Pocałował ją w rękę.

Miała półprzymknięte oczy, lekko rozchylone usta, oddychała szybko i płytko. Wyszeptała:

- Czy Amerykanie również ćwiczą sztukę całowania?

Objął ją i rozpoczął drugą lekcję.

Matasunta otworzyła oczy, zatrzepotała rzęsami i potrząsnęła głową.

- To było głupie pytanie. Amerykanie wyprzedzają nas o całą długość. Cóż za pomysły wkładasz do głowy niewinnej dziewczynie. - Roześmieli się radośnie.

- Jestem bardzo szczęśliwy, księżniczko.

- Ja też, mój książę. Gdy sobie pomyślę, że mogłam cię nie spotkać... - Znow przytuliła się do niego.

Usiadła prosto i poprawiła włosy. Powiedziała energicznym, rozważnym tonem:

- Wiele rzeczy trzeba ustalić, zanim ostatecznie się zdecydujemy. Na przykład, co z Wittigisem?

- Co z nim?

- Trzeba go oczywiście zabić.

- Hę?

- Nie "hę", mój drogi. Ostrzegałam cię, że nienawidzę całą duszą, a nie połową. Thiudahada też.

- Dlaczego?

- Zamordował moją matkę, nieprawdaż? - Wyprostowała się nachmurzona. - Czego więcej potrzeba? I ostatecznie będziesz chciał sam zostać królem.

- Nie będę chciał.

- Nie chcesz być królem? Ależ, Martinusie!

- To nie dla mnie, kochanie. Zresztą, nie jestem Amalingiem.

- Jako mój mąż będziesz nim.

- Nadal nie chcę...

- Posłuchaj, kochanie, tobie się tylko w y d a j e , że nie chcesz. Zmienisz zdanie. Jeśli już o tym mowa, to jest jeszcze ta twoja była służąca. Dziewka ma chyba na imię Julia...

- Co wiesz... co o niej wiesz?

- Wystarczająco dużo. Kobiety o wszystkim się dowiedzą... wcześniej czy później.

Padway poczuł nagły chłód.

- Ale... ale...

- Posłuchaj, Martinusie, to mała przysługa, o którą prosi cię twoja narzeczona. I nie myśl że ktoś taki, jak ja byłby zazdrosny u zwykłą służącą. Byłoby to jednak poniżające dla mnie, gdyby ona żyła po naszym ślubie. To nie musi być bolesna śmierć. Trochę szybko działającej trucizny...

Padway miał twarz bez wyrazu jak właściciel domu czynszowego na wzmiankę o karaluchach. W głowie mu się zakręciło. Nie było końca słodkim planom Matasunty. Bieliznę miał wilgotną od zimnego potu.

Teraz wiedział, że ani trochę jej nie kocha. Niech jakiś ryczący Got bierze sobie tę dziką blond Walkirię! Wolał dziewczyny mniej bezpośrednio dążące do celu. I żaden agent ubezpieczeniowy nie dałby polisy członkowi klanu Amalów z ich ciemną i krwawą przeszłością.

- I co? - spytała Matasunta.

- Właśnie myślę. - Padway nie dodał oczywiście, że myślał o tym, jak się wydostać z tarapatów.

- Przypomniałem sobie - powiedział powoli - że mam żonę w Ameryce.

- No, doskonały moment, żeby o t y m pomyśleć stwierdziła oziębło.

- Dawno jej nie widziałem.

- W końcu są rozwody.

- Nie w mojej religii. My, kongregacjoniści, wierzymy, że jest specjalny przedział w piekle, gdzie smaży się rozwodników.

- Martinusie! - Jej oczy płonęły jak pochodnie na wietrze. - Boisz się i próbujesz się wycofać. Żaden mężczyzna nie śmie zrobić mi tego i żyć potem, by mówić...

- Nie, wcale nie! - krzyczał Padway. - Nic z tych rzeczy, kochanie! Będę brodził przez rzeki krwi, by stanąć przy tobie.

- Hmm. Bardzo ładna mowa, Martinusie Paduei. Praktykujesz to na wszystkich dziewczynach?

- Mówię prawdę. Szaleję za tobą.

- To dlaczego nie czynisz tak, jak...

- Jestem ci oddany. To głupota z mojej strony, że nie pomyślałem wcześniej o tej przeszkodzie.

- Czy naprawdę mnie kochasz? - złagodniała trochę.

- Ależ oczywiście! Nie znałem jeszcze żadnej kobiety, takiej jak ty! - To ostatnie było prawdą. - Ale fakty pozostają faktami.

Matasunta potarła czoło, wyraźnie walcząc z emocjami. Wreszcie zapytała:

- Jeśli nie widziałeś jej od tak dawna, skąd wiesz, czy jeszcze żyje?

- Nie wiem, ale może żyje. Wiesz, jak surowe są wasze prawa w przypadku bigamii. Edykty Atalaryka, paragraf szósty. Sprawdziłem to.

- Zapewne - rzekła z goryczą. - Czy ktokolwiek w Italii wie o tej twojej amerykańskiej suce?

- Nie, ale...

- Czy nie jesteś troszkę niemądry, Martinusie? Komu ona zawadza, jeśli jest gdzieś na krańcu świata?

- Religia.

- Och! Niech diabli porwą kapłanów! Będę miała w ręku arian, gdy dojdziemy do władzy. Jeśli chodzi o katolików, to masz przecież wpływ na biskupa Bolonii, a to znaczy dostęp do papieża.

- Nie chodzi o kościoły. To sprawa osobistych przekonań.

- Taki realnie myślący facet, jak ty? Bzdura, to znowu wymówki...

Padway, widząc znów ogień w jej oczach, przerwał:

- Chwileczkę, Matasunto, nie chcesz chyba zacząć sporu religijnego. Zostaw w spokoju moje credo, a ja nie powiem słowa przeciw twojemu. Właśnie myślę o rozwiązaniu.

- I co?

- Wyślę gońca do Ameryki, żeby sprawdził, czy moja żona żyje.

- Jak długo to potrwa?

- Tygodnie, może miesiące. Jeśli naprawdę mnie kochasz, poczekasz.

- Będę czekać - zgodziła się bez zapału. Spojrzała ostro. - A jeśli goniec zastanie ją żywą?

- Będziemy się o to martwić w odpowiednim czasie.

- Nie będziemy. Teraz to załatwimy.

- Słuchaj, kochanie, nie ufasz przyszłemu mężowi? Więc...

- Nie wykręcaj się, Martinusie. Jesteś śliski jak bizantyjski adwokat.

- W tym przypadku, jak sądzę, ryzykuję swoje wieczne...

- Ach, Martinusie! - zawołała radośnie. - Jak to niemądrze, że nie spostrzegłam od razu rozwiązania! Pouczysz gońca, żeby ją otruił. Takie rzeczy można zawsze dyskretnie przeprowadzić.

- To jest pomysł!

- Proste, nieprawdaż? Wolę to od zwykłego rozwodu, z uwagi na moje dobre imię. Już po naszych kłopotach! - Objęła go gwałtownie.

- Rzeczywiście, po kłopotach - przyznał Martin wyraźnie bez przekonania. - Kontynuujmy lekcję, kochanie. - Pocałował ją, starając się tym razem pobić rekord.

Uśmiechnęła się do niego i westchnęła ze szczęścia.

- Nie pocałujesz więcej innej kobiety, mój kochany.

- Nawet o tym nie pomyślę, księżniczko.

- Lepiej nie próbuj. Wybaczysz mi, drogi mój, że cię troszeczkę niepokoiłam. Jestem niewinną młodą dziewczyną, która nie zna świata i nie ma silnej woli.

Padway pomyślał, że przynajmniej nie on jeden tutaj kłamie. Wstał pociągając ją za sobą.

- Muszę iść. Zaraz wyślę gońca. Jutro wyjeżdżam do Rzymu.

- Och, Martinusie! Na pewno nie musisz jechać. Tylko ci się tak wydaje.

- Naprawdę muszę. Sprawy państwowe, rozumiesz. Będę myślał o tobie przez cały czas. -

Ucałował ją. Bądź dzielna, kochanie. No, uśmiechnij się teraz.

Uśmiechnęła się przez łzy i przycisnęła się do niego, aż mu dech zaparło.

Kiedy wrócił na kwaterę, wyciągnął z łóżka ordynansa, armeńskiego kirasjera.

- Włóż prawy but - rozkazał.

Sługa przetarł oczy.

- Prawy but? Czy dobrze cię zrozumiałem, szlachetny panie?

- Dobrze. No, dalej. - Kiedy żółty bucior jeździecki był już naciągnięty, Padway odwrócił się i schylił. Powiedział przez ramię: - A teraz szybko kopnij mnie w zadek, mój dobry Tirdacie.

Tirdat aż otworzył usta.

- Mam kopnąć mojego dowódcę?

- Rób, co usłyszałeś. Naprzód. Już.

Tirdat niezdecydowany, przestępował z nogi na nogę. Wreszcie, na złe spojrzenie Padwaya, wziął zamach i kopnął. Martin o mało nie upadł. Wyprostował się, pocierając okolice kości ogonowej.

- Dziękuję Tirdacie, możesz wracać do łóżka. Podeszedł do miski, by umyć zęby gałązką wierzby. Pomyślał, że musi zacząć wkrótce produkować prawdziwe szczoteczki do zębów. Poczul się znacznie lepiej.

Padway nie zdołał wyjechać do Rzymu następnego dnia ani dzień później. Zaczął rozumieć, że stanowisko królewskiego kwestora to nic tylko przyjemne, dobrze płatne zajęcie, które pozwala dyrygować ludźmi i robić, co się zechce. Najpierw Wakkis, syn Thurumunda, gocki szlachcic z rady królewskiej, przybył z pobieżnym szkicem poprawki do ustawy przeciw kradzieży koni.

Wyjaśnił: - Wittigis zgodził się na zmianę prawa, ale przewrót wydarzył się, zanim je wprowadził. Zatem, prześwietny Martinusie, do ciebie należy przedyskutowanie sprawy z Thiudahadem. Wyłóż poprawkę używając terminów prawnych i postaraj się przyciągnąć uwagę króla na wystarczająco długi czas, żeby to podpisał. - Tu Wakkis uśmiechnął się. - I niech ci wszyscy święci pomagają, jeśli będzie w przekornym nastroju.

Padway nic wiedział, co do diabła zrobić, więc odnalazł Kasjodora, który jako szef italskiej służby państwowej, był zorientowany w tych sprawach. Stary uczony okazał się wielce pomocny. Trzeba było jedynie usunąć parę kwiecistych sformułowań prefekta.

Zaprosił Uriasa na obiad. Urias przyszedł i był nawet dość przyjazny. choć nadal miał za złe sposób obejścia się z wujem. Spodobał się Padwayowi. Pomyślał, że nie może przecież wiecznie robić nadziei Matasuncie. I do tego nic ośmieliłby się zdjąć inną dziewczyną, gdy tamta wciąż uważa go za narzeczonego. A ten facet jest duży, dobrze wygląda, wydaje się inteligentny... Gdyby udało się zaaranżować małżeństwo...

Zapytał Uriasa czy jest żonaty. Ten uniósł brwi.

- Nie, a co?

- Tylko pytam. Co masz zamiar teraz zrobić?

- Nie wiem. Zaszycę się na wsi w moich dobrach w Picenum.

- Spotkałeś kiedy księżniczkę Matasuntę? - upewniał się Martin.

- Oficjalnie nie. Przyjechałem do Rawenny na parę dni, na wesele. Widziałem ją w kościele, kiedy wtargnąłeś. To atrakcyjna dziewczyna, prawda?

- Zgadza się. Warto ją poznać. Jeśli chcesz, mogę zorganizować spotkanie.

Gdy tylko Urias poszedł, Padway pognął do Matasunty. Kombinował, jak mógł, żeby to wyglądało na niewinną wizytę. Zaczął tłumaczyć:

- Sprawy się odwlekły, kochanie. Nie mogę pojechać do Rzymu mhm... - Matasunta objęła go i przerwała rozmowę bardzo skuteczną metodą. Padway nie śmiał być oziębłym. Zresztą wcale nie musiał udawać. Problem w tym, że nie mógł logicznie myśleć w momencie, gdy potrzebował całych swych sił i zdolności rozumowania, a tymczasem namiętne dziewczę miało ochotę całować go bez końca. Wreszcie się odezwała:

- Czy coś mówiłeś, najdroższy?

Padway dokończył zdanie:

- Tak więc pomyślałem, że wpadnę na chwilę. Roześmiał się. - Może to i lepiej, że jadę do Rzymu. I tak niczego nie zdziałam, jak długo jestem z tobą. Przy okazji, czy znasz Uriasa siostrzeńca Wittigisa?

- Nie. I chyba nie zechcę go poznać. Kiedy zabijemy Wittigisa, będziemy musieli, oczywiście, rozważyć wybicie jego krewnych. Taki głupi przesąd - nie lubię mordować ludzi, których znam towarzysko.

- Ależ, moja droga, to nieporozumienie. To wspaniały młodzieniec. Naprawdę go polubisz. To człowiek z rozumem i z charakterem, prawdopodobnie jedyny Got, który ma obie te rzeczy na raz.

- No cóż, nie wiem...

- Potrzebuję go, tylko że on ma skrupuły i nie chce dla mnie pracować. Myślałem, że może byś się do niego uśmiechnęła, to trochę zmięknie.

- Jeśli myślisz, że naprawdę mogę ci pomóc, to może...

I tak, gocka księżniczka zaprosiła tego wieczoru Padwaya i Uriasa na wykwinną kolację. Z początku Matasunta zachowywała rezerwę wobec Uriasa, ale gdy wypili sporo wina, odprężyła się. Urias był dobrym kompanem. Niebawem wszyscy śmieli się do rozpuku, gdy udawał pijanego Huna. Padway opowiadał naprędce przetłumaczone kiepskie anegdotki i nauczył współbiesiadników dwóch ludowych piosenek greckich, które jego ordynans Tirdat przywiózł z Konstantynopola. Gdyby nie pewien niepokój o powodzenie intrygi, mógłby powiedzieć, że bawił się, jak nigdy w życiu.

W Rzymie Padway odwiedził pojmanyh generałów cesarskich. Byli wygodnie zakwaterowani i wydawali się zadowoleni z sytuacji. Tylko Belizariusz chodził ponury i roztargniony. Wymuszona beczynność nie pasowała do charakteru byłego naczelnego wodza.

Padway zagadnął go:

- Jak nietrudno zauważyć, wkrótce będziemy tu mieli wcale potężne państwo. Zmieniłeś może zdanie i przyłączysz się do nas?

- Nie, panie kwestorze, nie zmieniłem. Przysięga to przysięga.

- Nigdy w życiu nie złamałeś przysięgi?

- Nigdy świadomie.

- Czy gdybyś dla jakichś przyczyn złożył mi przysięgę, czułbyś się nią równie mocno związany jak innymi?

- Oczywiście, ale to śmieszne przypuszczenie.

- Może. Co by było, gdybym dał ci glejt i przewóz z powrotem do Konstantynopola pod warunkiem, że nigdy nie podniesiesz broni przeciw królestwu Gotów i Italczyków?

- Jesteś przebiegłym i zaradnym człowiekiem, Martinusie. Dziękuję za propozycję, ale nie mogę pogodzić jej z przysięgą złożoną Justynianowi. Dlatego muszę ją odrzucić.

Padway powtórzył ofertę innym generałom. Konstantianus, Perianus i Bessas przystali na nią natychmiast. Martin rozumował następująco: ci trzej to tylko przeciętnie uzdolnieni dowódcy. Justynian znajdzie takich więcej, nie ma więc sensu trzymać ich nadal. Oczywiście złamią przysięgę, gdy tylko znajdą się poza zasięgiem jego władzy. Belizariusz zaś to prawdziwy geniusz wojenny. Nie wolno mu pozwolić jeszcze raz wojować z królestwem. Albo zgodzi się na współpracę, albo da słowo - na pewno go nie złamie - albo trzeba będzie trzymać go w areszcie.

Z drugiej strony Justynian, człowiek niegłupi, ale o lekko spaczonym umyśle, był bezsensownie zazdrosny o sukcesy Belizariusza i jego cokolwiek sztywną uczciwość. Gdy cesarz dowie się, że Belizariusz wolał pozostać w Rzymie, zamiast dać słowo, które powinien potem złamać, może tak się rozżłościć, że zrobi coś ciekawego.

Padway napisał list:

"Król Thiudahad do cesarza Justyniana, pozdrowienia.

Wasza najjaśniejsza wysokość, wysyłamy wam wraz z listem osoby waszych generałów: Konstantianusa, Perianusa i Bessasa pod słowem, że nie podniósł przeciw nam oręża. Podobny

warunek proponowano waszemu generałowi Belizariuszowi. Nie zaakceptował go ze względu na poczucie honoru osobistego.

Jako że kontynuowanie wojny nie da konstruktywnych rezultatów, wykorzystajmy okazję dla rozważenia rozsądnych warunków trwałego pokoju.

1. Wojska cesarskie opuszczą bezzwłocznie Sycylię i Dalmację.
2. Zostanie wypłacone odszkodowanie za straty poniesione w wyniku działań waszych wojsk najeźdźczych w wysokości stu tysięcy solidów w złocie.
3. Postanowimy nigdy nie wypowiedać sobie wojny bez wcześniejszych dwustronnych konsultacji. Szczegóły ustali się w drodze rokowań.
4. Postanowimy nie wspomagać ludźmi, pieniędzmi bądź zaopatrzeniem stron trzecich, które w przyszłości mogą prowadzić z nami wojnę.
5. Postanowimy zawrzeć traktat handlowy, który by ułatwił wymianę towarów pomiędzy naszymi królestwami.

To oczywiście szkic. Szczegóły zostaną ustalone na konferencji przez naszych reprezentantów. Myślimy, że zgodzicie się, iż te warunki lub inne podobnej treści, to najmniejsze, czego możemy żądać w danej sytuacji.

Oczekujemy waszej łaskawej odpowiedzi w najkrótszym dogodnym dla waszej najjaśniejszej wysokości czasie,

przez Martinusa Padueia, kwestora."

Gdy Thomasus zobaczył, kto jest jego gościem, wstał z chrząknięciem i kołysząc się podszedł z wyciągniętymi rękami i z błyskiem w zdrowym oku.

- Martinus! Miło cię znowu widzieć. Jak się czujesz jako ważna persona?
- Czuję się zmęczony - odrzekł Padway ściskając mu rękę. - Jakie nowiny?
- Nowiny? Nowiny? Słuchajcie go! Sam jest największym źródłem nowin w całej Italii przez ostatnie dwa miesiące i chce wiedzieć, co nowego!
- Myślę o naszym ptaszku w klatce.
- Hę? A, o to ci chodzi. - Thomasus rozejrzył się ostrożnie. - Były król Wittigis? Miewa się świetnie, według ostatnich raportów, chociaż nie można od niego wydobyć uprzejmego słowa. Posłuchaj, Martinusie, ze wszystkich cholernych pomysłów, o których kiedykolwiek słyszałem, pomysł ukrycia go u mnie bez ostrzeżenia był najgorszy. Jestem pewien, że Bóg podziela moje zdanie. Ci wojacy wyciągnęli mnie z łóżka, a potem razem z więźniem przez kilka dni okupowali mój dom.

- Przykro mi, Thomasusie, ale jesteś jedynym człowiekiem w Rzymie, do którego mam całkowite zaufanie. - No dobrze, skoro tak to przedstawiasz. Ale Wittigis to najgorszy zrzęda, jakiego w życiu widziałem. Nic go nie zadowalało.

- Jak idzie z kompanią telegraficzną?

- To inna sprawa. Linia neapolitańska działa regularnie, ale linie do Rawenny i Florencji będą ukończone dopiero za miesiąc i do tego czasu nie ma nadziei na zysk. Poza tym udziałowcy będący w mniejszości odkryli, że są mniejszością. Żebyś słyszał, jak ryczeli! Pragnęli twojej krwi. Z początku był z nimi hrabia Honorius. Zagroził, że uwięzi Vardana, Ebenezera i mnie, jeśli nie sprzedamy mu - to znaczy nie damy - pakietu kontrolnego, ale dowiedzieliśmy się, że potrzebuje pieniędzy bardziej niż akcji, i odkupiliśmy je. Inni patrycjusze też muszą zadowolić się zadzieraniem nosa, gdy mijają nas na ulicy.

- Mam zamiar założyć nową gazetę, gdy tylko znajdę na to czas - powiedział Padway. - Będą dwie. Jedna w Rzymie, jedna we Florencji.

- Dlaczego we Florencji?

- Tam będzie nasza nowa stolica.

- Co?!

- Tak. Jest lepiej położona niż Rzym, jeżeli wziąć pod uwagę drogi i inne sprawy. Ma znacznie lepszy klimat niż Rawenna. Prawdę powiedziawszy, nie mogę sobie wyobrazić miejsca, które miałyby gorszy, łącznie z piekłem. Sprzedałem pomysł Kasjodorowi. Wspólnymi siłami wymogliśmy na Thiudahadzie przeniesienie urzędów. Jeśli król chce trzymać dwór w Mieście Mgieł, Żab i Błota, to jego sprawa. Będę bardzo zadowolony nie mając go za kołnierzem.

- Za kołnierzem? Ach, cha, cha, cha! Wesoły z ciebie facet, Martinusie. Chciałbym tak umieć opowiadać żarciki jak ty, ale ta cała działalność odbiera mi dech. Jaka jeszcze rewolucję planujesz?

- Chcę spróbować otworzyć szkołę. Mamy stado nauczycieli na państwowych poborach, ale znają się tylko na gramatyce i retoryce. Chciałbym, żeby nauczano rzeczy naprawdę ważnych: matematyki, nauk przyrodniczych, medycyny. Będę musiał sam napisać podręczniki.

- Tylko jedno pytanie, Martinusie. Kiedy ty śpisz?

Padway uśmiechnął się blado.

- Zazwyczaj nigdy, ale jak tylko uda mi się uwolnić od działalności politycznej i wojskowej, mam nadzieję odrobić zaległości. Naprawdę tego nie lubię, ale trzeba dążyć do osiągnięcia jakiegoś wyniku. Takiego jak telegraf i prasa. Po moim politykowaniu i wojaczkach być może nic nie zostanie za sto lat. Chciałbym, żeby inne rzeczy przetrwały. - Zbierając się już do wyjścia zapytał: - Czy Julia z Apulii nadal pracuje u Ebenezera Żyda?

- Tak, a co? Chcesz, żeby wróciła?

- Boże broń! Ma zniknąć z Rzymu.

- Dlaczego?

- Dla jej własnego bezpieczeństwa. Nie mogę ci jeszcze o tym powiedzieć.

- Myślałem, że jej nie lubisz.

- To nie znaczy, że chcę jej śmierci. Dopóki nie pozbędziemy się jej z miasta, i moja skóra może być w niebezpieczeństwie.

- O Boże! Czemuś pozwolił pni mieszać się do polityki? To nie takie łatwe, Martinusie. Jest wolną obywatelką...

- Co z twoim kuzynem w Neapolu, Antiochusem? Sprawię, że opłaci mu się ją zatrudnić za wyższą gażę.

- No cóż...

- Każ jej podjąć pracę u Antiochusa pod innym imieniem. Załatw to po cichu, stary. Jeśli wiadomość przecieknie, wpadniemy jak śliwka w kompot.

- Śliwka w kompot? Ha, ha. Bardzo śmieszne. Zrobię, co będę mógł. A teraz, co do tego twojego starego weksla sprzed sześciu miesięcy...

O, rany, pomyślał Padway, znowu się zaczyna. Thomasus był zazwyczaj łatwy we współżyciu, ale nie chciał albo nie umiał przeprowadzić najprostrzej transakcji finansowej bez trzygodzinnego, szalonego dobijania targu. Chyba to po prostu lubił. Padway nie.

Jadąc znów drogą do Florencji, Padway żałował, że będąc w Rzymie nie zobaczył się z Dorotheą. Nie ośmielił się. To jeszcze jeden powód, żeby szybko wydać za mąż Matasuntę. Dorothea jest stosowniejsza dla niego, a przy tym nie mniej efektowna. Nie był w niej zakochany, ale prawdopodobnie będzie, gdy lepiej ją pozna. Tak sobie na zimno kalkulował.

Ale teraz ma za dużo innych zajęć. Jeśli tylko znajdzie czas na odpoczynek, odeśpi zarwane noce, zajmie się tym, co go naprawdę interesuje, i trochę się rozerwie! Lubił rozrywkę jak każdy normalny człowiek, nawet jeśli ten "normalny człowiek" uznałby jego poglądy w tej kwestii za cokolwiek osobliwe.

Ale czynna natura pchała go do akcji. Wiedział, że jego pozycja spoczywa na kruchej podstawie wpływu, jaki wywiera na starego, nielubianego króla. Dopóki zadowala Gotów, nie będą się mieszać, przyzwyczajeni pozostawiać administrację w rękach obcoplemieńców. Co będzie, gdy Thiudahad umrze? Padway miał jeszcze wiele siana do zwiezienia, a chmury burzowe wisiały już nad stodołą.

We Florencji Martin przekazał czynności urzędowe i zajrzał do swego przedsiębiorstwa. Tym razem rachunki nie wykazywały nieprawidłowości. Albo chłopcy już nie kradli, albo nauczyli się to ukrywać.

Fritharik ponowił prośbę o wyjazd z Padwayem. Pokazał z dumą swój wysadzany klejnotami miecz. Spłacił dług i posłał po niego do Rzymu. Oręż rozczarowała Padwaya. Kamienie nie miały szlif, były zaledwie polerowane. Sztuka jubilerska jeszcze nie zdążyła się rozwinąć. Mimo to Fritharikowi odzyskana broń dodawała jakby wielkości do i tak imponującej postawy. Martin, wbrew sobie, ustąpił. Mianował kompetentnego i najwyraźniej uczciwego Nervę dyrektorem naczelnym.

W dwudniowej przeprawie przez Apeniny późna burza ob:epiła ich śniegiem. Przybyli do Rawenny jeszcze szczękając zębami. Wilgotny klimat miasta i intrygi przygnębiły Padwaya. Denerwowała go sprawa Matasunty. Odwiedził ją z nieszczerymi objawami miłości. Pragnął wyjechać, było jednak wiele spraw państwowych do załatwienia.

Urias zgłosił gotowość wstąpienia na służbę.

- Namówiła mnie Matasunta. To wspaniała kobieta, nieprawdaż?

- O, z pewnością - odrzekł Padway. Wyczuł jakby cień poczucia winy w słowach prostolinijnego Uriasa, gdy ten mówił o księżniczce. Uśmiechnął się w duchu. - Mam pomysł zorganizowania stałej szkoły wojskowej na wzór bizantyjski, która by kształciła gockich oficerów. Ty stanąłbyś na czele.

- Co? Słowo daję, miałem nadzieję, że wyznaczysz mi dowództwo na granicy.

A więc, myślał Martin, nie on jeden nie lubi Rawenny. - Nie, mój drogi panie. To musi być zrobione dla dobra królestwa. Sam się nie podejmę, bo Goci uważają, że tylko oni znają się na wojnie. Poza tym potrzebuję wykształconego, inteligentnego człowieka, żeby poprowadził te sprawy. Ty jesteś jedyny w zasięgu wzroku.

- Ale, najświetniejszy Martinusie, próbowałeś kiedy nauczyć czegokolwiek gockiego oficera? Przyznaję, że szkoła jest potrzebna, ale...

- Wiem, wiem. Większość nie umie czytać i pisać i patrzą z góry na tych, którzy umieją. Dlatego wybrałem ciebie. Jesteś poważany i jeśli ktokolwiek może nalać im oleju do głowy, to właśnie ty. - Uśmiechnął się życzliwie. - Nie nalegałbym tak bardzo na pozyskanie ciebie, gdyby chodziło o zwyczajną służbę.

- Dziękuję. Umiesz zjednywać sobie ludzi.

Padway podzielił się z Uriasem kilkoma obserwacjami. Największą słabością Gotów jest brak współdziałania konnych lansjerów i pieszych łuczników. Bardzo potrzebni są zarówno niezawodni piesi pikinierzy, jak i jezdni łuczniczy po to, aby stworzyć zgrany oddział. Opisał też kuszę i inne rodzaje uzbrojenia. Dodał:

- Potrzeba pięciu lat, żeby wyszkolić dobrego łuczника, podczas gdy kuszę rekrut opanowuje w kilka tygodni. I gdybym znalazł paru dobrych płatnerzy, pokazałbym ci zbroję, która waży

połowę tego, co kolczugi łuskowe, a lepiej chroni przed ciosami i równie mało krępuje ruchy. - Uśmiechnął się. - Możesz się spodziewać szemrania ze strony konserwatywnie nastrojonych Gotów na te nowomodne wymysły.

- Rozumiem. Jeśli kogo za to powieszają, to mnie, a nie ciebie. Tak jak z tą książką o astronomii, która wyszła pod nazwiskiem Thiudahada; każdy klecha stąd aż do Persji kręci na nią nosem. Odpowiedzialność spadła na biednego starego króla, ale wiem, że to ty dostarczyłeś mu wiadomości. Doskonale, przyjacielu, będę kozłem ofiarnym.

Padway bardzo się zdziwił, gdy kilka dni później Urias pokazał się z całkiem niezłą kuszą, bo chociaż urządzenie było dość proste i sporządził kilka szkiców do niego, to z własnego doświadczenia wiedział, jak trudno było wydobyć od współczesnego rzemieślnika cokolwiek, z czym wcześniej nie miał do czynienia. Trzeba było nad nim stać, sześć razy poprawiać partaninę i w końcu samemu wszystko zrobić od nowa.

Spędzili popołudnie w wielkim lesie sosnowym na wschód od miasta, strzelając do celu. Fritharik okazał się niewiarygodnie dobrym strzelcem, chociaż okazywał pogardę dla kuszy jako broni niegodnej wandalskiego rycerza.

- Mimo wszystko - stwierdził - bardzo dobrze się z niej mierzy.

- Owszem - odparł Padway - wśród mojego ludu krąży legenda o strzelcu, który obraził urzędnika i musiał za karę zestrzelić jabłko z głowy swojego syna. Tak też zrobił, nie czyniąc chłopcu krzywdy.

Po powrocie Martin dowiedział się, że na następny dzień ma wyznaczone spotkanie z posłem Franków. Wysłannik, niejaki hrabia Hlodovik, był wysokim mężczyzną ze szczęką jak kufer. Jak większość Franków golił zarost z wyjątkiem wąsów. Wyglądał wspaniale w czerwonej jedwabnej tunice, złotych łańcuchach i bransoletach i w usianym klejnotami pasie rycerskim. Padway osobiście sądził, że gołe gruzłowate nogi wystające z krótkich pantalonów ujmują mu nieco dostojności. Co więcej, Hlodovik wyraźnie cierpiał z powodu kaca.

- Matko Boska, jak mi się chce pić - wychrypiał. - Czy zechciałbyś coś w tej sprawie zrobić, przyjacielu kwestorze, zanim zaczniemy rozmowy?

Padway kazał mu dać trochę wina. Hlodovik pił długimi łykami.

- Ach! Teraz lepiej. A zatem, przyjacielu kwestorze, nie mogę powiedzieć, żeby mnie tu dobrze traktowano. Król spojrzał na mnie tylko kątem oka i powiedział, że ty się zajmiesz sprawą. Czy tak wygląda właściwe przyjęcie posła króla Theudeberta, króla Hildeberta i króla Hlotokara? Popatrz tylko! Aż trzech królów!

- Rzeczywiście, mnóstwo królów - przyznał Padway z łagodnym uśmiechem. - Pozostają pod wrażeniem. Nie powinieneś się obrażać, mój panie hrabio. Nasz król jest starym człowiekiem i sprawy publiczne są dla niego zbyt wielkim ciężarem.

- Hmm... Cóż, zapomnijmy o tym, ale nie wolno nam zapomnieć o powodzie mojego przybycia. Krótko mówiąc, co się stało ze stu pięćdziesięcioma tysiącami solidów, które Wittigis przyrzekł był moim panom: królowi Theudebertowi, królowi Hildebertowi i królowi Hlotokarowi? Dalej, twój generał Sisigis nie opuścił Prowansji, a kiedy moi władcy wysłali wojsko, by ją zająć, zostało ono wyparte i kilku ludzi zginęło. Powinieneś wiedzieć, że Frankowie, najdzielniejsze i najdumniejsze plemię na świecie, nigdy nie pozwolą na takie traktowanie. Jak masz zamiar postąpić?

- To ty, mój panie Hlodoviku - odparował zarzuty Martin - powinieneś wiedzieć, że decyzje uzurpatora nie wiążą legalnej władzy. Mamy zamiar zatrzymać to, co posiadamy. Powiadom zatem swoich panów: króla Theudeberta, króla Hildeberta i króla Hlotokara, że nie będzie ani pieniędzy, ani ziemi.

- Naprawdę to chciałeś powiedzieć? - Hlodovik wydawał się zaskoczony. - Czyż nie wiesz, młodzieńcze, że wojska Franków mogą przejechać wzdłuż Italii paląc i pustosząc wszystko, kiedy tylko zechcą? Moi panowie: król Theudebert, król Hildebert i król Hlotokar, okazują wielką cierpliwość dając ci honorowe wyjście. Przemyśl starannie sprawę, zanim ściągniesz na siebie nieszczęście.

- Przemyślałem już, panie, i z całym szacunkiem proponuję, byś ty i twoi władcy uczynili to samo. Pomyślcie szczególnie o małym wojskowym urzędzeniu, które właśnie wprowadzamy. Chciałbyś je zobaczyć? Plac ćwiczeń jest dwa kroki stąd.

Padway już wcześniej dokonał odpowiednich przygotowań. Kiedy nadeszli (a Hlodovik zataczał się lekko po drodze), zastali na miejscu Fritharika, Uriasa, kuszę i zapas bełtów. Martin chciał, żeby Fritharik parę razy strzelił do celu, ale ten, wraz z Uriasem, wpadł na inny pomysł. Urias odszedł kilkadziesiąt kroków i położył sobie jabłko na głowie. Fritharik napiął kuszę, nałożył strzałę i podniósł broń do ramienia.

Padway zaniemówił z przerażenia. Nie śmiał krzyknąć na tych dwóch durniów, żeby przestali, bojąc się stracić twarz przed Frankiem. Jeśli Urias zginie... Bał się myśleć, jakie to szkody wyrządzi jego planom.

Kusza trzasnęła. Dało się słyszeć krótkie mlaśnięcie i kawałki jabłka rozleciały się na wszystkie strony. Urias wyjął z włosów resztki owocu i podszedł z uśmiechem.

- Spodobał ci się pokaz, panie? - zapytał Padway.

- Całkiem, całkiem - przyznał Hlodovik. - Zobaczymy to urządzenie. Hm, hm, rzecz jasna dzielni Frankowie nie wierzą, że bitwę można wygrać jakimiś głupimi strzałami, ale do polowania to może być niezłe. Jak to działa? Już wiem. Tu się naciąga cięciwę...

Podczas gdy Fritharik demonstrował kuszę, Martin wziął Uriasa na bok i powiedział mu ściszym głosem, co sądzi o tej głupiej imprezie. Got starał się być poważny, ale nie mógł powstrzymać chłopięcego, przekornego uśmiešku. Nagle rozległo się trzaśnięcie i coś przeleciało ze świstem tuż koło Padwaya. Aż podskoczyli i odwrócili się na pięcie. Hlodovik trzymał kuszę z bezmyślnym wyrazem końskiej twarzy.

- Nie wiedziałem, że to działa tak lekko.

Fritharik stracił cierpliwość.

- Coś ty chciał zrobić, pijany durniu? Zabić kogoś...

- Co to ma znaczyć? Mnie nazwać durniem?! O, nie... - Miecz Franka wysunął się do połowy z pochwy.

Fritharik odskoczył i schwycił za rękojeść. Martin i Urias rzucili się na nich i złapali za łokcie.

- Uspokój się, panie! - krzyczał Padway. - Nie trzeba zaczynać zwady. Przeprzęzę cię osobiście.

Frank szalał, starając się zrzucić Padwaya.

- Już ja nauczę tego bękarta niskiego rodu! To skaza na honorze!

Podbiegło kilku gockich żołnierzy, którzy włożyli się nie opodal. Hlodovik dostrzegł ich i schował miecz.

- Pięknie się tu traktuje przedstawiciela króla Theudeberta, króla Hildeberta i króla Hlotokara. Poczekaj, niech no oni o tym usłyszą.

Padway starał się go udobruchać, ale poseł tylko gderał i wkrótce opuścił Rawennę. Natychmiast wysłano ostrzeżenie do Sisigisa, żeby miał się na baczności przed Frankami. Padway miał o czym myśleć. Powinien był starać się załatwić konflikt pokojowo. Nienawidził myśli, że może być odpowiedzialny za wojnę, ale wiedział, że to wojownicze i zdradzieckie plemię uzna każde ustępstwo za oznakę słabości. Franków trzeba z miejsca brać krótko za uzdę.

Przybył następny poseł, tym razem od Kuturgurów czyli bułgarskich Hunów. Odźwierny powiadomił Padwaya:

- Jest bardzo dostojny. Nie mówi ani po łacinie ani po gocku. Posługuje się tłumaczem. Mówi, że jest bojarem. Diabli wiedzą, co to takiego.

- Wprowadzić go.

Poseł Bułgarów był krępy, krzywonogim mężczyzną o wystających kościach policzkowych. Miał wojowniczo podkreśnione wąsy i nos większy nawet niż Padway. Nosił piękny płaszcz podbity futrem, workowate portki i jedwabny turban okręcony wokół ogolonej czaszki. Z tyłu wystawały mu dwa śmieszne warkoczyki.

Mimo całej tej elegancji, Martin miał poważne podstawy, żeby sądzić, że poseł nie mył się nigdy w życiu. Tłumaczem był mały, nerwowy Trak. Trzymał się z lewej strony, o krok za swym panem.

Bułgar podszedł ciężko stąpając i skłonił się sztywno. Nie podał ręki: widocznie nie było takiego zwyczaju wśród Hunów. Padway odklonił się i wskazał krzesło. Zaraz tego żałował: Bułgar podciągnął nogi i usiadł po turecku. Zaczął mówić obcym, melodyjnym językiem, jak domyślił się Padway, spokrewnionym z tureckim. Co trzy, cztery słowa robił przerwę dla tłumacza.

Poseł: (Ćwir, ćwir, ćwir.)

Tłumacz: Jestem bojar Karojan...

Poseł: (Ćwir, ćwir.)

Tłumacz: Syn Chakira...

Poseł: (Ćwir, ćwir.)

Tłumacz: Syna Tardu...

Poseł: (Ćwir, ćwir, ćwir.)

Tłumacz: Poseł Kardana...

Poseł: (Ćwir, ćwir, ćwir.)

Tłumacz: Syna Kapagana...

Poseł: (Ćwir, ćwir, ćwir.)

Tłumacz: I wielkiego Chana Kuturgurów.

Była w tym jakaś poezja, choć słuchało się z trudem. Bułgar przerwał. Teraz Padway przedstawił się i znów zaczął się duet.

- Mój pan, Wielki Chan...
- Otrzymał ofertę od Justyniana, cesarza Rzymian...
- Pięćdziesięciu tysięcy solidów...
- Za powstrzymanie się od najazdu na jego ziemie.
- Jeśli Thiudahad, król Gotów...
- Da nam więcej...
- Spustoszymy Trację...
- I zostawimy królestwo Gotów w spokoju.
- Jeśli zaś nie...

- Weźmiem złoto Justyniana...
- I najedziemy ziemie Gotów...
- Panonię i Noricum.

Padway odchrząknął i rozpoczął replikę z przerwami na tłumaczenie. Ten sposób miał swoje zalety. Dawał czas na zastanowienie.

- Mój pan Thiudahad, król Gotów i Italczyków...
- Upoważnił mnie do stwierdzenia...
- Że może zrobić lepszy użytek ze swych pieniędzy...
- Niż przekupywać nimi ludzi, żeby go nie napadali...
- A jeśli Kuturgurzy myślą...
- Że mogą najechać nasze ziemie...
- To niech spróbują...
- Ale nie możemy im zapewnić...
- Bardzo gościnnego przyjęcia.

Posel zdziwił się.

- Uważaj, co mówisz, człowieku...
- Gdyż wojska Kuturgurów...
- Pokrywają sarmackie stopy jak szarańcza.
- Kopyta ich koni...
- Są jak uderzenie gromu.
- Chmury ich strzał...
- Przesłaniają słońce.
- Tam, gdzie przejdą...
- Trawa nie porośnie.

Padway nie dawał się.

- Najświetniejszy Karojanie...
- Może to i prawda...
- Ale mimo uderzenia gromem i przesłaniania słońca...
- Gdy przed paru laty Kuturgurzy nas napadli...
- Dostali tak, że zgubili portki.

Gdy to przetłumaczono, Bułgar wyglądał przez chwilę na zaskoczonego. Potem poczerwieniał. Padway myślał, że to ze złości, ale okazało się, że posel powstrzymywał się od śmiechu. Krztusząc się odpowiedział:

- Tym razem, człowieku, będzie inaczej.

- Jeśli kto zgubi portki...
- To właśnie wy.
- Co zatem?
- Płacicie nam sześćdziesiąt tysięcy...
- W trzech ratach...
- Po dwadzieścia każda?

Padway był niewzruszony.

Bułgar dokończył:

- Zawiadomię mego pana...
- Kardana, Wielkiego Chana Kuturgurów...
- O twoim uporze.
- A za rozsądną łapówkę...
- Gotów jestem powiedzieć mu...
- O potędze gockiego oręża...
- W słowach, które go odwiodą...
- Od planowanego najazdu.

Padway utargował łapówkę do połowy pierwotnej propozycji. Rozstali się w najlepszej komitywie. Po powrocie do domu Martin zastał Fritharika obwiązanego głowę ręcznikiem. Wandal popatrzył nieco spłoszony.

- Prześwietny szefie, właśnie próbowałem sporządzić sobie takie nakrycie głowy, jakie miał ten huński szlachcic. Ma swój styl.

Padway już dawno uznał, że Thiudahad to przypadek patologiczny. Ostatnio jednak mały król okazywał więcej objawów choroby psychicznej niż kiedykolwiek. Kiedy na przykład Martin chciał przekonsultować nowe prawo dziedziczenia, król z powagą wysłuchał wyjaśnień, że rada królewska i Kasjodor są zgodni co do konieczności zbliżenia w tej mierze prawa gockiego i rzymskiego, po czym zapytał:

- Kiedy zamierzasz wydać w moim imieniu następną książkę, Martinusie? Masz na imię Martinus, czyż nie? Martinus Paduei, Martinus Paduei. Chyba mianowałem cię prefektem, czy czymś takim? O rany! Niczego nie mogę sobie przypomnieć. No dobrze, o co ci chodzi? Ciągłe interesy, interesy, interesy. Nienawidzę interesów. Nauka jest ważniejsza. Głupia polityka i akta państwowe. Co to jest? Rozkaz wykonania egzekucji? Mam nadzieję, że każesz męczyć drania, tak jak na to zasługuje. Nie mogę zrozumieć twojego bezsensownego uprzedzenia w stosunku do tortur. Ludzie nie czują się szczęśliwi, dopóki rząd ich nie nastraszy. Chwileczkę, o czym to ja mówiłem?

Z jednej strony było to wygodne, bo Thiudahad nie przysparzał kłopotów, z drugiej jednak krępujące, kiedy król czasami po prostu nie chciał słuchać bądź odmawiał podpisania czegokolwiek.

Niedługo potem Padway miał ostrą wymianę zdań z generalnym płatnikiem armii gockiej, który odmówił wciągnięcia wziętych do niewoli cesarskich na listy werbunkowe. Martin argumentował, że są to przecież pierwszorzędni żołnierze, że wydają się zadowoleni z nowej służby i że zaciąg będzie jedynie trochę więcej kosztował niż żywienie ich jako jeńców. Płatnik generalny replikował, że obrona narodowa jest prerogatywą Gotów od czasów Teodoryka, a ci ludzie, poza wyjątkami, Gotami nie są quod erat demonstrandum.

Każdy upierał się przy swoim zdaniu, zatem rzecz przedstawiono królowi. Ten wysłuchał argumentów z mądrą miną, po czym oddalił płatnika i zwrócił się do Padwaya:

- Wiele przemawia za jednym, drogi panie, wiele przemawia za drugim. No dobrze, podejmę decyzję na twoją korzyść, o ile mój syn Thiudegiskel otrzyma odpowiednie dowództwo.

Padway starał się nie okazać po sobie przerażenia. - Ależ, mój panie i władco, jakie doświadczenie wojskowe ma Thiudegiskel?

- Żadnego. W tym problem. Spędza czas pijąc i uganiając się za dziewczuchami w towarzystwie tych młodych dzikusów, swoich przyjaciół. Musi nauczyć się odpowiedzialności. Jakieś stanowisko zgodne z dostojnością jego urodzenia.

Padway trochę się jeszcze sprzeczał, nie powiedział jednak, że trudno sobie wyobrazić gorszego dowódcę niż ten zarozumiały i arogancki szczeniak. Thiudahad uparł się.

- Ostatecznie, Martinusie, jestem królem, może nie? Nie zastraszysz mnie tym swoim Wittigisem. He, he! Będę miał dla ciebie wkrótce niespodziankę. O czym to ja mówiłem? A, tak! Jak sądzę, jesteś coś winien Thiudegiskelowi za wsadzenie go do tego odrażającego obozu...

- Ale, to nie ja go posadziłem...

- Nie przerywaj, Martinusie. To niedelikatne. Albo mu dasz dowództwo, albo skłonię się do opinii tamtego... jak mu tam... To moje ostateczne królewskie słowo.

Padway ustąpił. Thiudegiskela wyznaczono dowódcą gockich wojsk w Kalabrii, gdzie nie mógł wyrządzić większych szkód. Przynajmniej Martin miał taką nadzieję. Gorzko tego jednak później żałował.

Decyzja wcielenia tak obcego elementu jak żołnierze bizantyjscy do armii italo-gockiej mogła się wydawać nierozważna, ale w owych czasach nie istniał nacjonalizm we współczesnym znaczeniu. Liczyła się religia i osobista lojalność wobec dowódcy. Wśród cesarskich było wielu trackich Gotów, którzy pozostali na Bałkanach, gdy Teodoryk podjął wędrówkę. Trochę italskich

Gotów również służyło Bizancjum jako najemnicy. Nowych przyjęto więc bez większych uprzedzeń z obu stron.

Potem zdarzyły się trzy rzeczy.

Generał Sisigis przysłał wiadomość o podejrzanym aktywności Franków.

Padway otrzymał list od Thomasusa o zamachu na życie Wittigisa. Morderca w niewytłumaczalny sposób wślizgnął się do schronu, gdzie były król zabił go gołymi rękami, sam przy tym odnosząc lekką ranę. Nikt nie wiedział, kim jest zamachowiec, dopóki niedoszła ofiara, wśród mrozących krew w żyłach przekleństw, nie rozpoznała w nim zaufanego tajnego agenta Thiudahada. Padway zrozumiał, co to znaczy. Król odnalazł kryjówkę swego rywala i zamierza usunąć go z drogi. Jeśli mu się powiedzie, gotów jest uchylić zarządzenia Padwaya albo nawet zdjąć go z urzędu. Może nawet jeszcze gorzej.

Trzecią rzeczą był list od Justyniana:

"Flamiusz Anicjusz Justynian, cesarz Rzymian, do króla Thiudahada, pozdrowienia.

Naszą najjaśniejszą uwagę przyciągnęły warunki zakończenia wojny między nami, które przedstawiliście. Uważamy je za tak absurdalne i bezpodstawne, że raczymy w ogóle odpowiedzieć jedynie w akcie wielkiej łaski. Świętą walkę o odzyskanie dla Cesarstwa zachodnich prowincji, które należały do naszych przodków i prawem nam się należą, doprowadzimy do zwycięskiego końca.

Jeśli chodzi o naszego byłego generała, Flawiusza Belizariusza, to odmowę dania słowa uznajemy za akt skrajnej nielojalności, którą stosownie ukarzymy we właściwym czasie. Tymczasem prześwietny Belizariusz może się uważać za wolnego od zobowiązań wobec nas. Co więcej, nakazujemy mu podporządkować się bez zastrzeżeń nikczemnemu heretykowi i agentowi Złego, który zwie się Martinus z Padwy, a o którym nam doniesiono.

Ufamy, że niekompetencja i tchórzostwo Belizariusza w połączeniu z gniewem niebios, który dotknie każdego znoszącego się z nieczystym, diabolicznym Martinusem, przesądzą wkrótce los królestwa Gotów."

Padway z lekkim uczuciem mdłości zdał sobie sprawę, że długo jeszcze przyjdzie mu się uczyć dyplomacji. Zlekceważenie Justyniana, frankijskich królów i Bułgarów - z osobna - było usprawiedliwione. Ale nie powinien sobie pozwalać na zrobienie tego za jednym zamachem.

Burza nadciągała szybko.

Padway popędził do Rzymu i pokazał list Belizariuszowi. Rzadko widywał ludzi bardziej nieszczęśliwych niż dzielny Trak.

- Nie wiem, co o tym myśleć - tyle udało się wydobyć od Belizariusza.

Padway przeprowadził rozmowę z Antoniną, żoną cesarskiego generała. Dobrze rozumiał się z tą szczupłą, pełną wigoru, rudowłosą niewiastą.

- Ciągle mu powtarzam - mówiła - że od Justyniana może spodziewać się tylko niewdzięczności, ale wiesz, jaki on jest. Rozsądny we wszystkim poza tym, co dotyczy jego honoru. Jedyna rzecz, która sprawiła, że się wahałam, to przyjaźń z cesarzową Teodorą. Z tego łatwo się nie rezygnuje. Ale po tym liście... Zrobię wszystko, co w mojej mocy, prześwietny Martinusie.

Ku nieukrywanemu zadowoleniu Martina, Belizariusz w końcu skapitulował.

Najbardziej zagrożona wydawała się Prowansja. Agenci przynieśli wieści o następnej łapówce Justyniana, wypłaconej Frankom, żeby zaatakowali Gotów. Padway dokonał zatem pewnych przesunięć personalnych. Asinara, który siedział od miesiący w Senii i nie wykonał żadnego posunięcia przeciw cesarskim w Spalato, odwołał do domu. Na jego miejsce armię dalmacką objął Sisigis, też nie geniusz, ale i nie oczywisty dureń. Belizariusz przejął komendę za Sisigisa nad siłami zbrojnymi w Galii. Przed wyjazdem na północ zażądał od Padwaya wszelkich dostępnych informacji o Frankach. Martin objaśnił go:

- Dzielni, zdrańcy i głupi. Mają tylko lekkobrojną piechotę, która walczy ustawiona w głęboką, pojedynczą kolumnę. Nadbiegają z okrzykiem wojennym, zarzucają przeciwnika oszczepami i toporami i walczą z bliska mieczem. Jeśli uda ci się wstrzymać ich linię piechoty lub szarżę kawaleryjską, to dla konnych łuczników stanowią łatwy łup. Są bardzo silni liczebnie, ale tak potężna masa wojska nie może się wyżywić z małego terytorium. Toteż albo muszą się przemieszczać, albo głodują. Co więcej, są tak prymitywni, że nie płacą swym żołnierzom. Utrzymują się z łupów. Wystarczy powstrzymać Franków od przemarszów, żeby ich armia stopniała przez dezercję. Ale nie zlekceważ ich liczebności i szału bojowego. Wyślij agentów do Burgundów i wywołaj tam powstanie. Frankowie podbili ich zaledwie kilka lat temu.

Martin wyjaśnił, że Burgundowie są plemieniem wschodniogermańskim, jak Goci i Longobardzi. Mówią podobnym językiem i podobnie jak oni są hodowcami. Dlatego źle im się układa z zachodniogermańskimi Frankami, rolnikami. Ci pustoszą tereny sąsiadów.

Na wypadek dalszych wojen Padway znalazł pewien wynalazek, który z pewnością przechylili szalę zwycięstwa na korzyść Gotów i Italczyków. Proch robi się z siarki, węgla drzewnego i saletry. Dowiedział się o tym w szóstej klasie.

Pierwsze dwa składniki były dostępne bez kłopotu. Sądził, że azotan potasu można uzyskać gdzieś w formie minerałów. Nie wiedział jednak gdzie ani jak on wygląda. Nie mógł przeprowadzić syntezy za pomocą dostępnego wyposażenia. Nie znalazł się zresztą wystarczająco na chemii. Pamiętał jednak tekst, który mówił, że saletra występuje pod stosami obornika. Przypomniał sobie podwórko Nevitty.

Odwiedził Gota i poprosił go o zgodę na przekopanie gnojówki. Aż krzyknął z radości, gdy rzeczywiście znalazł tam kryształki podobne do cukru klonowego. Nevitta spytał, czy przypadkiem nie oszalał. Padway wyszczerzył zęby:

- Oczywiście. Nie wiedziałeś? Już parę lat temu. Stary dom przy Długiej był jak zawsze pełen ruchu mimo przeniesienia interesu do Florencji. Używano go jako rzymskiej dyrekcji Kompanii Telegraficznej. Padway założył też nową drukarnię. Teraz wolna przestrzeń na dole zamieniła się w laboratorium chemiczne. Padway nie wiedział, w jakich proporcjach użyć trzech składników, by otrzymać dobrej jakości proch strzelniczy. Musiał eksperymentować.

W imieniu rządu polecił odlać armatę. Odlewnia brązu niechętnie przyjęła zlecenie. Nigdy jeszcze nie widzieli takiego urządzenia i nie wiedzą, czy podołają zadaniu. I do czego ta rura ma służyć? Wazon na kwiaty? Mimo prostoty wykonania zajęło im wieczność przygotowanie wzoru i wydrążenie lufy. Pierwszy model wyglądał prawidłowo, dopóki Padway nie obejrzał dokładnie przekroju. Metal był gąbczasty, usiany dziurami. Działo rozerwałoby się przy pierwszym strzale.

Trzeba było zabrać się do tego jakoś inaczej.

Nadzieje na uzyskanie prochu także okazały się na razie płonne. Składniki mieszane w różnych proporcjach paliły się pięknie, ale nie eksplodowały. Próbował różnych sposobów, zmieniał metody, ale ciągle otrzymywał śmierdzącą materię, która skwiercząc, spalała się żółtym płomieniem. Ładował produkt do zaimprovizowanych petard, ale zamiast "bum" było "pyf".

Może powinien zdetonować większą ilość na raz i bardziej ścisnąć materiał?

Nachodził codziennie odlewnię, dopóki nie uzyskał drugiej armaty.

Wczesnym rankiem następnego dnia z Fritharikiem i kilkunastoma pomocnikami przewiózł armatę na prymitywnym wozie z surowych desek w okolice bramy na Viminal, gdzie było sporo pustego miejsca. Pomocnicy już wcześniej usypali z piasku wzgórek, który miał służyć za cel.

Padway ubił w lufie kilka funtów prochu, wepchnął żelazną kulę i nasypał prochu niezbędnego do odpalenia. Cichym głosem powiedział:

- Frithariku, podaj mi świecę. Niech wszyscy się cofną i położą na ziemi. Ty też.

- Nigdy! - odparł oburzony Wandal. - Opuścić mego pana w godzinie próby? Kategorycznie odmawiam!

- W porządku, jeśli chcesz zaryzykować rozerwanie na kawałki... Uwaga!

Padway przytknął świecę do lontu.

Proch zaskwierczał i zaiskrzył.

Armata zrobiła "fuuu...". Kula wyskoczyła, grzmotnęła o ziemię metr od lufy, przetoczyła się jeszcze metr i zatrzymała się.

Piękna, lśniąca armata znalazła miejsce w piwnicy, obok zegara.

Wczesną wiosną Urias zjawił się w Rzymie. Wyjaśnił, że przekazał szkołę wojskową podwładnym i przybył w celu zmobilizowania rzymskich formacji milicyjnych. Był to jeszcze jeden pomysł Padwaya. Ale nieszczęśliwa i zawstydzona mina wskazywała, że coś innego go sprowadziło.

Dociekliwe pytania Padwaya spowodowały wreszcie wybuch:

- Prześwietny Martinusie, musisz dać mi dowództwo gdzieś z dala od Rawenny. Nie mogę tego dłużej wytrzymać.

Padway położył rękę na ramieniu Uriasa.

- No, dalej, stary, powiedz mi, co cię gryzie. Może ci pomogę.

Urias wbił wzrok w ziemię.

- Hm... więc... to jest... Posłuchaj, co właściwie jest między tobą a Matasuntą?

- Domyślałem się, że o to chodzi. Widywałeś się z nią, prawda?

- Tak, prawda. I jeśli wyślesz mnie z powrotem, będę się z nią widywał wbrew sobie. Czy jesteście zaręczeni?

- Tak sobie kiedyś wyobrażałem. - Padway przybrał pełen poświęcenia wyraz twarzy. - Ale, przyjacielu, nie chcę stać na drodze cudzego szczęścia. Jestem pewien, że lepiej do niej pasujesz niż ja. Praca zbyt mnie pochłania, bym nadawał się na dobrego męża. Jeśli zatem ubiegasz się o jej rękę, przyjmij moje błogosławieństwo.

- Naprawdę?! - Urias wstał gwałtownie i zaczął przemierzać pokój z wniebowziętą miną. - Ja... ja doprawdy nie wiem, jak ci dziękować... To największa rzecz, jaką mogłeś dla mnie zrobić... Jestem twoim przyjacielem do grobowej deski.

- Nie ma za co dziękować. Cieszę się, że mogłem ci pomóc w tej sytuacji. A teraz, skoro przy tym jesteśmy, możesz z powodzeniem dokończyć dzieła.

- Och - Urias spoważniał. - W tej sytuacji powinienem, ale jak się oświadczyć?

- Napisz do niej.

- Ale co? Nie znam się na komplementach. Prawdę powiedziawszy, nigdy w życiu nie napisałem listu miłosnego.

- W tym ci też dopomogę. Możemy zacząć tu i teraz. Padway wyjął pióro i papier i niebawem płodzili list do księżniczki.

- Hm, trzeba jej powiedzieć, jakie ma oczy.

- Oczy, jak oczy. Zwyczajne.

- Oczywiście, ale w tym interesie porównuje się je do gwiazd i innych różności.

Urias pomyślał.

- Są mniej więcej koloru lodowca, który kiedyś widziałem w Alpach.

- Nie, to nie tak. Znaczyłoby to, że są zimne jak lód.

- Przypominają też wypolerowaną klingę miecza.

- Podobne zastrzeżenie. Co sądzisz o północnych morzach?

- Hmmm, tak. Myślę, że tak dobrze, Martinusie. Szare jak morza północne.

- Brzmi poetycko.

- Właśnie. Zatem będą północne morza. - Urias pisał powoli i niezgrabnie.

- Nie naciskaj tak pióra - zauważył Padway. Zrobisz dziurę w papierze.

Gdy Urias kończył list, Padway włożył kapelusz i skierował się do drzwi.

- Hej, dokąd się spieszysz?

- Idę w odwiedziny do przyjaciół. Rodzina Aniciusów. Mili ludzie. Poznam cię kiedyś z nimi, gdy się już ożenisz.

Pierwotnie Martin zamierzał wprowadzić łagodną formę wybiórczego poboru do wojska, na próbę najpierw w Rzymie. Rekruci mieliby zgłaszać się na cotygodniową musztrę. Senat, będący w tym czasie jedynie radą miejską, udaremnił zamysł. Niektórzy czuli niechęć do Padwaya bądź mu nie ufali, inni czekali, aż ich przekupi.

Padway nie zamierzał im ustąpić, dokąd nie wypróbuje wszystkich środków. Skłonił Uriasa do ogłoszenia zaciągu ochotniczego na powszechnych warunkach żołdu. Rezultaty były mizerne.

Tok myśli Padwaya o remilitaryzacji Rzymian gwałtownie przerwało nadejście Junianusa z telegramem:

WITTIGIS UCIEKŁ OSTATNIEJ NOCY Z ARESZTU

WSZELKI ŚLAD PO NIM ZAGINAŁ (PODPISANO) ATURPAD PERS

Przez minutę Martin gapił się po prostu w tekst. Potem nagle wstał i wrzasnął:

- Fritharik! Wyprowadź konie!

Pogalopowali na kwaterę Uriasa. Got wyglądał poważnie.

- To stawia mnie w niezręcznej sytuacji, Martinusie. Wuj bez wątpienia zechce odzyskać koronę. To uparty człowiek, jak sam wiesz.

- Wiem, ale z kolei ty wiesz, jak ważną rzeczą jest utrzymać dotychczasową sytuację.

- Ja! Nie odwrócę się od ciebie, ale nie spodziewaj się, że skrzywdzę wuja. Lubię go, mimo że jest starym, tępagłowym zrzędą.

- Trzymaj ze mną, a obiecuję ci, że zrobię wszystko, co w mej mocy, żeby nikt go nie skrzywdził. Ale teraz kłopot w tym, że to on nas może skrzywdzić.

- Jak zdołał się wydostać? Myślisz, że to dzięki przekupstwu?

- Wiem tyle co i ty. Wątpię, żeby to było przekupstwo. W każdym razie Aturpad uchodzi za uczciwego człowieka. Jak sądzisz, co Wittigis teraz zrobi?

- Gdybym był na jego miejscu, ukryłbym się na trochę i zgromadził zwolenników. To logiczne, ale wuj nigdy nie był nazbyt logiczny. I nienawidzi Thiudahada bardziej niż kogokolwiek pod słońcem, szczególnie po zorganizowanym przez króla zamachu na jego życie. Sądzę, że podąży prosto do Rawenny i spróbuje osobiście zlikwidować Thiudahada.

- W porządku, zatem zgromadźmy trochę szybkiej kawalerii i jedźmy do Rawenny.

Padway sądził, że zdołał się już uodpornić na długodystansową jazdę konną, ale z ledwością dotrzymywał tempa Uriasowi. Kiedy rankiem następnego dnia dotarli do Rawenny, ślaniał się w siodle, a oczy miał czerwone jak królik.

Nie zadawali pytań. Galopowali prosto do pałacu. Miasto wyglądało dość zwyczajnie, ale przed pałacem nie było widać straży.

- Nie podoba mi się to - powiedział Urias. Zsiedli z koni, dobyli mieczy i wkroczyli w sześciu. Strażnik pojawił się u szczytu schodów. Schwycił za broń, ale rozpoznał ich.

- A, to wy - stwierdził ostrożnie.

- Tak, to my - odpowiedział Padway.

- Co się dzieje?

- No... hm... Sami lepiej zobaczcie, szlachetni panowie. Wybaczcie. - I Got zniknął z pola widzenia.

Szli przez puste sale. Drzwi zamykały się, gdy przechodzili. Słyszeli szepty za plecami. Padway zastanawiał się, czy nie idą prosto w pułapkę. Wysłał oddział, żeby zajął pozycje przy drzwiach frontowych.

Przy wejściu do apartamentów króla zastali grupę strażników. Kilku podniosło włócznie, ale reszta po prostu stała w niepewności.

- Rozejdźcie się, chłopcy - powiedział spokojnie Padway i wszedł.

- O, słodki Jezu - wyszeptał Urias.

Kilku ludzi stało wokół ciała leżącego na podłodze. Padway kazał im się odsunąć. Usłuchali potulnie. To był trup Wittigisa. Tunikę miał rozdartą ciosami włóczni i mieczy. Dywanik pod nim nasiąkł krwią.

Główny odźwierny patrzył w osłupieniu na przybyszów.

- To się stało dopiero przed chwilą, a wy jechaliście aż z Rzymu z tego właśnie powodu. Skąd wiedzieliście?

- Mam swoje sposoby. - Martin pochylił się nad leżącym. - Jak to było?

- Znajomy strażnik wprowadził Wittigisa do pałacu. Zabiłby naszego szlachetnego króla, ale spostrzeżono go i inni gwardziści nadbiegli z pomocą. Zabili go dodał bez potrzeby. Każdy mógł to zobaczyć.

Głos dobiegający z kąta przyciągnął uwagę Padwaya. Kulił się tam na wpół ubrany Thiudahad. Nikt nie zwracał na niego większej uwagi. Król patrzył zmętniałym wzrokiem.

- O rany! To chyba mój nowy prefekt. Masz na imię Kasjodor. Ale jakże odmłodniałeś, mój drogi panie. Ach, starzejemy się! He, he, wydajmy książkę, Kasjodorze. Hej-ho! Tak, doprawdy. Śliczną, nową książkę z purpurowymi okładkami. He, he, podamy ją na obiad w sosie własnym i z pieprzem jak kurczę. Tak, co najmniej trzysta stron. Przy okazji, widziałeś może tego mojego łajdackiego generała Wittigisa? Słyszałem, że przybył w odwiedziny. Koszmarny nudziarz; ani krzty erudycji. Hej-ho! O, rany! Czuję się, jakbym tańczył. Czy tańczysz, mój drogi Wittigisie? Tra-la-la, tra-la-la, bum-cyk-cyk, bum-cyk-cyk.

- Opiekuj się nim i nie pozwól mu wychodzić rzekł Padway do królewskiego medyka. - Reszta niech wraca do zajęć, jak gdyby nigdy nic. Niech ktoś zajmie się ciałem. Usuńcie ten dywanik i przygotujcie dostojny, ale skromny pogrzeb. Uriasie, może lepiej sam o to zadbasz. - Urias szlochał. - Chodź, stary przyjacielu, oplakiwanie możesz odłożyć na potem. Współczuję ci, ale mamy jeszcze wiele do zrobienia. - Szepnął mu coś i Urias wyraźnie poweselał.

Członkowie Gockiej Rady Królewskiej zjawili się u Padwaya z nachmurzonymi minami. Byli to ludzie zamożni i nie obciążeni codziennymi obowiązkami. Nie lubili, żeby ich odciągano od suto zastawionych stołów, a szczególnie, żeby to robił jakiś urzędas.

Martin zapoznał ich z sytuacją. Nowiny wstrząsnęły nimi do tego stopnia, że zaniemówili. Padway szedł za ciosem:

- Jak panowie wiecie, niepisane prawo narodu gockiego przewiduje, że oszalały król musi być zastąpiony jak najwcześniej. Pozwólcie zauważyć, że obecny stan rzeczy sprawia, iż usunięcie nieszczęsnego Thiudahada jest najpilniejszą potrzebą.

Wakkis wymamrotał:

- To po części twoja sprawka, młodzieńcze. Mogliśmy spłacić Franków...

- Tak, panie, wiem o tym. Kłopot w tym, że Frankowie nie zadowoliliby się spłatą, o czym zresztą wiesz doskonale. W każdym razie, co się stało, to się nie odstanie. Ani Frankowie, ani Justynian jeszcze nie wyruszyli przeciw nam. Jeśli zdołamy szybko przeprowadzić wybór nowego króla, na pewno na tym nie stracimy.

Wakkis odparł:

- Sądzę, że będziemy musieli zwołać nową komisję wyborczą.

Zabrał głos inny członek rady, Manfrith:

- Nasz młody przyjaciel ma najwyraźniej rację. Mówię to, aczkolwiek nie lubię radzić się obcych. Kiedy i gdzie odbędzie się wybór?

Na sali rozległy się niepewne chrząknięcia. Padway zabrał głos.

- Jeśli panowie pozwolą, mam pewien pomysł. O ile wiem, nową stolicą naszego państwa ma być Florencja. Czyż nie lepszy sposób na inaugurację politycznych funkcji miasta niż przeprowadzenie tam wyborów?

Szmerzy nasiliły się, ale nikt nie zaproponował lepszego rozwiązania. Martin wiedział doskonale, że nie lubią postępować według jego wskazówek, ale też z drugiej strony byli zadowoleni, że mogą się uchylić od myślenia i odpowiedzialności.

Wakkis zaczął się zastanawiać:

- Potrzeba czasu, żeby rozesłać wieści o elekcji i żeby wyborcy zjechali się do Florencji...

W tym momencie wszedł Urias. Padway wziął go na bok i wyszeptał:

- Co powiedziała?

- Że się zgadza.

- Kiedy?

- Gdzieś za dziesięć dni. Niezbyt to ładnie wygląda, zaraz po śmierci wuja.

- Nie szkodzi. Teraz albo nigdy.

Manfrith zwrócił się do obecnych:

- Kto będzie kandydował? Sam bym to zrobił, ale reumatyzm tak mi dokucza...

Ktoś powiedział:

- Na pewno Thiudegiskel, to przecież logiczny następca Thiudahada.

- Jak myślę, z zadowoleniem przyjmiecie do wiadomości, że kandydatem będzie nasz poważany generał Urias - oznajmił Padway.

- Co? - krzyknął Wakkis. - Owszem, to wspaniały młodzieniec, ale nie jest Amalingiem.

Martin uśmiechnął się triumfalnie.

- Jeszcze nie jest, moi panowie, ale będzie, nim zwołamy konwencję. - Goci patrzyli w zdumieniu. No i mam nadzieję, że zaszczycie, panowie, jego wesele swoją obecnością.

W trakcie przygotowań do ślubu Matasunta wzięła Padwaya na stronę.

- Martinusie, doprawdy postąpiłeś szlachetnie. Mam nadzieję, że nie zamartwiasz się z nadto.

Martin robił wszystko, by wyglądać dostojnie.

- Moja droga, twoje szczęście jest moim. Jeśli kochasz tego młodzieńca, to zrobiłaś to, co powinnaś.

- O, tak, kocham go. Obiecuj, że nie będziesz siedział w kącie z ponurą miną, ale otrząśniesz się i znajdziesz sobie jakąś sympatyczną dziewczynę pasującą do ciebie.

Padway westchnął przekonywająco.

- Ciężko będzie zapomnieć, kochanie. Ale jeśli o to prosisz, to się postaram. Już dobrze, dobrze, tylko nie płacz. Co sobie Urias pomyśli? Przecież chcesz jego szczęścia. O, tak dobrze. Rozsądna dziewczynka.

Wesele odbywało się z przepychem niemal barbarzyńskim. Martin odkrył w sobie niespodziewanie zamiłowanie do reżyserii. Wprowadził do uroczystości scenę, którą widział na fotografiach ślubów w Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych. Państwo młodzi przeszli pod podwójnym szpalerem wzniesionych mieczy trzymanyh przez przyjaciół Uriasa. Padway wyglądał tak dostojnie, jak tylko umiarkowany wzrost i wielki nos mu na to pozwalały. Z trudem powstrzymywał się od śmiechu. W pewnym momencie wydało mu się, że długa szata Uriasa do złudzenia przypomina szlafrok, który niegdyś nosił, z tym że nie był on wyszywany złotą nicią w podobizny świętych.

Gdy nowożeńcy odeszli, Padway schował się za kolumną. Jeśli Matasunta zauważyła go kątem oka, pomyślała pewnie, że skrył się, by uronić ostatnią łzę. Tak naprawdę pozwolił sobie na westchnienie ulgi.

Gdy wrócił na miejsce, usłyszał rozmowę kilku Gotów stojących nie opodal.

- Będzie z niego dobry król, co, Albercie?

- Może i będzie, ale boję się, że dostanie się pod wpływ tego całego Martinusa. Nie mam nic szczególnego przeciwko Tajemniczemu Martinusowi, ale wiesz, jak to jest.

- Ja, ja. No cóż, zawsze można będzie zagrać w orła i reszkę, żeby się zdecydować, kogo wybrać.

Martin miał wszelkie powody, by uzależnić Uriasa od swoich wpływów. Wydawało się to możliwe: Got nie cierpiał pracy biurowej. Był dobrym żołnierzem i nie odrzucał nowych pomysłów. Gdyby coś miało się przytrafić temu królowi, długo by trzeba szukać innego, równie dobrego.

Padway rozesłał telegraficznie wiadomość o zbliżających się wyborach. Tym samym zaoszczędził tydzień, który byłby potrzebny posłańcom do przewędrowania Italii wzdłuż i wszerz, a zarazem przekonał niektórych Gotów do swego wynalazku.

Rozkazał telegraficznie wyższym dowódcom wojskowym pozostać na stanowiskach. Urias uwierzył, że to ze względów strategicznych. Tak naprawdę chodziło o zatrzymanie Thiudegiskela w Kalabrii na czas elekcji. Znając Uriasa, który mógł dostać napadu rycerskości, Padway nie ośmielił się wyjawić mu prawdziwych powodów. Generał, jako wyższy rangą, mógł odwołać jego rozkaz.

Goci nigdy przedtem nie widzieli wyborów prowadzonych według dobrych, starych zasad amerykańskich. Teraz mieli okazję. Elektorzy, którzy przybyli do Florencji, zastali miasto obwieszane transparentami i plakatami:

GŁOSUJCIE NA WYBRAŃCA LUDU URIASA!!!

Niższe podatki, więcej robót publicznych!

Ubezpieczenia dla ludzi w podeszłym wieku!

Sprawny rząd!

I tak dalej. Wpadli prosto w ręce agitatorów, którzy brali ich na hol i pokazywali miasto, choć niewiele było wtedy do pokazywania we Florencji, i w ogóle głaskali ich pod włos.

Na trzy dni przed wyborami Padway urządził piknik, który wepchnął go w długi po uszy. No, niezupełnie jego - w długi wpadł biedaczyna Urias. Martin był zbyt roztropny, by zadłużyć się powyżej granicy wypłacalności.

Trzymał się skromnie na uboczu, gdy Urias wygłaszał mowę. Później wysłuchiwał komentarzy, że nikt nie spodziewał się po Uriasie takiego dobrego przemówienia. Uśmiechał się w duchu. Sam napisał tekst i spędził nad nim z kandydatem do korony siedem długich wieczorów. Osobiście sądził, że wykonanie szwankowało, ale jeśli wyborcy nie mieli tego za złe, dlaczego on nie miałby dzielić ich zdania.

Potem z Uriasem odprężyli się nad butelką brandy. Padway powiedział, że elekcja to frajer, no i musiał tłumaczyć, co to znaczy. Z dwóch przeciwników jeden wycofał się, a drugi, Harjis, syn Austrowalda, był starszym człowiekiem o bardzo odległych powiązaniach z Amalingami.

Wtedy nadbiegł bez tchu jeden z agitatorów.

- Przyjechał Thiudegiskel! - Wyglądało na to, że ludzie nabrali zwyczaju odwiedzania Padwaya z przyspieszonym oddechem.

Martin nie tracił czasu. Odnalazł kwaterę przeciwnika, zebrał paru gockich żołnierzy i wyruszył, by aresztować młodziana. Thiudegiskel ze swą bandą zajął jedną z lepszych gospód w mieście, wyrzuciwszy poprzednich gości z bagażami na ulicę.

Ferajna obzerała się na oczach wszystkich. Nie zdążyli jeszcze zmienić podróżnych strojów. Wyglądali na zmęczonych, ale gotowych do akcji. Padway wkroczył. Thiudegiskel podniósł głowę i popatrzył.

- To znowu ty. Czego chcesz? Martin oznajmił:

- Mam nakaz aresztowania cię pod zarzutem niesubordynacji i dezercji. Podpisał go Urias...

- Ja, ja - przerwał Królewski syn. - Dobrze wiem, o co chodzi, mój drogi. Pewnie myślałeś, że będę z dala od Florencji, żebyś przeprowadził wybory beze mnie? Nie jestem taki, Martinusie. Jestem tu, jestem kandydatem i przypomnę sobie wszystko, co teraz zrobisz, gdy będę królem. Co jak co, ale mam piekielnie dobrą pamięć.

Padway odwrócił się do żołnierzy.

- Aresztujcie go!

Rozległo się gwałtowne skrzypienie krzeseł, gdy banda wstała jak jeden mąż i jak jeden mąż chwyciła za rękojeści mieczy.

- No, co?! - niecierpliwił się Padway patrząc na swoich ludzi. Starszy rangą, coś jakby sierżant, odchrząknął:

- Cóż, panie, wiemy, że jesteś naszym zwierzchnikiem, no i tego... ale te wybory nie są takie pewne, no i tego... Nie wiemy, kto nam będzie rozkazywał za parę dni. Przypuśćmy, że aresztujemy tego młodzieńca, a on zostanie królem. Kiepska sprawa będzie z nami, co, panie?

- O, wy... - wściekał się Padway, ale uzyskał tyle, że żołnierze zaczęli wymykać się za drzwi. Młody gocki szlachcic imieniem Willimer szeptał do Thiudegiskela, bawiąc się mieczem. Thiudegiskel potrząsnął głową i zwrócił się do Padwaya:

- Zdaje się, że mój przyjaciel nie lubi cię, Martinusie. Przysięga, że złoży ci wizytę, gdy tylko wybory się skończą. Dla własnego dobra lepiej wybierz się na małą wycieczkę poza Italię. Prawdę powiedziawszy, wszystko, co mogę zrobić, to powstrzymać go od złożenia ci wizyty już teraz.

Większość żołnierzy zdążyła wyjść. Padway zdał sobie sprawę, że powinien pójść w ich ślady, jeśli nie chce, żeby te szlachetne rzezimieszki zrobiły z niego hamburgera.

Zgromadził tyle godności, na ile go było teraz stać.

- Znasz prawo przeciw pojedyńkom?

Thiudegiskel odparł z dobroduszną arogancją:

- Pewnie, że znam, ale pamiętaj, że to właśnie ja będę przestrzegał poszanowania praw. Ostrzegam cię, Martinusie. Co, jak co...

Padway nie czekał na dalsze wynurzenia Thiudegiskela na temat własnej osoby. Wszedł wściekły i upokorzony. Gdy już skończył kląć własną głupotę i pomyślał o zgromadzeniu greckich żołnierzy, nielicznych, którzy nie byli na północy z Belizariuszem, by spróbować jeszcze raz, było już za późno. Thiudegiskel zebrał tłum zwolenników wokół gospody. Trzeba by wydać bitwę, by ich usunąć. Żołnierze byli zresztą dalecy od entuzjazmu na myśl o bijatyce, a Urias mamrotał coś o honorowym wyjściu z sytuacji poprzez danie szansy królewskiemu synowi.

Następnego dnia przybył Thomasus Syryjczyk. Oczywiście z zadyszką.

- Jak się masz, Martinusie? Nie chciałem przepuścić całej zabawy, więc przyjechałem z Rzymu. Przywiozłem z sobą rodzinę.

To miało swoją wagę. Rodzina Syryjczyka składała się nie tylko z żony i czworga dzieci, ale i ze starego wuja, siostrzeńca, dwóch siostrzenic i czarnego niewolnika Ajaxa oraz jego żony i dzieci.

- Dziękuję, mam się świetnie albo raczej będę miał się świetnie, gdy się trochę prześpię. A co u ciebie? - Dziękuję, doskonale. Interesy dla odmiany idą dobrze.

- A co u twego przyjaciela Boga? - Padway zapytał z poważnym wyrazem twarzy.

- Dziękuję... Co? O, ty bluźnierco, łajdaczyno! To cię będzie kosztowało dodatkowy procent przy następnej pożyczce. Jak wybory?

- Myślę, że nie pójdzie łatwo - stwierdził zatroskany Martin. - Thiudegiskel zyskał spore poparcie wśród konserwatywnych Gotów, którzy nie lubią takich dorobkiewiczów jak Wittigis i Urias. Śmietanka woli Amalinga z urodzenia...

- Śmietanka? A, rozumiem! Ha, ha, ha! Mam nadzieję, że Bóg cię słucha. Może to wprawi Go w dobry humor, gdy będzie rozważał zesłanie zarazy albo trzęsienie ziemi.

Padway kontynuował:

- Ten Thiudegiskel nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Ledwo przybył, a już wysłał przyjaciół, by zrywali moje plakaty i nalepiali jego. Nie są najlepsze, ale i tak byłem zaskoczony, że wpadł na ten pomysł. Było parę bójek na pięści, jedna rozprawa na noże, na szczęście nie śmiertelna. Hm... Znasz Dagalaifa, syna Nevitty?

- Szeryfa? Tylko z imienia.

- Nie jest uprawniony do głosowania. Straż miejska za bardzo boi się Gotów, by utrzymać porządek, a ja nie śmiem użyć swoich żołnierzy, by nie wywołać buntu przeciw "cudzoziemcom". Zaszantażowałem ojców miasta, by zatrudnili Dagalaifa oraz innych szeryfów w policji wyborczej. Nevitta jest po naszej stronie; nie wiem, jak dalece bezstronny będzie jego syn, ale mam nadzieję, że uchroni nas przed regularną bitwą.

- Wspaniale, wspaniale, Martinusie. Nie przeceniaj swoich sił; niektórzy Goci mówią, że twoje metody wyborcze są nowomodne i niegodne. Poproszę Boga o specjalny nadzór nad tobą i twoim kandydatem.

Dzień przed wyborami Thiudegiskel okazał swoją przebiegłość polityczną wydając wielką ucztę, większą nawet niż piknik Padwaya, który litując się trochę nad sakiewką Uriasa ograniczył przyjęcie do samych wyborców. Thiudegiskel, wsparty bogactwem ogromnych posiadłości Thiudahada w Toskanii, pobił go na głowę. Zaprosił nie tylko wyborców, ale też ich rodziny i przyjaciół.

Padway i Urias z agitatorami, Thomasus z rodziną i spory oddział straży przybyli na pole pod Florencją, gdy uroczystości już się zaczęły. Pole obsiadły tysiące Gotów różnego wieku, różnych rozmiarów i różnych płci. Zewsząd słychać było gardłowe, wschodniogermańskie dźwięki, szcęknięcie mieczy w pochwach, szelest skórzanych portek.

Podskoczył do nich jakiś Got z pianą od piwa na wąsiskach.

- Hola, hola, co tu, ludziska, robicie? Nie byliście zaproszeni.

- Ni ogs, frijond - powiedział Padway.

- Co?! Ty mi mówisz, żebym się nie bał? - najeżył się rozmówca.

- Nawet nie próbujemy przyłączyć się do waszej zabawy. Po prostu przyszliśmy urządzić sobie własne śniadanko na trawie. Chyba nie ma zakazu urządzania pikników?

- No... To po co wam całe te uzbrojenie? Wygląda, jakbyście planowali porwanie.

- Chwileczkę, chwileczkę - uspokajał go Padway - przecież ty też nosisz miecz.

- Ale ja jestem na służbie. Robię dla Willimera.

- A ci ludzie dla mnie. Nie martw się o nas. Rozłożymy się po drugiej stronie drogi, jeśli cię to uszczęśliwi. A teraz idź już sobie i napij się piwa.

- W porządku, tylko niczego nie próbujcie. Będziemy mieli na was oko, jakby co. - Got odszedł zzymając się na logiczne wywody Padwaya.

Towarzystwo usadowiło się za drogą, ignorując wrogie spojrzenia stronników Thiudegiskela. Padway rozciągnął się na trawie. Trochę jadł i obserwował zabawę zmrużonymi oczami.

Thomasus odezwał się:

- Najświetniejszy generale Uriasie, ten wzrok mówi mi, że nasz przyjaciel Martinus planuje jakąś szczególnie diabelską sztuczkę.

Thiudegiskel z kilkoma kompanami wdrapali się na podium dla mówcy. Willimer przedstawił kandydata z godną pochwałą zwięzłością. Potem Thiudegiskel zaczął mówić. Padway uciszył towarzystwo i natężył słuch. Mimo to gwar i odległość sprawiły, że niewiele usłyszał z przemówienia. Kandydat oczywiście chełpił się swoim wspaniałym charakterem. Ku przerażeniu Padwaya, publiczność przełknęła to gładko. Ryczeli ze śmiechu nad grubiańskimi dowcipami mówcy.

- ...i czy wiecie, przyjaciele, że generał Urias miał już dwanaście lat, gdy jego biednej matce udało się go odzwyczaić od moczenia łóżka? Tak było. Co jak co, ale nigdy nie przesadzam. Zresztą trudno przesadzić w opisywaniu osobliwości Uriasa. Na przykład, pierwszy raz umówił się z dziewczyną...

Urias rzadko bywał gniewny, ale teras był bliski wybuchu. Martin musiał szybko coś wymyślić, bo bitwa wisiała na włosku.

Spojrzał na Ajaxa i jego rodzinę. Najstarszym synem niewolnika był dziesięcioletni czekoladowy chłopczyk o kręconych włosach.

- Ktoś może wie, czy Thiudegiskel jest żonaty? zapytał Padway.

- Tak - odparł Urias. - Ta świnią ożeniła się przed wyjazdem z Kalabrii. Dziewczyna też milutka, kuzynka Willimera.

- Hm, hm. Słuchaj, Ajax, czy twój najstarszy syn mówi trochę po gocku?

- Ależ nie, panie, skąd? - Jak ma na imię?

- Priam. -

Priam, czy chciałbyś zarobić parę sestercji? Chłopiec skoczył i uklonił się. Taki poddańczy gest u dziecka wydał się Marlinowi odpychający. Pomyślał, że pewnego dnia musi coś zrobić z niewolnictwem.

- Tak, panie - pisnął chłopczyk.

- Umiałbyś powiedzieć „altu”? To po gocku "ojciec".

Priam posłusznie powiedział:

- Attu. No, i co z moimi sestercjami?
- Nie tak szybko. To dopiero początek. Powtórz parę razy "altu".
- Padway wstał i popatrzył na pole. Zawołał cicho:
- Hej, Dagalaif!

Szeryf wydostał się z tłumu i podszedł.

- Hail! Martinusie! Co mogę dla ciebie zrobić?

Martin wyszeptał instrukcję, potem rzekł do Priama:

- Widzisz tego człowieka w czerwonym płaszczu na podwyższeniu? Tego, który mówi? Masz podejść, wspiąć się do niego i powiedzieć "alta". Głośno, tak żeby każdy słyszał. Powtarzaj to wiele razy, dokąd coś się nie stanie. Potem biegiem wracaj.

Priam zmarszczył brwi w skupieniu.

- Ale to nie jest mój ojciec. To jest tatuś! - Wskazał na Ajaxa.
- Wiem, ale rób, co ci mówi, jeśli chcesz dostać pieniądze. Pamiętaj, co masz zrobić?

I tak Priam przecisnął się przez tłum Gotów razem z Dagalaifem. Padway stracił ich z oczu na chwilę, podczas gdy Thiudegiskel wrzeszczał dalej. Potem mała czarna sylwetka, podsadzona przez Dagalaifa, pojawiła się na podwyższeniu. Rozległ się dźwięczny dziecięcy głosik:

- Atta! - Mówca przerwał w połowie zdania. Priam powtarzał: - Atta! Atta!
- Wygląda na to, że cię zna - krzyknął głos z dołu.

Thiudegiskel stał w pochmurnym milczeniu, czerwieniejąc coraz mocniej. Cichy śmieszek wśród Gotów urósł do ryku.

Priam krzyknął jeszcze głośniejsze:

- Atta!

Thiudegiskel chwycił za miecz i ruszył w stronę chłopca. Padwayowi serce zamarło.

Ale Priam zeskoczył prosto w ramiona Dagaiaifa. Thiudegiskel wymachiwał mieczem i ryczał w kółko:

- To łgarstwo! - Usta mu się poruszały, ale słowa ginęły w homeryckim śmiechu narodu gockiego. Dagalaif i Priam biegli w ich stronę. Szeryf trzymał się za żołądek i lekko się zataczał. Padway zaniepokoił się. Była to jednak tylko czkawka ze śmiechu.

Uderzył Gota parę razy w plecy, aż ten się uspokoił, a potem zwrócił się do towarzyszy:

- Jak będziemy się tu włóczyć, to Thiudegiskelowi wróci przytomność i z wściekłości naśle na nas ludzi z mieczami. W moim kraju mówi się "spływamy!". Myślę, że to dobre określenie na to, co mamy zrobić. Chodźmy!

- Hej, panie - pisał Priam - gdzie są moje sesterce? O, dzięki ci, panie. Czy chcesz, żebym jeszcze kogoś nazwał ojcem?

- Sprawa wygląda na pewną - powiedział Padway do Uriasa. - Thiudegiskel nie naprawi już tego, co się stało. My, Amerykanie mamy sposoby, żeby wybory wyszły tak, jak trzeba. Na przykład: cuda nad urną, martwe dusze. Ale nie sądzę, żebyśmy potrzebowali ich używać.

- Co, u licha, znaczą te "martwe dusze", Martinusie? Czy to jakiś rodzaj magii?

- Nie, wyjaśnię ci to kiedyś. Nie chcę korumpować waszego systemu wyborczego bardziej niż to konieczne.

- Posłuchaj, jeśli ktoś zbada sprawę, wszyscy się dowiedzą, że Thiudegiskel padł ofiarą żartu. Czy nie przegramy wtedy wyborów?

- Nie, mój drogi Uriasie, nie tak działają umysły wyborców. Nawet jeśli dowiedzie swojej racji, to dał z siebie zrobić takiego durnia, że nikt nie weźmie go na serio, bez względu na jego osobiste zalety, jeśli jakieś ma.

W tym momencie wpadł bez tchu agitator wyborczy. Wydyszał:

- Thiu...Thiudegiskel...

- Muszę wprowadzić zasadę, że ludzie, którzy chcą się ze mną widzieć, czekają za drzwiami, aż złapią oddech. Co takiego, Roderiku?

Roderik wreszcie wydobył z siebie:

- Thiudegiskel opuścił Florencję. Nikt nie wie, dokąd się udał. Willimer i paru przyjaciół podążyło za nim. Padway natychmiast wysłał telegraficznie rozkaz Uriasa odbierający Thiudegiskelowi rangę pułkownika czy też jej przybliżony odpowiednik w zagmatwanym systemie gockich stopni wojskowych. Potem siedział jak na rozżarzonych węglach i czekał na nowiny.

Nadeszły następnego ranka w trakcie głosowania, ale nie dotyczyły Thiudegiskela. Wielka armia cesarska przeprowiła się z Sycylii i wylądowała na wybrzeżu Bruttium przy Vibo, nie zaś tam, gdzie się jej spodziewano - przy czubku italskiego buta.

Padway natychmiast powiadomił Uriasa. Ostrzegł go: - Nie mów o tym przez parę najbliższych godzin. Wybory mamy w kieszeni i po co to zepsuć.

Ale pogłoski zaczęły krążyć. Telegraf obsługują ludzie i trudno wymagać, żeby sekret utrzymał się długo. Gdy ogłoszono zwycięstwo Uriasa w proporcji dwa do jednego, Goci zainscenizowali naprędce demonstrację na ulicach Florencji, żądając, by ich poprowadzić przeciw najeźdźcy.

Potem nadeszły szczegółowe informacje. Armię cesarską, dobrze ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, wiódł Krwawy Jan. Widocznie wściekły z powodu listu Justynian przetransportował wojsko partiami na Sycylię.

Padway i Urias obliczyli, że nie odwołując oddziałów z Prowansji i Dalmacji są w stanie zebrać połowę tego, co ma Krwawy Jan. Następne wiadomości zredukowały ten szacunek. Cesarski wódz, zdolny, okrutny i pozbawiony skrupułów żołnierz, wysłał oddział przez góry Sila, boczną drogą z Vibo do Scyllacium, gdy główne siły podążały Via Popiliana do Reggio. Garnizon tego miasta, piętnaście tysięcy ludzi odciętych na czubku "buta", wystrzelił dla ocalenia honoru trochę pocisków i poddał się. Krwawy Jan połączył znów siły i ruszył na północ.

Martin odprowadzał Uriasa do Rzymu pełen złych przeczuć. Jego armia robiła na oko dobre wrażenie: nowe jednostki konnych łuczników, baterie ruchomych katapult, ale Padway wiedział, że były to świeże oddziały, nie wypróbowane w nowych formach walki. Niedawno wprowadzona taktyka mogła zawieść w ogniu bitwy.

Kiedy już odjechali, nie było sensu się zamartwiać. Padway wznowił eksperymenty z prochem. Może trzeba było spróbować węgla z różnych rodzajów drewna, ale to wymagało czasu. Tego towaru było mało na składzie. Wkrótce okazało się, że wcale.

Zbierając po kawałku sprzeczne informacje przesyłane telegraficznie Padway zrozumiał, co się stało. Thiudegiskel dotarł do wojsk w Kalabrii bez przeszkód. Odmówił uznania rozkazu odbierającego mu dowództwo i podburzył swoich ludzi. Można się było domyśleć, że słowa tak zdolnego i pewnego siebie mówcy wywarły większe wrażenie na niepiśmiennych w swej masie Golach, niż krótki, zimny tekst, przesłany tajemniczym sposobem.

Krwawy Jan posuwał się ostrożnie. Dotarł zaledwie do Consentii, gdy Urias stanął mu na drodze. Mogło to być uknute ręką w rękę z Thiudegiskelem, by wciągnąć Uriasa w pułapkę jak najdalej na południe.

Gdy wodzowie wrogich armii szukali swych słabych miejsc wzdłuż brzegu rzeki Crathis, Thiudegiskel zaatakował Uriasa od tyłu. Chociaż miał tylko pięć tysięcy lansjerów, ich niespodziewana szarża złamała morale armii gockiej. W kwadrans, w dolinie rzeki kłębiło się tysiące jeźdźców, pieszych i konnych łuczników i pikinierów, rozbiegając się na wszystkie strony. Tratowali się kirasjerzy cesarscy i oddziały posiłkowe konnicy gepidzkiej i longobardzkiej. Tysiące ludzi poszło do niewoli. Reszta uciekła na wzgórze, gdzie skrył ich zapadający mrok.

Uriasowi udało się utrzymać gwardię przyboczną i uderzył na oddział Thiudegiskela. Wieść niesła, że osobiście zabił zdrajcę. Martin mocno w to wątpił, znając upodobanie żołnierzy do tego rodzaju mitów. Prawdą jednak było, że Thiudegiskel zginął i że Urias ze swymi ludźmi zaatakował

w ostatniej desperackiej szarży cesarskie hufce i ślad po nim zaginął. Nikt z Gotów, kto uszedł śmierci, więcej go nie widział.

Padway godzinami siedział przy stole, gapiąc się na stosy telegramów i koszmarnie niedokładną mapę Italii. - Może ci coś przynieść, prześwietny szefie? - zapytał Fritharik.

Padway pokręcił głową.

Junianus też pokręcił głową.

- Obawiam się, że nieszczęście mogło zaćmić umysł naszego Martinusa.

Fritharik parsknął pogardliwie.

- Widać, że go nie znasz. Tak właśnie wygląda, gdy coś planuje. Poczekaj trochę, obmyśli piekielnie sprytny sposób na Greków.

Junianus zajrzał przez drzwi.

- Nowe depesze, panie.

- Jakie wieści?

- Krwawy Jan w połowie drogi do Salerno. Ludność miejscowa wita go przychylnie. Belizariusz donosi, że pokonał wielkie siły Franków.

- Wejdz Junianusie. Inni zechcą zostawić nas samych. Słuchaj, pochodzisz z Lukami?

- Tak, panie.

- Byłeś poddanym?

- No... hm... panie... widzisz... - Silny młodzieniec nagle przestraszył się.

- Nie bój się, nie pozwolę, żeby cię zaciągnęli z powrotem do dóbr twojego pana.

- No... tak, byłem.

- Kiedy wiadomość mówi o "miejscowej ludności" witającej Krwawego Jana, oznacza to chyba głównie właścicieli ziemskich?

- Tak, panie. Poddanym jest wszystko jedno. Każdy pan jest jednakowo uciążliwy. To dlaczego mieliby dać się zabić za kogoś z nich, czy to będzie Grek, Italczyk czy Got?

- A jeśli da im się gospodarstwa na własność, bez panów na karku, jak sądzisz, zechcą za to walczyć? - Ależ... - Justynian wziął głęboki oddech - ... myślę, że zechcą, ale to tak niecodzienny pomysł, jeśli pozwolisz, że zwrócę ci uwagę.

Walczyliby nawet po stronie ariańskich heretyków?

- Myślę, że to nie miałyby znaczenia. Kuriałowie i plebs miejski mogą brać ortodoksję na serio, ale większość wieśniaków to i tak na pół poganie i czczą swoją ziemię bardziej niż jakiegokolwiek mniemane siły niebieskie.

- Tak właśnie myślałem. - Padway pokiwał głową. - Tu masz kilka depesz do wysłania. Pierwsza to edykt, wydany przeze mnie w imieniu Uriasa, wyzwalający poddanych z Bruttium,

Lukami, Kalabrii, Apulii, Kampanii i Samnium. Druga to rozkaz dla Belizariusza. Niech zostawi siły osłaniające w Prowansji na wypadek ponownego ataku Franków i niech wraca natychmiast z głównymi siłami na południe. Aha, Frithariku, zechciej przyprowadzić Gudarethsa i chciałbym też widzieć się z majstrem drukarni.

Gdy nadszedł Gudareths, Padway objaśnił mu swój plan. Mały Got aż zaświstał.

- No, no, to desperackie posunięcie, czcigodny Martinusie. Nie jestem pewien, czy rada królewska to zaaprobuje. Jeśli teraz uwolnisz wszystkich tych chłopów, to jak później zapędzimy ich z powrotem w poddaństwo?

- Nie zapędzimy. Jeśli zaś chodzi o radę królewską, to większość odjechała z Uriasem.

- Ależ Martinusie, nie zrobisz z nich wojska w tydzień czy dwa. Uwierz słowom starego żołnierza, który zabił setki wrogów swą prawicą. Ba, tysiące, na Boga.

- Wiem, wiem - rzekł Padway znużonym głosem. - Co zatem? Ci Italczycy nie są zdolni do bitwy. Brak im ducha. Lepiej oprzyj się na gockim wojsku, które uda się nam zebrać. To prawdziwi wojownicy, tacy jak ja.

- Nie zamierzam pobić Krwawego Jana świeżymi rekrutami - stwierdził Marten - ale zmuszę go w ten sposób do posuwania się przez wrogo nastawiony kraj. Ty zajmiesz się posiłkami. Wydostań też trochę zdymisjonowanych oficerów.

Padway zebrał armię i wyruszył z Rzymu o rześkim wiosennym poranku. Nie było to pokazowe wojsko. Starsi Goci, którzy czuli się już zwolnieni ze służby czynnej, i młodzieniaszki przechodzące mutację. Gdy przepychali się w bezładzie ulicą Patrycjusza, Marten wpadł na pewien pomysł. Kazał oficerom sztabowym jechać dalej mówiąc, że ich dogoni, i pocwałował w kierunku Eskiwilinu.

Dorothea wyszła przed dom.

- Martinusie, znów dokądś wyjeżdżasz?

- Zgadza się.

- Nie odwiedzałeś nas od miesięcy! Ilekroć cię widzę, masz tylko minutę, a potem wskakujesz na konia i odjeżdżasz.

Padway rozłożył bezradnie ręce.

- Będzie inaczej, gdy uwolnię się od tej przeklętej wojny i polityki. Czy twój dostojny ojciec jest w domu? - Nie, poszedł do biblioteki. Będzie rozczarowany, że cię nie spotkał.

- Pozdrów go ode mnie.

- Czy będzie wojna? Słyszałam, że Krwawy Jan jest w Italii.

- Na to wygląda.

- Będziesz w walce?

- Prawdopodobnie.

- Och! Martinusie! Poczekaj chwileczkę. - Wbiegła do domu. Wróciła z małą skórzaną torebką. - To cię uchroni od złego.

- Co to jest?

- Kawałek czaszki świętego Polikarpa.

Padway uniósł brwi.

- Wierzysz w skuteczność tego?

- O, tak! Matka dużo zapłaciła za tę relikwię. Nie ma wątpliwości, że jest prawdziwa. - Zawiesiła mu torebkę na szyi i schowała ją na piersi pod tuniką.

Martenowi nie mieściło się w głowie, że wykształcona dziewczyna zaakceptuje przesady jej czasów. Wzruszył go jednak ten gest.

- Dziękuję, Dorotheo. Dziękuję z całego serca. Ale jest coś jeszcze, co będzie skuteczniejszym zaklęciem.

- A co takiego?

- A to. - Pocałował ją lekko w usta, po czym skoczył na konia. Dorothea stała ze zdziwionym, ale nie urażonym wyrazem twarzy. Zawrócił konia i pojechał w dół ulicy. Odwrócił się w siodle, by jej pomachać, i o mały włos nie spadł. Koń szepił się z zaprzęgiem wołów, który wyjechał z bocznej ulicy. Woźnica wykrzykiwał:

- Carus dominus, Jesus Christus, Maria mater Dei, dlaczego nie patrzysz, gdzie leziesz? San'tus Petrus Paulus, Joannes, Lucas...

Gdy woźnica wyliczał apostołów, Padway upewnił się, czy nie wyrządził szkody. Dorothei nie było w zasięgu wzroku. Miał nadzieję, że nie była świadkiem skutków jego pięknego gestu.

W końcu maja 537 r. armia Padwaya wkroczyła do Beneventa. Siły wznosiły powoli, w miarę jak niedobitki armii Uriasa spływały na północ. Tylko tego ranka furazerowie znaleźli trzech Gotów wygodnie urządzonych w wiejskiej chałupie, mimo protestów właściciela. Mieli zamiar tam pozostać do końca wojny. Musieli jednak, wbrew woli, dołączyć do szeregów.

Zamiast podążać wzdłuż morza Tyrreńskiego lub zachodniego wybrzeża wprost do Neapolu, Padway przemaszerował w poprzek Italii do Adriatyku na wysokości Teate. Potem skierował się do Lucery i Beneventa. Na wschodnim wybrzeżu nie było jeszcze telegrafu, toteż śledził ruchy Krwawego Jana wysyłając gońców przez Apeniny do stacji sygnalizacyjnych pozostających ciągle poza zasięgiem nieprzyjaciela. Koordynował posunięcia tak by dojść do Beneventa po wymarszu Jana z Salerno i Neapolu, drogą latyńską od Rzymu.

Miał nadzieję uderzyć na tyły cesarskich w okolicach Kapui, gdy Belizariusz, o ile otrzymał nieprzekłamane rozkazy, nadejdzie od strony Miasta i zaatakuje ich od frontu.

Gdzieś między Padwayem a Adriatykiem działał Gudareths, nieudolnie prowadząc tabor wozów napełnionych pikami i ulotkami z proklamacją znoszącą poddaństwo. Piki wygrzebano ze strychów, wykuto z żelaznych sztchet i podobnych rupieci. Arsenale w Padwie, Weronie i innych północnych miastach były za daleko, by zaopatrzenie przybyło na czas.

Wieść o zniesieniu poddaństwa rozniosła się z szybkością płomienia na rozlanej benzynie. Chłopi powstali w całej południowej Italii. Bardziej interesowała ich jednak grabież i palenie pańskich dworów niż udział w walce.

Tylko kilka tysięcy przyłączyło się do armii. Padway, widząc ten niezorganizowany tłum tłoczących się na drodze, gadających bez ustanku i chrapiących po rowach wieśniaków, powątpiewał w ich wartości bojowe. Ten i ów nosił hełm i łuskowaty pancerz prapradziadka legionisty, zdjęty z kołka po stu latach.

Benevento leżało na pagórku, w widłach rzek Calore i Sabato. Gdy weszli do miasta, Padway zobaczył kilku Gotów siedzących przed jednym z domów. Jeden z nich wydał mu się znajomy...

- Dagalaif! - krzyknął. Szeryf podniósł wzrok.

- Hails - odrzekł bezbarwnym, znużonym głosem. Głowę miał obandażowaną, plamy zakrzepłej krwi widniały na miejscu, gdzie powinno być prawe ucho.

- Usłyszeliśmy, że będziesz tędy przejeżdżał, czekaliśmy więc.

- Gdzie jest Nevitta?

- Ojciec nie żyje.

- Co? Ach... - Martin umilkł na kilka sekund. Do diabła, był jednym z moich nielicznych prawdziwych przyjaciół.

- Wiem. Zginął jak prawdziwy Got.

Padway westchnął i odjechał, by zająć się zakwaterowaniem wojska. Dagalaif nadal siedział pod ścianą, patrząc w przestrzeń.

Rozbili się w Benevento w jeden dzień. Potem przyszła wiadomość, że Krwawy Jan maszerując na północ zbliżył się do połączenia dróg pod Calatią. Nie było wiadomości o Belizariuszu, toteż najlepsze, co Padway mógł wymyśleć, to akcja opóźniająca marsz Bizantyjczyków, tak by zatrzymać ich na południu, dopóki nie nadejdą posiłki.

Zostawił piechotę w Benevento i odjechał do Calatii z kawalerią. Miał już całkiem pokaźny oddział konnych łuczników. Nie byli tak dobrzy jak cesarscy kirasjerzy, ale trudno.

Fritharik, jadąc obok, odezwał się:

- Czyż te kwiaty nie są śliczne, prześwietny szefie? Przypominają mi ogrody w mojej pięknej kartagińskiej posiadłości. Ech, było na co popatrzeć...

Padway zwrócił w jego stronę wychudłą twarz. Uśmiechnął się z trudem.

- Stajemy się poetyczni, co, Frithariku?

- Ja poeta? Ha! Tylko dlatego, że chcę mieć parę miłych wspomnień w trakcie tej mojej ostatniej przejażdżki po tym padole...

- Dlaczego mówisz: ostatniej?

- Mówię tak, a i ty nie powiesz nic innego. Podobno Krwawy Jan trzykrotnie przewyższa nas liczebnością. Nie spoczniemy w bezimiennym grobie, bo nie zatroszczą się, żeby nas pochować. Ostatniej nocy miałem wieszczy sen...

Gdy zbliżyli się do Calatii, gdzie droga Trajana krzyżowała się z drogą łatyńską, zwiadowcy donieśli, że ogon armii Krwawego Jana właśnie wydostał się z miasta. Padway wydał rozkazy. Szwadron lansjerów i oddział konnych łuczników pogalopowały w dół drogi. Martin wjechał na pagórek, by lepiej widzieć. Coraz mniejsze i mniejsze figurki pojawiały się i niknęły za za krętami. Słychać było daleki poszum armii cesarskiej, niewidocznej zza oliwnych zagajników.

Nagle rozległy się, stłumione odległością, krzyki i brzęczenie. Coś jakby bitwa między komarami a moskitami.

Padway gryzł palce z niecierpliwości. Teleskop był bezużyteczny: przeszkody terenowe uniemożliwiały obserwację. Nikłe dźwięki dochodziły z oddali. Nad oliwkami wzniósł się cienki słup dymu. Dobrze. To znaczy, że podpalili tabor. Najbardziej obawiał się, że wbrew rozkazom rzuca się płądować.

Potem na drodze pojawiła się mała ciemna chmurka, zwieńczona cienkimi lancami. Padway zerknął przez teleskop, by się upewnić, czy to jego ludzie. Zjechał z pagórka i wydał jeszcze parę rozkazów. Połowa konnych łuczników rozsypała się w półksiężyc w poprzek drogi. Za nimi ulokował się oddział lansjerów.

Czas mijał. Ludzie opływali potem pod kolczugami. Potem zbliżyła się straż przednia, jadąca ostrym galopem. Szczęrzyli zęby. Paru wymachiwało trofeami zdobytymi mimo zakazu plądrowania. Wjechali pomiędzy łuczników.

Dowódca podjechał do Padwaya i krzyknął:

- Podziałało jak zakłęcie. Uderzyliśmy na ich wozy, przegnaliśmy straż i podpaliliśmy je. Wtedy wrócili, żeby nas zaatakować. Zrobiliśmy tak, jak kazałeś. Łucznicy najpierw zasypali ich strzałami, a potem, kiedy już był ładny bałagan, użyliśmy lanc. Atakowali nas dwa razy. Wreszcie Jan przybył osobiście z całą armią. Wtedy zwinęliśmy się. Będą tu za moment.

- Świetnie - pochwalił Martin. - Znacie rozkazy. Oczekujcie nas na przełęczy Tifata.

Odjechali, a Padway został. Nie musiał długo czekać. Wkrótce pojawiła się kolumna cesarskich kirasjerów; pędzili na łeb, na szyję. Znaczyło to, że Krwawy Jan poświęcił szyk dla szybkości pościgu, gdyż kawaleria nie była w stanie poruszać się przez pola i zagajniki po obu stronach drogi równie błyskawicznie, jak zbliżający się traktem hufiec. Jeśli zdołałby nawet rozwinąć skrzydła, to minie trochę czasu, zanim nadciągną.

Postacie cesarskich rosły w oczach. Kopyta grzmiały na brukowanej drodze. Wyglądali wspaniale w rozwianych płaszczach, oficerowie w hełmach z pióropuszcami. Dowódca, w błyszczącej zbroi, spostrzegł, w co się ładuje, i wydał rozkazy. Lance pochyliły się do boju, napięły się cięciwy łuków. Byli jednak już w zasięgu strzału i Goci rozpoczęli akcję. Krótkie smagnięcia cięciw i świst strzał dołączyły się do wrzawy bojowej nadciągających Bizantyjczyków. Koń ich dowódcy, piękny siwek, stanął dęba i runął podcięty przez innego wierzchowca. Czoło szarżującej kolumny przekształciło się w skotłowaną masę koni i ludzi.

Padway popatrzył na dowódcę swoich lansjerów. Zakręcił dwa razy ręką nad głową i wskazał na cesarskich. Szyk konnych łuczników rozstał się; gocy rycerze ruszyli do szarży. Jechali jak zwykle, z początku wolno, potem coraz szybciej; gdy dosięgnęli nieprzyjaciela, ich ciężkie konie nabrały już niepowstrzymanego impetu. Cesarscy desperacko bronili się w zwarciu, ale i robili użytek z łuków, gdy tylko zdołali oderwać się od prześladowców.

Kątem oka Padway zauważył grupę konnych, przejeżdżających nieopodal szczytu pagórka. Znaczyło to, że nadciągają skrzydła armii Krwawego Jana. Kazał trąbić do odwrotu, ale rycerze nie zaprzestali naciskać wroga. Mieli przewagę ciężkiego uzbrojenia i wiedzieli o tym. Padway

pogalopował za nimi. Jeśli nie powstrzyma tych cholernych durniów, armia cesarska połknie ich wszystkich.

Strzała świsnęła nieprzyjemnie blisko jego głowy. Stwierdził, że bardziej mu to działa na nerwy, niż się spodziewał. Dogonił swoich Gotów, przemocą wyciągnął ze ścisku dowódcę i krzyknął mu w ucho, że czas się wycofać. Tamten odkrzyknął:

- Ni! Nist! Dobry bój! - Wydarł się Padwayowi i dał nura z powrotem.

Kiedy Padway zastanawiał się, co dalej robić, jakiś cesarski przedarł się przez Gotów i nadszedł prosto na niego. Martin nie pomyślał wcześniej o wyciągnięciu miecza. Zrobił to teraz, a potem musiał gwałtownie się uchylić przed ostrzem lancy. Puścił wodze, stopy wypadły mu ze strzemion, o mało nie stracił miecza. Ledwo utrzymał się na koniu. Gdy znów wyprostował się w siodle, cesarskiego już nie było. Padway w panice skaleczył konia mieczem. Wierzchowiec zaczął tańczyć nerwowo. Martin wpił się palcami w grzywę.

Teraz Goci rzucili się do ucieczki. W kilka sekund wszyscy, poza nielicznymi okrążonymi przez cesarskich, galopowali wzdłuż drogi. Padway już myślał z przerażeniem, co będzie, gdy zostanie sam przeciw Bizantyjczykom na tej rozbrykanej szkapie, gdy zwierzę z własnej woli ruszyło za innymi.

Teoretycznie był to odwrót strategiczny, ale patrząc na gockich rycerzy Padway nie sądził, by udało mu się ich zatrzymać po tej stronie Alp.

Wreszcie zdołał chwycić wodze. Ledwie opanował zwierzę, gdy spostrzegł pieszego żołnierza. Miał gołą głowę, ale wyróżniał się błyszczącą zbroją. To był dowódca cesarskich. Padway podjechał do niego. Bizantyjczyk zaczął uciekać. Martin sięgnął po miecz i stwierdził, że nie ma po co sięgać. Nie pamiętał, kiedy go zgubił, pewnie wtedy, gdy chwycił wodze. Schylił się i złapał tamtego za włosy. Ścigany zawył i zaczął podskakiwać jak kozioł.

Rzut oka w tył upewnił Padwaya, że cesarscy wybili okrążonych Gotów i podjęli pościg. Przekazał jeńca lansjerowi. Ten przerzucił cesarskiego przez łęk siodła, twarzą do dołu. Odjechał uradowany, płazując nieszczęśliwego Greka po tyłku.

Zgodnie z planem konni łucznicy zajęli miejsce w szyku za lansjerami. Galopujący na końcu wypuszczali za siebie strzały.

Do przełęczy zostało dziewięć mil, przeważnie pod górę. Martin miał nadzieję, że nigdy już nie powtórzy się taka jazda. Był pewien, że następnym razem rozpadnie się na kawałki. Gdy przełęcz znalazła się już w zasięgu wzroku, konie ściganych i ścigających były zajęzione do tego stopnia, że mogły zaledwie iść stępa. Niektórzy jeźdźcy zsiadli i prowadzili wierzchowce. Padway przypomniał sobie opowiadanie o tym, jak pewnego dnia w Texasie był taki upał, że widziano

kojoty ścigające króliki wolnym krokiem. Zrobił z kojota lisa i przetłumaczył historię na gocki. Opowiedział najbliższemu jadącemu. Anegdota powoli przeszła wzdłuż linii.

Urwiska czerwieniały w późnych promieniach zapadającego słońca, gdy gocka kolumna przepchnęła się wreszcie przez przełęcz. Stracili niewielu ludzi, ale byli śmiertelnie zmęczeni. Na szczęście cesarscy też ledwo trzymali się na nogach. Ścigali ich mimo wszystko. Padway słyszał oficera ryczącego, aż echo odbijało się o ściany przełęczy:

- Odpoczniesz, jak ci każę, ty leniwa świnio! Rozejrzył się z zadowoleniem. Oddziały, które wysłał przodem, czekały spokojnie na stanowiskach. Nie brały jeszcze udziału w bitwie. Za nimi stała grupa, która podpaliła tabory. Jeszcze dalej rozciągnęli się w trawie żołnierze zdrożeni wycieczką.

Nadciągnęli cesarscy. Widać było, jak spoglądają nerwowo na zbocza, ale Krwawy Jan najwyraźniej nie dopuszczał myśli, że ma do czynienia z wrogiem planowo prowadzącym bitwę. Kolumna zbliżała się do najwyższego miejsca przełęczy. Echo powtarzało tętent końskich kopyt. Słońce rzucało na jeźdźców skośne promienie.

Rozgległ się głuchy grzmot, gdy gałęzi i pnie drzew potoczyły się w dół odbijając się od zboczy. Konie zarżały przeraźliwie. Cesarscy rozbiegli się jak mrówki w rozgrzebanym mrowisku. Padway dał znak do szarży.

Miejsca starczało zaledwie na sześć ciasno ustawionych koni. Skały i kłody nie wyrządziły wielkiej szkody cesarskim. Utworzyły jednak stertę, która przecięła kolumnę na dwie części. Teraz Goci uderzyli na bliższą z nich. Kirasjerzy, przytłoczeni do bariery przez cięższą zbrojnych przeciwników, nie byli w stanie dokonać manewru, a nawet użyć łuków. Walka skończyła się, gdy niedobitki ześlizgnęły się z siodła i pieszo przelazły na drugą stronę. Goci spędzili z pohukiwaniem porzucone konie.

Krwawy Jan wycofał się na odległość kilku strzałów z łuku. Potem wysłał grupkę kirasjerów, by ubezpieczali siły główne zaporą strzał. Padway obsadził przełęcz spieszonymi łucznikami. Pociski zza barykady zmusiły cesarskich do odwrotu.

Teraz Krwawy Jan pchnął longobardzkich lansjerów, by zmiotli gockich strzelców z drogi. Ich szarża zatrzymała się na przegrodzie. Gdy krok po kroku szukali przejścia między gałkami, Goci szpikowali ich strzałami. Longobardzi zrejterowali, zostawiając na barykadzie tuzin trupów ludzkich i końskich.

Przez ten czas nawet znacznie głupszy od Krwawego Jana dowódca zrozumiałby, że na tak ograniczonej przestrzeni konnica będzie równie użyteczna jak zielone papugi. Świadomość tego, że może równie łatwo, jak i Goci, utrzymać swoje pozycje, niezbyt mogła pocieszyć wodza, który chciał sforsować przełęcz. Krwawy Jan wysłał zatem nieco przyspieszonych Gepidów i

Longobardów. Tymczasem Padway gęsto obsadził przeszkodę pieszymi lansjerami, a łuczników rozstawił wyżej, na zboczach. by mogli strzelać ponad głowami rycerzy.

Longobardzi i Gepidowie nadbiegli powolnym truchtem. Nosili standardowe żołnierskie kolczugi, ale mimo to wyglądali dziwacznie z podgolonymi od tyłu głowami i zwisającymi z przodu włosami, zaplecionymi w dwa natłuszczone warkocze dyndające po obu stronach twarzy. Lłzbrppeni byli w miecze; niektórzy dzierżyli ogromne, dwuręczne topory bojowe. Gdy się zbliżyli, zaczęli obrzucać Gotów obelgami. Ci, rozumiejąc dialekt wschodniogermański, odpłacili im pięknym za nadobne.

Napastnicy z wyciem przeleźli przez zaporę i zaczęli rąbać włócznie, zanadto stłoczone, by można się było między nimi prześlizgnąć. Następne fale atakujących pchały tych z przodu na ostrza. Niektórzy padli przebici, inni wepchnęli się między drzewce i dopadli włóczników. Wkrótce pierwsze szeregi przeobraziły się w płataninę kwiczących i warczących mężczyzn, stłoczonych zbyt ciasno, by mogli użyć broni. Stojący z tyłu starali się sięgnąć ponad ich głowami.

Łucznicy strzelali bez ustanku. Strzały uderzały z dźwiękiem o hełmy i więzły z drganiem w wielkich drewnianych tarczach. Przebici nie mogli upaść ani się wycofać.

Jakiś łucznik odskoczył między skały po nowy zapas strzał. Goci popatrzyli w jego stronę. Jeszcze paru łuczników wycofało się, choć nie mieli pustych kołczanów. Niektórzy, stojący z tyłu włócznicy, poszli w ich ślady.

Padway poczuł zaczątki paniki. Złapał jakiegoś uciekiniera i zabrał mu miecz. Potem wspiał się na skałę opuszczoną przez łucznika. Wył coś niejasnego nawet dla siebie. Żołnierze zwrócili na niego oczy.

Miecz był ciężki. Padway schwycił go oburącz, dźwignął do góry i spuścił na najbliższej stojącego nieprzyjaciela, którego głowę miał na poziomie pasa. Miecz zadzwęczał o hełm, wbijając go żołnierzowi na oczy. Padway uderzał raz za razem. Człowiek zniknął; Martin rąbnął następnego. Walił w hełmy, tarcze, gołe głowy, barki i ramiona. Nie wiedział, z jakim skutkiem, bo za każdym razem, gdy wracał do siebie po wstrząsie, obraz się zmieniał.

Potem w zasięgu ręki były już tylko głowy Gotów. Cesarscy pełzali w tył przez barykadę, wlokąc ze sobą rannych w przesiąkniętej krwią odzieży i ze strzałami sterczącymi z ciał.

Na pierwszy rzut oka padło około tuzina Gotów. Padway przez moment zastanawiał się gniewnie, dlaczego nieprzyjaciel zostawił mniej trupów. Okazało się, że kilku z tych dwunastu było tylko lekko rannych, a nieprzyjaciel zabrał większość swoich zabitych.

Wokół Padwaya zgromadził się tłumek. Fritharik i ordynans Tirdat mówili mu, jaki to z niego piekielnie sprawny rębacz.

Jakoś tego nie zauważył. Jedyne, co zrobił, to wspinał się na skałę i parę razy grzmotnął wroga, który miał własne kłopoty i nawet nie mógł oddać. Tyle do tego potrzebował sprawności, co do machania motyką.

Słońce zaszło. Armia Krwawego Jana wycofała się w głąb doliny, by rozbić namioty i przyrządzić kolację. Goci postąpili podobnie. Zapach przygotowywanych posiłków rozchodził się po dolinie. Gdyby nie stos ludzkich i końskich trupów na barykadzie, można by pomyśleć, że to dwie grupy biwakujących turystów.

Padway nie miał czasu na rozmyślania. Było trochę rannych. Nie sądził, żeby umieli udzielić sobie pierwszej pomocy. Nie miał nic przeciwko modłom, zaklęciom i wodzie zmieszanej z kurzem z grobowców świętych, ale dopilnował, żeby wygotowano bandaże i założono je odpowiednio. Oczywiście była to magiczna sztuczka Tajemniczego Martinusa.

Jeden stracił oko, ale był nadal pełen wojowniczego zapału, drugi szlochął z powodu utraty trzech palców, trzeci z raną w brzuchu zachowywał się wesoło, nie wiedząc, że wkrótce umrze na zapalenie otrzewnej. Nic na to nie można było poradzić.

Padway doceniał swego przeciwnika. Rozstawił gęstą i szeroko rozciągniętą sieć posterunków. Miał słuszość. Godzinę przed świtem wartownicy przynieśli wiadomości, z których wynikało, że Krwawy Jan ustawił dwa duże oddziały anatolijskich łuczników za wzgórzami po obu stronach sił gockich. Pozycja byłaby wkrótce nie do utrzymania. Żołnierze, ziewając i utyskując, wywlekli się z koców i ruszyli do Benevento.

Gdy słońce wzeszło, Padway przyjrzał się swoim ludziom. Poważnie niepokoiło go ich morale. Wyglądali na zniechęconych i gderali bardziej, niż zwykł to normalnie czynić Fritharik. Nie wiedzieli, co to odwrót strategiczny. Padway zastanawiał się, ile czasu minie, zanim zaczną się poważniejsze' dezercje.

Na bystrym strumieniu Sabato pod Benevento był tylko jeden most. Padway zamyslał utrzymać go przez jakiś czas. Krwawy Jan będzie zmuszony go zaatakować ze względu na brak zaopatrzenia i wrogość chłopstwa.

Na równinie, gdzie zlewały się dwie rzeczki, czekała ich przerażająca niespodzianka. Tłumy wiejskich rekrutów przechodziły mostem w ich kierunku. Kilka tysięcy już przeszło. Powinien jak najszybciej przedostać się ze swoim wojskiem na drugą stronę. Wiedział, co się stanie, gdy szyjka butelki zakorkuje się uchodzącymi oddziałami.

Na spotkanie wyjechał Gudareths.

- Wykonywałem twoje rozkazy! Starałem się ich powstrzymać, ale wpadli na pomysł, że sami pobiją Greków, i ruszyli nie zważając na mnie. Mówiłem ci, że są do niczego!

Padway odwrócił się. Cesarscy byli wyraźnie widoczni. Zaczynali rozwijać szyki. Wyglądało na to, że przygoda się kończy. Słyszał, jak Fritharik robi uwagi o grobach, a Tirdat pyta, czy nie ma jakiegoś zlecenia do przekazania - najlepiej gdzieś w odległe miejsce.

Tymczasem chłopcy spostrzegli nadciągającą gocką kawalerię, ściganą przez wroga. Wyobrazili sobie, że bitwa jest już przegrana. Ich bezładne szyki zaczęły się poruszać, tym razem w przeciwną stronę. Wkrótce droga do miasta zatłoczona była biegnącymi Italczykami. Tych, którzy przeszli przez most, ścisnęła tłuszcza torująca sobie drogi zębami i pazurami.

Padway krzyknął załamującym się głosem do Gudarethsa:

- Postaraj się jakoś przedostać na drugi brzeg! Wyślij konnych na drogę, żeby powstrzymali uciekinierów. Niech ci, z tej strony rzeki, zawrócą! Spróbuję zatrzymać tutaj Greków!

Spieszył większą część wojska. Ustawił lansjerów na przedmościu, w półkole głębokie na sześć rzędów. Wzdłuż brzegu, na skrzydłach, stanęły dwa oddziały łuczników. W przerwach rozmieścił pozostałą konnicę. Jeśli ktokolwiek powstrzyma natarcie, to tylko ci ludzie.

Cesarscy czekali może dziesięć minut. Potem wprost na linię włóczników ruszył duży oddział Gepidów i Longobardów. Padway, stojący za frontem, patrzył na rosnące postacie jeźdźców. Słysząc było coraz głośniejsze dudnienie kopyt. Widział, jak wielcy długowłosi barbarzyńcy wynurzają się z obłoków kurzu, i rozumiał uczucia powodując wiejskimi rekrutami. Gdyby nie duma i poczucie odpowiedzialności, sam wziąłby nogi za pas.

Zbliżali się cesarscy. Wyglądali tak, jakby mogli przejechać się po brzuchach najlepszego nawet wojska na świecie. Nagle zabrzęczały cięciwy. Tu i tam konie stawały dęba, jeźdźcy padali rłuskotem kolczug. Szarża straciła impet, ale trwała dalej. Padwayowi wydawali się wysocy na dwadzieścia stóp. W tym momencie dotarli do linii włóczni. Martin widział zaciśnięte wargi i blade twarze swoich żołnierzy. Jeśli wytrzymają... Wytrzymali. Konie cesarskich stawały dęba i rżały klute przez włóczników. Niektóre zarzucały tak gwałtownie, że jeźdźcy wypadali z siodeł. A potem napierająca masa rozprysnęła się na lewo i prawo, i w tył, w kierunku sił głównych. To nie była wojna koni: nie miały zamiaru nadziać się na nieprzyjemnie wyglądające ostrza.

Padway odetchnął pełną piersią. Uczył swoich ludzi, że żadna szarża nie przerwie twardo stojącej linii włóczników, ale sam w to nie wierzył. Do tej pory.

Stała się rzecz straszna. Lansjerzy, widząc ucieczkę cesarskich, złamali szyki i pognali pieszo za nieprzyjacielem. Padway ochryłym głosem wołał, żeby wracali, ale biegli dalej swoich ciężkich zbrojach. Jak pod Senlac, pomyślał Padway, i z podobnym skutkiem. Jan miał się na baczości. Wysłał pułk kirasjerów na spotkanie bezładnego tłumu biegnących Gotów i w mgnieniu oka Goci rozsypali się po polu. Kluto ich lancami jak niedźwiedzic. Padway szalał z wściekłości i

rozpaczy. To była jego pierwsza poważna klęska. Chwycił Tirdata za kołnierz, nieomal go dusząc i wrzasnął:

- Znajdź Gudarsthsa! Powiedz mu, żeby zegnał kilka setek tych Italczyków! Postawię ich w pierwszej linii! Front był teraz niebezpiecznie cienki, ale Padway nie mógł go skrócić, nie tracąc styczności z łucznikami i kawalerią. Tym razem jednak Jan rzucił kawalerię przeciw skrzydłom. Łucznicy cofnęli się na brzeg rzeki, gdzie konnica nie mogła ich dosięgnąć, a jazda Gotów kontratakowała cesarskich, odrzucając ich w połyskującej wirującymi klingami bitewnej kurzawie.

Nadciągała wyczekiwana chłopska piechota. Zaganiali ją brudni i klnący na czym świat stoi gocy oficerowie. Most był wysłany porzuconymi w ucieczce pikami. Uzbroiły się w nie nowe posiłki, które szły na pierwszą linię. Luka została wypełniona. Dla zachęty Padway ustawił Gotów za wieśniakami. Żołnierze trzymali miecze oparte o plecy rekrutów.

Jeśli teraz Krwawy Jan pofolguje na chwilę, będzie można dokonać misternej operacji przeprowadzenia wojsk na drugi brzeg bez narażenia żadnego oddziału na rzeź.

Ale Krwawy Jan nie pofolgował. Dwa wielkie oddziały konnicy zbliżały się z zamiarem oskrzydlenia gockiej kawalerii.

Kurz i szeregi włóczników przesłaniały Padwayowi widok, ale z cichnącego tętentu wywnioskował, że jego ludzie zostali odparci. Potem nadjechali kirasjerzy, spędzając łuczników na brzeg rzeki. Przez kilka sekund obie strony ostrzeliwały się, a potem Goci rzucili się w pław przez rzekę.

Wreszcie, rycząc jak lwy, nadjechali Gepidzi i Longobardowie. Nie miał kto strzelać do nich, żeby zmniejszyć impet szarży. Coraz większe i większe długowłose olbrzymy na ogromnych koniach nadjeżdżały zwartą masą, wymachując potężnymi toporami.

Nerwy Padwaya napięły się jak struna na chwilę przed pęknięciem.

Tuż przed nim szeregi zaczęły gwałtownie się burzyć. Plecy Gotów zniknęły. Pojawiły się na ich miejsce brązowe twarze wieśniaków. Rzucili piki i gołymi rękami torowali sobie drogę przez ostrza mieczy. Padway widział ich wytrzeszczone oczy i rozdziawione usta wydające wrzaski przerażenia. Fala uciekinierów zbiła go z nóg i przetoczyła się po nim. Wierzgał i wił się jak szczupak na haczyku, czekając, kiedy gołe stopy wieśniaków zostaną zastąpione kopytami koni wrażej kawalerii. halo-gockie królestwo było już w strzępach, cała praca szła na marne...

Tętent i nacisk zelzały. Sponiewierany Padway wyplątał się spod leżą tych na nim chłopów. Szpaler włóczników rozpoczął ucieczkę i nagle zamarł, wypatrując. Nigdzie nie widział ciężkiej kawalerii cesarskich. Chmury kurzu były tak gęste, że w ogóle niewiele dało się dostrzec. Dochodził zza nich tętent, gwar i krzyki.

- Co się stało?! - krzyknął Padway. Nikt nie odpowiedział. Nic, tylko kurz, kurz, kurz. Cwałowało w nim kilka bezpiecznych koni; wyglądały jak ryby w zamulonym akwarium. Potem pojawił się biegnący żołnierz. Gdy zwolnił i podszedł do frontu oddziałów, Padway stwierdził, że to Longobard.

Kiedy Martin zastanawiał się, czy to jakiś wariat, który chce w pojedynkę rzucić się na jego armię, żołnierz krzyknął:

- Armaio! Litości!

Goci wymienili zdziwione spojrzenia.

Potem pojawiło się paru barbarzyńców. Jeden z nich prowadził konia.

- Armaio, timrja! Litości, kamraci! Armaio, frijond! Litości, przyjaciele! - wrzeszczeli.

Wśród nich nadjeżdżał cesarski kirasjer w hełmie zwieńczonym kitą. Krzyczał po łacinie:

- Amicus!

Potem wylaniały się z kurzu całe kompanie cesarskich, pieszych i konnych, Germanów, Słowian, Hunów i Anatolijczyków wymieszanych, wrzeszczących w dwudziestu językach:

- Litości, przyjaciele!

Wielka grupa konnicy pod gockim sztandarem jechała wśród cesarskich. Padway rozpoznał wysoką, brodatą postać pośrodku.

- Belizariusz! - wychrypiał.

Trak podjechał i schylił się. Podali sobie ręce.

- Martinusie, nie poznałem cię z tym kurzem na twarzy. Bałem się, że przybędę za późno. Jechaliśmy ostro od świtu. Uderzyliśmy na nich od tyłu i tyle, jeśli o to chodzi. Mamy Krwawego Jana, a twój król Urias jest bezpieczny. Co zrobić z jeńcami? Musi ich być co najmniej dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy.

Padway zachwiał się.

- Och, spędź ich gdzieś, do jakiegoś obozu albo czegoś takiego. Wszystko mi jedno. Zaraz zasnę na stojąco.

Znów byli w Rzymie. Urias powiedział powoli:

- Tak, rozumiem, o co ci chodzi. Ludzie nie będą walczyli za kraj, który do nich nie należy. Czy sądzisz jednak, że możemy sobie pozwolić na odszkodowania dla wszystkich lojalnych właścicieli ziemskich, których podsianych chcesz uwolnić"

- Damy radę - odrzekł Padway. - To zajmie wiele lat, a i nowe podatki od niewolników pomogą nam. - Nie wyjaśnił już, że ma nadzieję, stopniowo podnosząc podatek, uczynić niewolnictwo zupełnie nieopłacalną instytucją. Taki pomysł byłby zbyt radykalny nawet dla elastycznego umysłu Uriasa.

- Nie mam nic przeciwko ograniczeniu władzy królewskiej w twojej nowej konstytucji - kontynuował władca. - Jestem żołnierzem i cieszę się, że będę mógł innym zostawić administrację cywilną. Ale nie wiem, co na tu powie rada królewska.

- Zgodzą się. Jedzą mi z ręki. Dowiodłem im, że bez telegrafu nic udałoby się nam tak dobrze wytropić Krwawego Jana. a bez drukarni nigdy nie udałoby się wzniecić skutecznego powstania chłopskiego.

- Co masz jeszcze dla mnie?

- Musimy napisać do królów Franków i wyjaśnić im uprzejmie, że to nie nasza wina, iż Burgundowie wolą nasze rządy, i że z pewnością nie proponujemy im powrotu pod berło ich merowińskich jasności. Musimy też przygotować umowę z królem Wizygotów w sprawie zaopatrzenia naszych statków w Lizbonie na wyprawę do lądów za Atlantykiem. Nawiasem mówiąc, nazwał cię swoim następcą, toteż gdy umrze. wschodni i zachodni Goci zjednoczą się znowu. To mi przypomina, że muszę wybrać się do Neapolu. Tamtejszy budowniczy statków mówi, że nie widział jeszcze tak zwariowanego planu jak mój. To ma być to, co my, Amerykanie, nazywamy szkunerem. Prokopiusz pojedzie ze mną. Przedyskutujemy szczegóły wykładu historii na naszym nowym uniwersytecie.

- Dlaczego tak ci spieszno do tej atlantyckiej wyprawy, Martinusic?

- Powiem ci. W moim kraju zabawiamy się wdychaniem dymu z zieleń zwanego tytoniem. To całkiem nieszkodliwy nałóg, jeśli nie przesadzić. Odkąd tu przybyłem, mam na to ochotę, a ląd za Atlantykiem jest najbliższym miejscem, gdzie można to dostać.

Urias roześmiał się kordialnym basem.

- Chciałbym jeszcze zobaczyć brulion listu do Justyniana, zanim go wyślesz.

- Okay, jak mówimy w Ameryce. Będziesz go miał jutro razem z listem mianującym Thomasusa Syryjczyka ministrem finansów. Przez prywatne kontakty handlowe udało się sprowadzić wykwalifikowanych metalowców z Damaszku, tak że nic będę musiał prosić o nich Justyniana.

- Jesteś pewien, że twój przyjaciel Thomasus, to uczciwy człowiek"

- Oczywiście. Uważaj tylko na niego. Przekaj pozdrowienia Matasuncie. Jak się miewa?

- Doskonale. Uspokoila się, odkąd ludzie, których się obawiała, umarli albo oszaleli. Wiesz, spodziewamy się małego Amalinga.

- Nie wiedziałem. Moje gratulacje.

- Dziękuję. Kiedy zamierzasz znaleźć sobie dziewczynę, Martinusie?

Padway wyprostował się z uśmiechem. - Jak tylko dobrze się wyśpię.

Patrzył na wychodzącego Uriasa z zawiścią. Był w tym wieku, w którym kawalerowie z łązką w oku myślą o życiu rodzinnym swoich przyjaciół. Nie życzył mu jednak takiego fiaska, jakie jemu samemu przydarzyło się z Betty albo z tym ładunkiem dynamitu Matasuntą. Miał nadzieję, że dzięki Uriasowi jego królowa będzie odtąd ciągle w stanie błogosławionym. To mogłoby odwieść ją od siania zamętu.

Zasiadł do pisania listu:

"Urias, król GotcSw i Italczyków do jego Świetlistej Łaskawości Flawiusza Anicjusza Justyniana, cesarza Rzymian, pozdrowienia.

Teraz, gdy armia wysłana przez Waszą Najjaśniejszą Wysokość do Italii pod dowództwem Jana, bratanka Witalianusa, lepiej znanego jako Krwawy Jan, nie stanowi dłużej przeszkody na drodze do pojednania, podejmujemy rokowania na temat warunków honorowego zakończenia okrutnej i bezproduktywnej wojny między nami.

Utrzymujemy warunki proponowane w poprzednim liście, z jednym wyjątkiem. Odszkodowanie w wysokości stu tysięcy solidów zostaje podwojone, by wynagrodzić naszym obywatelom straty, które ponieśli w związku z najazdem Krwawego Jana.

Pozostaje pytanie o losy wyżej wzmiankowanego generała. Aczkolwiek nigdy poważnie nie rozważaliśmy kolekcjonowania cesarskich wodzów jako hobby, działania Waszej Jasności zmusiły nas do prowadzenia polityki, która na to wygląda. Jako że nie chcemy wyrządzić poważnej szkody Cesarstwu, zwolnimy mienionego Jana za skromnym okupem pięćdziesięciu tysięcy solidów.

Mocno nalegamy, aby Wasza Jasność rozważyła propozycję pozytywnie. Jak wiecie, królestwo Persji rządzone jest przez króla Chorsoeza, młodzieńca wielkich sił i zdolności. Mamy powody. by sądzić, że Chorsocz wkrótce dokona nowej inwazji na Syrię. Będziecie zatem potrzebować najzdolniejszych generałów, jakich macie.

W uzupełnieniu dodajemy, że nasza mała zdolność przepowiadania przyszłości powiadamia nas, iż za mniej więcej trzydzieści lat urodzi się w Arabii mąż o imieniu Muhammad, który głosząc heretycką religię, jeśli się go nic wstrzyma, podniesie falę barbarzyńskiego podboju, obalającego władzę tak królestwa Perskiego, jak i Cesarstwa Wschodniorzymskiego. Z całym szacunkiem stwierdzimy, że pożądane są natychmiastowe działania zabezpieczające wobec Półwyspu Arabskiego w celu zlikwidowania niebezpieczeństwa w zarodku.

Prosimy przyjąć tu ostrzeżenie jako wyraz naszych najprzyjaźniejszych uczuć. Oczekujemy łaskawie szybkiej odpowiedzi.

Przez Martinusa Paduria, kwestora."

Padway odsunął się i popatrzył na list. Były inni sprawy, którymi musiał się zająć. Zagrożenie Noricum najazdem Bawarów, oferta aliansu przeciw bułgarskim Hunom złożona przez chana Awarów. Trzeba będzie grzecznie odmówić. Awarowie nie będą przyjemniejszymi sąsiadami niż Bułgarzy.

Popatrzmy: jakiś wędrowny fanatyczny mnich podnosi hałas w sprawie czarów. Spróbować obłaskawić go, dając mu posadę? Lepiej odwiedzić najpierw biskupa Bolonii. Jeśli ma na to jakiś wpływ, Padway już będzie wiedział, jak go wykorzystać. No i nadszedł czas na zawarcie znajomości z tym drabem Silveriusem...

Czy kontynuować eksperymenty z prochem? Nie był pewien, czy to wskazane. Świat znał już wystarczającą ilość sposobów zadawania śmierci i siania zniszczenia. Z drugiej strony jego własne dobro związane było z pomyślnością państwa italo-gockiego. Musi je chronić za wszelką cenę...

Do diabła z tym. pomyślał. Zmiotł papiery do szuflady. zdjął kapelusz z kołka i wyprowadził konia. Wybrał się do Aniciusa. Czy może się spodziewać jakichś gorętszych uczuć ze strony Dorothei, jeśli nie odwiedzał jej tak długo po powrocie do Rzymu?

Dziewczyna wyszła mu na spotkanie. Pomyślał, jaka ona ładna.

Nie było powitania w stylu "ułań i dziewczyna". Zaczęła, zanim zdołał powiedzieć słowo.

- Ty bestio! Ty oślizła kreaturo! Byliśmy twoimi przyjaciółmi, a ty nas zrujnowałeś! Złamałeś serce memu biednemu, staremu ojcu! A teraz przybyłeś, by się napawać naszym nieszczęściem!

- Co?

- Nie udawaj, że nic wiesz! Wszystko wiem o tym twoim bezprawnym rozkazie. Wyzwoliłeś poddanych z naszych dóbr w Kampanii. Spalili nasz dom i ukradli rzeczy, które przechowywałam od dzieciństwa... - Zaczęła szlochać.

Martin starał się ją pocieszyć, ale rozjątrzyła się na nowo.

- Wynoś się! Nie chcę cię więcej widzieć. Będziesz musiał użyć szwadronu swoich barbarzyńców, żeby wyjść do naszego domu. Wynoś się!

Padway odszedł, powoli i w przygnębieniu. To był skomplikowany świat. Cokolwiek większego by się zrobiło, ktoś musiał na tym stracić.

Potem podniósł głowę. Nie ma co uzalać się nad sobą. Dorothea to i owszem, ładna, zgrabna i rozgarnięta dziewczyna, ale nie była z tego powodu nadzwyczajna. Jest wiele innych, równie atrakcyjnych. Żeby być szczerym - Dorothea jest całkiem przeciętną młodą kobietą. No i jako italijska utyje w wieku trzydziestu pięciu lat.

Rządowe odszkodowania za straty pewnie wpłyną na złamane serca Anicjuszów. Gdy spróbują go przeproszać, będzie uprzejmy, ale nie sądzi, żeby miał wrócić.

Dziewczyny są w porządku i pewnie znajdzie jakąś niezadługę. Ma jednak poważniejsze powody do zmartwienia. Sukces na polu cywilizacyjnym jest ważniejszy niż wszystkie drobne niepowodzenia osobiste.

Dzieło nie było zakończone. Nigdy nie będzie, dopóki choroba, starość lub sztylet wroga nie przerwą pracy. Tyle jest jeszcze do zrobienia i tylko kilka dziesiątków lat... Kompas, maszyny parowe. Habeas Corpus.

Szamotał się ponad półtora roku. Tu zyskał trochę władzy, tam zjednał sobie potencjalnego wroga. Uniknął niełaski różnych Kościołów, rozwinął jakieś nowe rzemiosła. Nieźle, jak na Mysz Padwaya. Może uda mu się podtrzymywać to latami.

A jeśli nie, jeśli ludzie będą mieli dosyć wynalazków Tajemniczego Martinusa, no cóż... Jest już telegraf optyczny biegnący wzdłuż i wszerz Italii. Pewnego dnia zastąpi go prawdziwy, elektryczny, jeśli będzie czas na niezbędne doświadczenia. Poczta publiczna powstanie lada dzień. Są drukarnie we Florencji, w Rzymie i w Neapolu. Zalewają rynek książkami, broszurami i gazetami. Cokolwiek by się z nim stało, te rzeczy pozostaną. Są za dobrze zakorzenione, by mógł je zniszczyć przypadek.

Historia, bez wątpienia, uległa zmianie.

Mroki nie zapadną.